

- FRANCESCO PETRARCA
- 3 Sonety do Laury
w przekładzie Ireneusza Kani
S'io credessi per morte esser scarco...
 - 4 Io amai sempre, ed amo forte ancora...
S'amor non è, ch'è dunque quel ch'ì sento...
 - 5 Pace non trovo, e non ho da far guerra...
O bella man, che mi distringi 'l core...
 - 6 Beato in sogno, e di languir contento...
Solo, e pensoso i più deserti campi...
 - 7 Amor m'ha posto come segno a strale...
Che fai? che pensi? che pur dietro guardi...
 - 8 Gli occhi, di ch'io parlai si caldamente...

SETNA ROCZNICA URODZIN MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO

- MIRON BIAŁOSZEWSKI 14 List
- TADEUSZ SOBOLEWSKI 17 Ten Bóg / Zajmująca osoba
- MIRON BIAŁOSZEWSKI 32 Listy do Jadwigi Stańczakowej
oraz Anny i Tadeusza Sobolewskich
- PIOTR SOBOLCZYK 39 „Z wielkiej swobody nie wiem, co robić, czy
pisać list, czy zgasić światło...”. Komentarz
edytorski
- ADAM POPRAWA 48 Pamiętnik duszy z powstania warszawskiego
- JÓZEF ZIĘBA 55 Miron Białoszewski / Wieczór autorski
w Lublinie
- PIOTR SOBOLCZYK 61 Święte tańce – pisma nieświęte
- ANNA SOBOLEWSKA 80 Od Jestem do Się. Parareligijna duchowość
Mirona Białoszewskiego

- WYSTAN HUGH AUDEN 89 1 września 1939
w nowym przekładzie Antoniego Libery
- ROBERT MUSIL 93 w przekładzie Artura Przybysławskiego
Analiza i synteza
- 94 Powątpiewania rozmaite
- 97 Zapiski
- KRZYSZTOF LISOWSKI 100 Na drugim brzegu
- 101 W środku powieści
- 102 Wrózenie z sylwestrowego snu
- 103 Kartki konwersacyjne
- PIOTR SZEWC 104 Bławatki bratki • Zmyślone pacierze
- 105 Oset i kąkol • Listek na listku
- 106 Krecia tajemnica • Jeż i sad
- 107 Potomek króla • Słowik śpiewa

ALFRED KUBIN	109	w przekładzie Artura Przybysławskiego O moim przeżywaniu sennym
	111	Wyzwolenie spod jarzma
	113	Wyznanie
JERZY PLUTOWICZ	114	Powrót tamtędy
	115	Byliśmy
	116	Nocna wizyta
ZBIGNIEW DMITROCA	117	Sielanka
	118	Przy okazji • Wyznanie wiary
	119	Perspektywa skrzypów
ERYK OSTROWSKI	120	Słownik Szancera
	121	Wtedy udało nam się zaim
ADAM GÓRSKI	122	*** (<i>posłuchaj tego zdania...</i>)
	123	*** (<i>myślimy...</i>) • *** (<i>światła na urojonych...</i>)
VARIA		
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	125	Widnokrąg (7)
STEFAN CHWIN	130	Dziennik 2022 (2)
MAREK KĘDZIERSKI	137	Marginalia
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	140	Komora (2)
LESZEK SZARUGA	145	Świat, w którym żyłem (5)
PIOTR SZEWC	153	Z powodu i bez powodu (66)
ARTUR SZŁOSAREK	155	Notatki do zapomnianych podróży (11)
RECENZJE		
ROBERT PAPIESKI	166	Zamiast wiatru i gwiazd
PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ	168	Być, jak to łatwo powiedzieć
ANNA NASIŁOWSKA	172	Księga istnienia
NOTY O KSIĄŻKACH		
KONRAD ZYCH	175	Rozdwojenie
MARTA TOMCZOK	177	Język – narząd, który wzmocniła pandemia
KATARZYNA BIEŃKOWSKA	180	Inny wymiar
ANDRZEJ ZAWADA	181	Rozumieć siebie i nasz czas
PAWEŁ TAŃSKI	187	Zapis okoliczności i czuła pamięć o najbliższych osobach
ALEKSANDER FIUT	189	Jarembianka w kilku odsłonach
NOTY O AUTORACH	195	
NOWE KSIĄŻKI	200	

FRANCESCO PETRARCA

Sonety do Laury

w przekładzie Ireneusza Kani

S'io credessi per morte esser scarco...

Gdybym mocną miał wiarę, że śmierć mnie wymota
z sieci miłosnej troski, co myśl mą okrywa
– z własnej mej ręki wzięłaby ziemia litościwa
mdłe członki i ciężar nędznego żywota.

Że jednak serce moje draży ta zgryzota,
iż przez śmierć od cierpienia ucieczki nie bywa,
do przejścia wąskiej bramy dusza nierychliwa;
to śpieszy próg przekroczyć, to ginie ochota.

Przeto czas byłby wielki – niechby zadźwięczała
cięciwa bezlitosna, i strzałę puściła
ostatnią, którą krew już tylu oblała.

Amora o to błagam – i Tę, co barwiła
twarz mą trupim kolorem, lecz nie usłyszała
wołania mego, jakby głucha była.

Io amai sempre, ed amo forte ancora...

Jak zawsze, i teraz sercem gorącym miłuję
– a moje miłowanie w siłę rośnie stale –
to wdzięczne miejsce, gdzie wielekroć z żalem
wracam, gdy z winy Amora ból duszy poczuję.

Czas kochać, i godzinę też sobie ślubuję,
w której mnie trosk niskich odpłynęły fale,
i Tę, której oglądając cudną twarz, wytrwale
do czynienia dobra duszę swą stosuję.

A przecież w świecie jeszcze nie widziano tego
jak moje biedne serce tam i tu się chwieje
pod lubych wrogów wojskiem, tak nielitościwym;

pobity jestem dzisiaj mocą potężnego
Amora; lecz jeśli z miłością nie rosną nadzieje,
martwy tam padnę, gdzie chcę zostać żywym.

S'amor non è, ch'è dunque quel ch'ì sento...

Jeśli To nie miłość, cóż jest to, co czuję?
A skoro już miłość, cóż To, na Boga, i jakie?
Jeżeli dobre To – skąd męki wszelakie?
Gdy złe – czemuż To słodkim znajduję?

Płaczę skąd i lamenty, jeśli To przyjmuję
z woli mej; jeśli nie, na cóż narzekanie?
O, rozkoszne cierpienie, o, żywe konanie,
jak możesz tyle, gdym przeciw? Nie pojmuję!

A jeśli ci nie przeciw – biada mi z mym płaczem,
bo wśród przeciwnych wiatrów w kruchej łodzi siedzę,
a łódź ma bez steru, na otwartym morzu;

I próżnym rozumu, bogaty w niewiedzę,
tak, że sam już nie wiem, o co tu kołaczę
drżąc z zimna wpośród lata, a płonąc w czas mrozu.

Pace non trovo, e non ho da far guerra...

Pokoju nie znajduję i nie wiem, dlaczego;
jak lód jestem i ogień; to strach mię oblata,
to ufam; upadam, lub wzlatuję w niebo;
pustkę, lub znów w ramionach ściskam okrąg świata.

Coś trzyma mnie w zamknięciu, nie wypuszcza z niego,
i choć zatrzymać nie chce, więzów nie rozplata;
Amor śmierci ni życia nie daje miłego
i żywym mnie nie pragnie; w trosce biegną lata.

Widzę, choć nie mam oczu; wołam bez języka,
i końca swego pragnę, i pomocy krzyczę,
siebie mam w obrzydzeniu, miłuję innego;

I pasę się cierpieniem; śmiejąc się – łzy łykam;
i śmierć, i żywot równo nienawistne liczę.
Tak oto ze mną, Pani – z powodu Waszego.

O bella man, che mi distringi 'l core...

O, dłonie Twoje piękne, teraz ściskające
moje serce i życie – przestrzenia tak małą;
dłonie, które swą sztuką formowały całą
i Niebo, i Natura, splendor stąd biorące;

Pięciu pereł Orientu barwą jaśniejące
palce smukłe i gładkie, w których się schowało
dla ran mych ostrze twarde; przyzwolenie dało
bóstwo, bym je oglądał w nagości stojące.

Jasności niezmaconej rękawiczko miła,
skrywasz blaski róż świeżych i słoniowej kości:
wdzięczniejsze czyż na świecie kształty widywano?

Tak kiedyś dla mnie piękną zasłonę odkryła.
Nie masz nad rzeczy ludzkich większej niestałości:
krótki ten widok, a przecie już mi go zabrano.

Beato in sogno, e di languir contento...

We śnie jestem szczęśliwy; schnę – i się raduję;
cienie chwytam w ramiona i za wiatrem gonię,
bez dna i brzegu morskie wplaw przebywam tonie,
w powietrzu znaki kreślę, na piasku buduję.

W Słońca splendor ognisty śmiało się wpatruję,
tak, że moc mego oka w omroce już tonię;
na łanię, co nogą chyżą ucieka przez błonie,
powolnym i szpotawym wołem zapoluję.

Tak, ślepy i niemocen – oprócz zatracenia,
którego w drzeniu szukam i we dnie, i w nocy –
Amora tylko, Jej imię i śmierć przywołuję.

Przez długich lat dwadzieścia srogiego cierpienia
łzy jeno i ból zbieram, a znikąd pomocy.
Zła gwiazda los zesała – ale go miłuję.

Solo, e pensoso i più deserti campi...

Samotnie, w zamyśleniu, pola pustynnego
przestwór mierzę spóźnionym i powolnym krokiem;
i wokoło siebie pilnym baczę wzrokiem,
by jak najdalej odbiec śladu człowieczego.

Innej nie mam zasłony, sposobu żadnego,
by ukryć się przed tłumem spojrzeniem głębokim:
w smutku mym, co z daleka bystrym czytasz okiem,
żar ognia łatwo dojrzysz, we mnie płonącego.

Stąd – myślę – góry, lasy, rzeki i równiny
zgadły sekretne życia mego niepokoje,
co mgłą w oczach innych okryte są ciemną;

tylko znaleźć nie umiem tak dzikiej drożyny
i puszczy niedostępnej, żeby w ślady moje
Amor nie stąpał wszędzie, by spierać się ze mną.

Amor m'ha posto come segno a strale...

Jak w tarczę Amor we mnie śle grotów nawałę,
jestem jak śnieg ku słońcu, jak воск wśród płomienia,
i jako mgła dla wiatru, i głos mi się zmienia
gdy błagam zmiłowania; twe zmartwienie małe.

Oczy twe wystrzeliły śmiercionośną strzałę
i nie ma przed nią nigdzie na świecie schronienia;
Tyś sama – choć bawisz się tylko jakby od niechcenia –,
jest słońcem, ogniem, wiatrem – stąd cierpienie całe.

Pociskami są myśli, słońcem – jej wejrzenie;
namiętność moja ogniem; i od takiej broni,
którą Amor uderza – padam i umieram.

A śpiew jej anielski i miłych słów brzmienie
słodczy pełne, przed którą nic nie chroni,
są jak powietrze, co życie odbiera.

Che fai? che pensi? che pur dietro guardi...

O czym myślisz? Co czynisz? Po cóż z oddalenia
za godzinami tęsknisz niepowracalnymi,
duszo niepokieszona! Czemu wciąż nowymi
drwami ogień podnosisz, co w popiół cię zmienia?

Wdzięczne Jej odezwanie i słodkie spojrzenia,
któreś często śpiewała słowami zdobnymi,
odjęte światu temu; przeto niewczesnymi
i próżnymi twe trudy ich odnalezienia.

Bólu więc i cierpienia nie odnawiaj mego,
myślą tego nie ścigaj, co złudny blask snuje
– postępuj w stronę pewną celu pocziwego.

Jeśli szpetne tu wszystko, w niebo niech wzlatuje
dusza, bo żywa piękność niewiele dobrego
nam dała; martwa zaś pokój odejmuje.

Gli occhi, di ch'io parlai si caldamente...

Te oczy, którem opiewał z serca gorącego,
te ręce i oblicze, stopy i ramiona,
co sprawiły, że dusza moja całkiem podzielona,
i żem jest jako obcy wśród świata całego;

te włosy, pełne blasku złota najczystszej,
słodki uśmiech, którym jej twarz była rozświetlona,
skąd ziemia się czyniła jako rajska strona
– są teraz kupką prochu, na nic nieczułego.

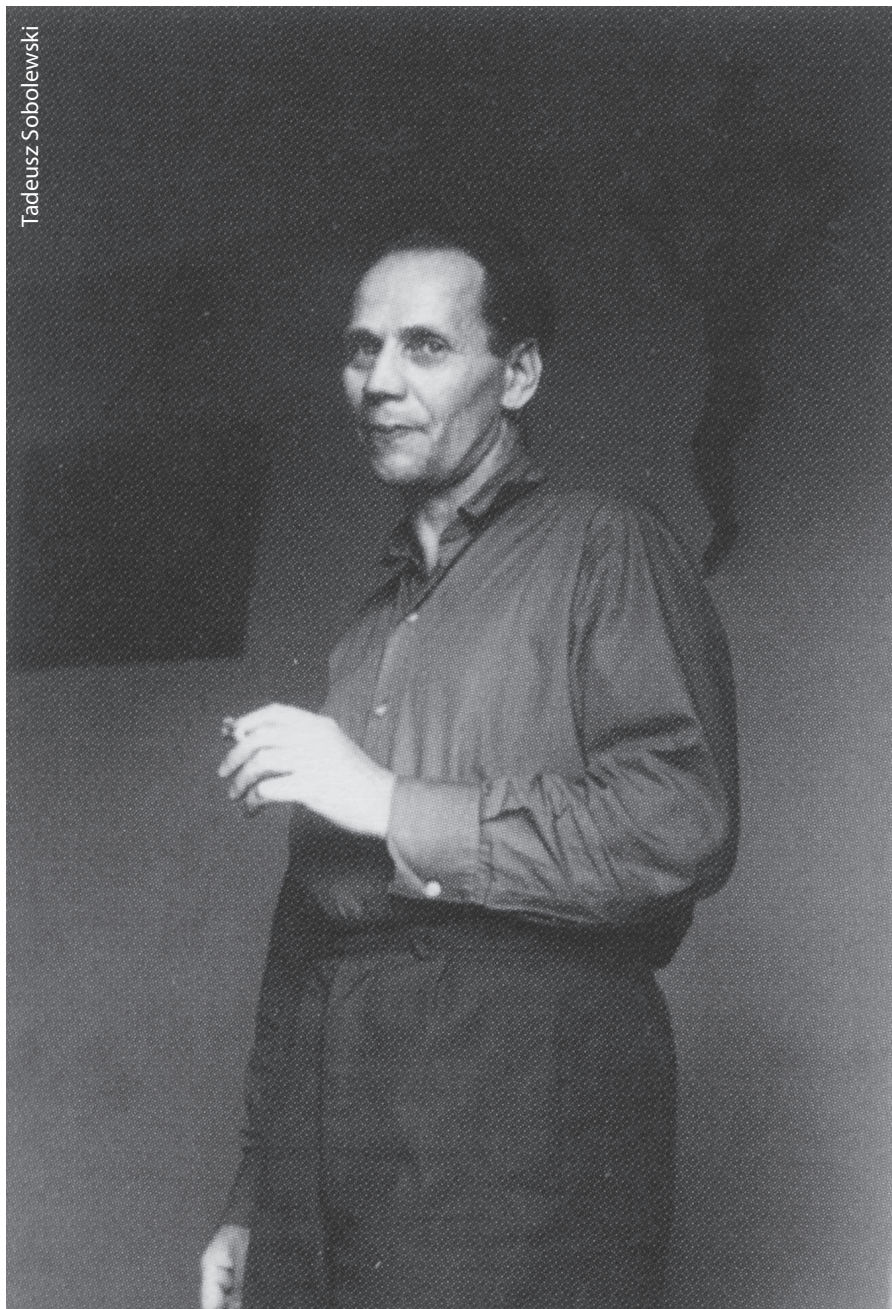
Gniew stąd mój i smutek, żem oto żyw przecie,
bom bez światła pozostał tak ukochanego,
a łódź mą bez steru sroga burza miecie;

Przeto koniec niech będzie pienia miłosnego,
bo wyschnięta ma dusza niby ruczaj w lecie;
jak śpiewu lutni słuchać, płaczem jęczącego?

Powyższa garść przekładów z Petrarki powstawała we wczesnych latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy jeszcze nie zaczął się parć systematycznie translatorskim rzemiosłem. Byłem wówczas młody i przeżywałem akurat „burzę i napór” uczuć, w tonacji poniekąd werterowskiej. Wybór wierszy – kilkanaście spośród ponad setki – sprawiać może wrażenie aleatorycznego, jednak odbija on nieźle moje ówczesne duchowe perypetie. Ale jest coś jeszcze. Dopiero jakiś czas później uświadomiłem sobie, że ta młodzieńcza robota chciała być także wyrazem sprzeciwu wobec, albo raczej polemiki z przekładami sonetów opublikowanymi właśnie w owych latach przez Jalu Kurka. Otóż wbrew powszechnej wtedy wysokiej ich ocenie wydały mi się one „nietrafione”; uważny czytelnik być może odgadnie, dlaczego.

Ireneusz Kania

Tadeusz Sobolewski



Z "ani to, ani tamto, ani nie"
ZENU "olbrzymia pustka, a w niej nic świętego"

Garwolin (czy Gąrowolin?) 10 sty 1980
Na razie miękko i żywo.

At sty,

... tylko tu talis. Radio gra
baroki. Mama dżemie.

Mur. Lecz No.

Cydam: opowieść kobiecy
porównaj piers Indian
przebudź.

Baba do węgla i wody
zaprasza. Wylewa. Ter
lisa złotych a ile singula
mrokienia czego by nie chce!

Kuzynka pali w piecu.

Płynosi zakupy. Inne zapie-
inne nocy, miazg zmywają
do do my z mianym widokiem
pienizdów, z ułulady, chm.

* kandydaci smoki, moje książki
grzyfnie, warony, ...

2) 13 sty

Mama nanka na dusob
Ale oglądaliśmy interesem
osobne i "Puklenstwo
Frankensteina"

Cytam dwie porwanej
bizaj dziewczynki pnie Indian.
Dwie tam o paleniu, siuszeniu
tupów, młelenia i jedzenie w
papie, bananów, ryżalme ich kosi.

Smło mi się wobec tego
ze Kewynka, która maule
pali w piecu, zmywa - że się
toiko, ja chę, małina smlechu
i zaiwle pani w tupa

a tu już ona upschonistemu
tupowi się składa w tokiach
chionim do teraz do "anen".

To mby moj styp fa "spis
na długim toiku. Mamie
wkoncu moin, i koba po
kupilec. Biene tupa wgaigan

przechodzi z nim koto mnie,
ja patrzę a on okropieje,
z zaimanta się w zimnego
w kibelu psz. Pies patrzy
na mnie, podnosi & tal
- czyt 3!
w środku tyłu coś
pisa otula. 6?

Ma jako chudnie Księż
po Kolędzie. Księżka
chata trępc chudnieki
mama mi data. Księżka
w pokoju mamy nakryła
stół obusiem, postawiła
gorziki w waronle, dwie
sine i Księżka. Te
brydnie przedmiot odcięte
jako odpychające gasta
do podstawki do Księżki
sine i waronle wstrzy
2 plastiku

W 1 pny okazji, między
do xiezy, Katchiayama,
miedolanki, upniedzenibowis.

Tyle

Nixon

MIRON BIAŁOSZEWSKI

List

Z ZENU

„ani to, ani tamto, ani nic”

„olbrzymia pustka, a w niej nic świętego”

Garwolin (czy Gawrolin?) 10 sty 1980

Na razie nieźle i żywo.

11 sty.

Jako tu tako. Radio gra

baroki. Mama drzemie.

Mróz. Luz. Noc.

Czytam opowieść kobiety

porwanej przez Indian,

prawdziwą.

Baba do węgla i wody

wynajęta. Wylewa też.

400 złotych, a ile szczęścia

nierobienia czego się nie chce!

Kuzynka pali w piecu.

Przynosi zakupy. Inne znoszą

inne rzeczy, nieraz zmywają

za to my z mamą rozdajemy

pieniądze, czekolady,

hindyjskie smoki, moje książki,

grapefruity, wazony

13 sty

Mama narzeka na chorobę.

Ale oglądaliśmy wieczorem

Osborne’a „Przekleństwo Frankenstein’a”

Czytam dzieje porwanej

białej dziewczynki przez Indian.

Dużo tam o paleniu, suszeniu

Trupów. Mieleniu i jedzeniu w

papce bananowej rytualnie ich kości.

Śniło mi się wobec tego

Że kuzynka, która mamie

pali w piecu, zmywa – że ściele
łóżko, ja chcę mówić
na śmiechu
– i zaściele pani w trupa
A tu już ona uśmiechniętemu
trupowi ręce składa w łokciach,
dłońmi do twarzy do „amen”.
To niby mój stryj. Ja śpię
na drugim łóżku. Mama
w końcu mówi, że trzeba go
wynieść. Bierze trupa w gałgan,
przechodzi z nim koło mnie,
ja patrzę a on okrągleje,
zamienia się w zwiniętego
w kłębek psa. Pies patrzy
na mnie, podniósł łeb
– ożył?!
W środku tylko coś
pies otula. Co?

Ma jutro chodzić ksiądz
po kolędzie. Kuzynka
chciała trzepać chodniki,
mama nie dała. Kuzynka
w pokoju mamy nakryła
stół obrusem, postawiła
goździki w wazonie, dwie
świece i krzyżyk. Te
brzydkie przedmioty odczułem
jako odpychające gusła.
Bo podstawki do krzyżyka,
Świeczek i wazonu wstrętne
z plastiku.

I przy okazji niechęć
do xięży, katolicyzmu,
nietolerancji, uprzedzeniowości.

Tyle

Miron

Do druku podał Tadeusz Sobolewski

Tadeusz Sobolewski



TADEUSZ SOBOLEWSKI

Ten Bóg Zajmująca osoba

Miron Białoszewski: Nie wierzę w Boga.

Gracja Kerenyi: Tak zupełnie?

– Zupełnie.

– Ale w Matkę Boską wierzysz?

Aż się roześmiałem.

(Tajny dziennik)

„A duch mój chodzi we mnie i nade mną. Nie spada. Świeci mi. Bez parasoli od deszczu i celebracji chodzi uniesiony na swoich zgięciach jednocześnie na ziemi. Co ja z tymi ludźmi mam, co wiszą, gdzie nie przefrunąć, wiszą i są, i rosną, kolonie, kolonie, a między nimi latają krowy niespokojne, dojne, święte, wariackie.

Kiedy na mszy za Marię Franciszkę odmawiali »Wierzę« i obok mnie Agnieszka też: »Bóg z Boga, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, światłość ze światłości« i potem życiorys: »narodził się z Marii Dziewicy i stał się człowiekiem«, odczułem go wzruszająco jako – nie wchodzę w boskość – ale jako kogoś bardzo subtelne-
go, najbardziej, chociaż znającego niesubtelności do końca, to ta dojna krowa, ale tak się naznaczyć? tak fruwać? poczuć się odpowiedzialnym za te byty, przejścia, światy, za wszystkich? za wszystko? to bardzo wiele mówi i zastanawia”.

(Transy, w: Szumy, zlepy, ciągi)

W tym samym tomie *Szумы, zlepy, ciągi* – niemal orgiastyczny, rozhuśtany opis kuszenia warszawskiego pustelnika – Mirona, niczym świętego Antoniego z pustyni.

„Miało być uduchowanie, natchnienie. I jest, ciągnie się. Ale cielesność robi psikusy. Duchy też. Chce się ich jak dymu, i to już grzeszek [...]”.

Bosch. No tak, to z tego. I inni. I naprawdę ci, co siedzieli po kątach świata. Im się właśnie takie różności ulatniały z kamienia zamyślenia. Dymiły, krążyły nad głową [...] Cielili się i kusili”.

(Frywole, w: *Szумы, zlepy, ciągi*)

Uporczywa wiara skazuje nas na wieczne pretensje do siebie, resentyment, zgorzknienie. Ta wiara gdzieś nam ginie, a my jej wciąż szukamy, jak zgubionych okularów. We wspomnieniu pośmiertnym o Mironie Białoszewskim zaprzyjaźniona z nim reporterka Ewa Berberysz napisła: „on szukał Boga!”. Nie wiemy, czy szukał, a już na pewno w żadnym z istniejących Kościołów. Faktem jest, że jego warszawskie mieszkania, przy placu Dąbrowskiego i na Lizbońskiej, miały coś sakralnego. Pierwsze wrażenie: był to jakby kościół zrekonstruowany ze szczątków. Na ścianie – stary drewniany krucyfiks. Niejeden. Fragment ikony malowanej na desce, z postacią anioła. Kawalek starego ornatu. Lichtarze. Suche bukiety w konwiach. Ze ściany nad szafką z płytami analogowymi (ostatnie przywiózł z Nowego Jorku) uśmiechały się główki barokowych aniołków. Półmrok. Wrażenie groty. Zwracał uwagę brak książek (były w kuchence, włożone do nieużywanego piekarnika). Jediną książką, jaka leżała przy tapczanie Mirona na wyciągnięcie ręki, była Biblia Wujka i jeszcze słownik Brücknera – kantaty Bacha, koncerty Schuetza, ogromna ilość muzyki dawnej – to była jego rozrywka i zarazem książka do nabożeństwa.

Miał wszystko, co potrzeba: bruliony szkolne, długopisy. Mieszkanie bez mediów...

Czy jakiś Bóg miałby tam wejść, jako sublokator?

„Chciałem się przekonać, jak to było ze stworzeniem świata. Kiedy światło? Le. podał mi Biblię Wujka. Czytałem.

Światło. Drugie. [...] I ujrzał Bóg światłość, że była dobra i przedzielił światłość od ciemności. I nazwał światłość Dniem, a ciemność Nocą”.

„Bóg jeszcze nie wie, co to będzie, nagle widzi, co to jest, aha, podoba mu się, zatrzymuje to, oddziela, nazywa”.

Tu wdaje się w to wszystko Wąż i przez niego Bóg popełnia błąd – błąd różnienia, na który Białoszewski jest tak bardzo wyczulony:

„W rozróżnieniu zaczyna się grzech. I chęć bycia rozróżnionym już jest pychą. [...] Maria chyba aż nie rozróżniała dobra od zła, była istotą jakby sprzed bytu szatana, sprzed pierwszego grzechu”.

Świat Białoszewskiego jest niezhierarchizowany, nieosądzony, nieoddzielony. Jego ulubioną porą jest noc, w której może się ukryć i nie być wśród policzonych i osądzonych.

W słuchowisku radiowym z roku 1956 *Kalejdoskop. Komedia końca świata* Poeta rozmawia z Bogiem, który wpada do niego po sąsiedzku w dniu Sądu Ostatecznego, powitany odwróconym przysłowiem „Bóg w dom, gość w dom” i zastaje u niego trzech Wielkich: Michała Anioła, Dantego i Bethoveena. Wszyscy podziwiają kalejdoskop jako instrument nowej sztuki. Bóg odwołuje Sąd Ostateczny. „Nie zrobię im żadnego Sądu, żadnego. Tylko wejść na tę drabinę, spojrzę w kalejdoskop. Może ułoży mi się jakiś nowy, piękniejszy, lepszy świat” (*Kalejdoskop*, w: *Polot nad niskimi sferami*). W tym słuchowisku sylwestrowym zarysowany jest już żartem cały program artystyczny, w którym „każdy z osobna będzie tworzył świat dla siebie”, z tym że u Białoszewskiego ten świat tworzony dla siebie jest światem dla każdego.

Miron – tak go nazywam, bo nie wiem, jak oddzielić w tekście Białoszewskiego narratora od bohatera. Podobnie jak nie da się określić statusu Boga w tekstach Mirona. W jego wierszach młodzieńczych z czasu okupacji, po raz pierwszy opublikowanych w tomie trzynastym „Utworów zebranych”, występuje Bóg. Z głębi getta, w Sądny Dzień rozlega się jęk, którego „nie słyszy nikt”. W wierszu *Piąta jesień* z 1943 roku czytamy:

„Odjazd! – Bóg dziś nie zbawia. / Bruk pod sercem się trzęsie. / Pierwsze słowo – to Pawiak, / drugie słowo – Oświęcim”.

W *Pamiętniku z powstania warszawskiego* Starówka ze swoimi zrujnowanymi kościołami, ze śpiewanymi po piwnicach psalmami – ożyje w tekście Białoszewskiego i stanie się biblijną Jerozolimą. Ale zawrotne piękno tego porównania będzie w *Pamiętniku*... możliwe na skutek utraty religijnej wiary. Wiele lat wcześniej, tuż po wyjściu ze zrujnowanej Warszawy, po kapitulacji powstania, w wierszu pod

znamiennym tytułem *Do ducha – siebie* ukazany jest proces wyzwolenia. Tym Bogiem, do którego się zwraca podmiot tego wiersza, jest on sam:

„I Ty się modlisz – – Ty we mnie, / do siebie nad ciałem duch, / aż nie znam, – choć chcę daremnie, / Czyś sobą, czyś mną, czyś Bóg”.

Oto paradoks Białoszewskiego: ostentacyjna prywatność jego pisania, egotyzm czy nawet kult własnej osoby służą otwarciu się na drugiego człowieka, zakochaniu w nim, „obdawaniu” innego sobą, kultowi życia w całym splendorze zwyczajności. Samotność poety jednak pozostaje w tle.

W *Tajnym dzienniku*, z okazji ślubu kogoś z zaprzyjaźnionych młodych, Białoszewski zapisuje: „Mnie takie uroczystości, obrządki są zupełnie obojętne”. Zapiera się, aby, broń Boże, nie zaliczyć go do jakos wierzących.

Ale zaraz tłumaczy to swoim brakiem uspołecznienia: „... ja jestem tak jakby poza nawiasem społecznym”. Jednak i to określenie mu się nie podoba: „Jestem w zawiasie społecznym”, w głównej osi życia.

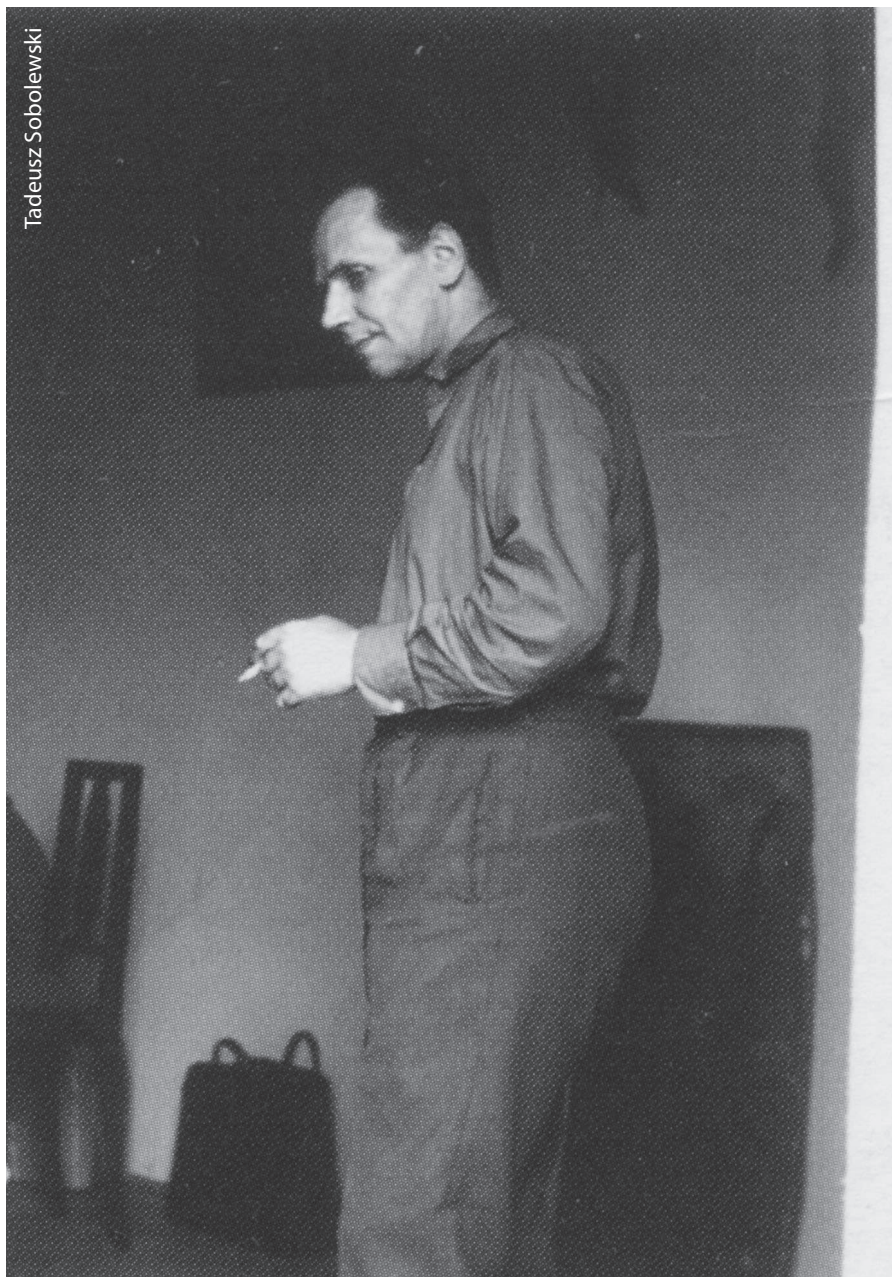
„Położyłem się ze słuchawkami na uszach. Oratorium Haydna o powrocie Tobiasza. Głośno nastawione dla mnie, a jednocześnie niesłyszalne dla innych. Świetne wykonanie. Bardzo mi się to spodobało i wprowadziło mnie w specjalny nastrój. Specjalny, to znaczy podniecający do myślenia i do uczuć”.

„Zapaliłem świece. Popatrzałem w świece i leżąc tak nieco embrionalnie na łóżku pomyślałem o człowieku. Nagle człowiek. Jedna z istot, która jest, czuje się. I zaczyna myśleć. Patrzy w ogień, buduje na tym całą piramidę mistyki przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Właściwie to to samo co śmy. Tylko śmy w natchnieniu lecą w ten ogień i od razu się spalają bez myślenia” (*Tajny dziennik*).

Postscriptum

W *Tajnym dzienniku* znalazłem zapis ze stanu wojennego z 1982 roku, który mnie głęboko poruszył. Życie publiczne w Polsce przeniosło się wtedy do Kościoła. Rozmawiało się o różnych znajomych, którzy popadli w dewocję. Co by było, gdyby to był ktoś z naszych bliskich? Miron zastanawiał się: a gdyby to była prawdziwa wiara? I dał mi do zrozumienia, że tego mu u mnie trochę zabrakło. Parę lat po jego śmierci otworzyłem książkę Kierkegaarda *Bojaźń i drżenie*. Słynny esej o bezowocności wiary, o milczeniu Boga, o bojaźni i samotności człowieka. Wypadła z niej karteczka: „Bardzo piękne. *Bojaźń i drżenie*. M.B.”.

Tadeusz Sobołewski



1. Rozwój i zmiany w polityce zagranicznej z 14 na 15, z
interakcją na Siedzi 1975, Kedy, stylizacja, Kończące z poszukiwaniem

Stanczakowa. Stanczakowna.

zaginiane, ~~idąc~~ w gór, kurye były ciemniejsze.
 pamiłany, niśto w niżi, popoda, ciepło.
 cielo, kurye, solie 3 inne, paliscon.

Dine na butellach treiz na
fusinee po soku grape-fruits.

Dalej mam akcje z ryby, nie
wstawiamy. Ciepło, bo paleniz ze
oknem ciepło na swój sposób.

Byłem z p. Kajetanem na dancingu
Kierocińskim. Tadeusz Kupiecki
„Melancholic” Kupieckiego, ~~Paj~~

2^o w południe zamiast miast Szybek
w końcu na Kłodzie Garduski.

Wszystko do już Spisane. W tej chwili
na 1 piśmie nie pisalem, bo było
na zimno, no ciemno nieopisane.

Piszem Ciem ze to ~~to~~ na tobie przy
lastance. Kłamać nie mogę.

Telefonować się nie jest
dobrze, bo się dużo b. długo. A
na miłość myślenie na pewno dobrze
i tak w sens, że w ułomności telefon

(2)

D-5

~~Pisze~~ Zamierzam telefonicznie się listy.

Sroda, 15 stycznia

Strimicki! Dostałem dziś list od Ciebie, ten z des-
tynką i zydówką. Słucha, że nie pyta-
ją o momenta zydówką z Wilny. Wtedy
mi ~~to~~ byłbym przekonany. Dł. Tadeusz przyje-
dzie kaski „już jestem w Bydgoszczu” -
tychto w całość - to pociąg, - on od 3 dni
już jest w Warszawie.

Strimicki! Twoje budy, masywnie są przez
z nich „oleś z kelina, zjedli krawa”.
„Dziadek... smojc na kolację jartogle”
„serwetki gaftowane na lzece”.

Twoje 00-682 z prapłku-jutro-
Kłowniem niegłowne. Nole do bawcip.²
Nole mąpowanie mojego 88-100?
Ja pisy do 88-100 - to takie
rowne. Ale i Tobie wolno się
bawić w 00-682. Też dla
żegn na pamiątki mejrachi mune
speszyc. ~~to~~ nie powinienem się

podruch do dzieła, i dopiero zobaczycie
 w naszym numerze 614. A jini
 po adresie Sobolewskich Chłobda
 11 m 1014, a jeszcze doświadc
 tego ich przepisywanie. To co!!!

Mój główny postać - pro autorem
 w "INOWROCLAWIU" jest pan
 Kajetan. Nazwiskiem go panem
 Hieronimem. Tak jak w "NA
 LINDLEY'A" głównym bohaterem
 jest Chrobry.
 Napisałem: już 155 stron.

Łączę na moim inowrocławskim rzemie
 słach. Jak mi coś, to przynajmniej
 ciekawo, ileś minut. Tam też idzie
 jakis fortepianowy z orkestrą.
 Chyba drugi raz ten sam. Chyba -
 bo mi się już myli z moimi płytami. Bo
 do wysłuchać moim. Tamten w drugiej części
 się oddał. Bo ciha i fela. I teraz z drugą

4) cyrus tego było to 52mm. ⁴⁻⁵ ~~Prac~~ Jasi
 jest trochę cyris - rybnia i głuskiego
 na tle morza w górniku, ale to
 nic. Tu są niżej nie denestuje,
 bo nie może pisać "ale to je koncept
 podejrzany, ^{koncept podejrzany, Morant i Morant, to jest}
 - Byłem i medalem nieciorem
 na tyrach naszego parku. Ścisłej -
 na namolniku Tzum parku mój przyrodzony,
 więc nas, styka się z zwiaduktom
 kolejowym. Przedtem. przez ten
 nieduży, długi. Pod nim - licylem
 jest to aż 27 torów, bocznice do Kopolin
 soli, ~~lokomotywny~~ w obrotach, pofaraz,
 szpami, ~~or~~ obnymie ~~szerepy~~
 szepi szerepy wagonów. ~~Szerepy~~
 leżame. Z daleka widać
 wzmożone brzoza stacji i ~~brzoza~~
 schłamy na kielku mierzwiach.
 Morant dojeżdża do końca. Jemu
 do. Jemu to. Jem.
 - Wysiadai!

Wysiadai! dojeżdża do końca. Jemu to. Jem.

Kochane
Stanisławski!

Inowrocław 16 stycznia 1975

on jest me od jeneru
a od inno (jeneru)
mgi me. Jeneru
Jednowrocław
Ty Jeneru
Jednowrocław

a
Innowrocław

Także mi do załatwienia. I chyba pójść
nadszłem na pisownię Innowrocław,
a jest me Innowrocław, do zlecia inno
Innowrocław.

Na tole idzie kyminał w tele, ale
nie chcieli mi się stać przy drzwiach, bo
- były miejsce średnie za teleka od ekranu -
Średnioty tam wzięli reumatyki
i reumatyki. I dnie intelektualistki
wpięto w ekran. I mgi Edady,
Komputer operetkowy. I pan Kąjda
z siłymi czołami do na ramionach.
Dziś przyjechała pani Wanda
Leopolda żona. Ciekawie u mnie;
bo p. Kąjda pomsto na miasto
a do parku i do kawiarni "Teatralnej".
Kiedy widać widać go za wstępnym
kółkiem
- to trzeba obdęć
- ale to trochę - mami

2)

- tak, ale jako u mnie
Pani Kelce, pan Kapelan zawsze
słuchają mnie.

- pojedziała już inspekcja,
odpraszając ją na dworec.

Pani Wanda Leopold od razu
wzięła ode mnie pozwolenie na tłumaczenie
na angielski „Pamiętnika z powstania”
dla amerykańskiej pani Levine.

Przygotowała mi tekst już angielski.

Pani Wanda jest w komisji dyspen-
sacyjnej. Powiadomili, że mi muszą pisać
podać. Ona do reżysera. Jest
młoda - trochę spóźniła. Tu pomyśle
opracowaniem, który przekazał mi.

O tym, co robi p. Kapelan. że

Siedzi na telewizji. Pani Wanda potwórkę

- tak on tak potwórkę, siedzi
i siedzi, i patrzy, na ekranie,
marzy sobie, i nie patrzy.

Nie wiem, że już na szczytach
procesów. Był organizm, potem p. K.
przygotował, a od tyłu podziwiał bardzo przybranie

4) I ten angieli są Kuzynami, i Oni
okupują mi niedig. Kuzyn
płnawczy ma medyczny charakter.
Kuzyn angieli jest reszank
miejscowo. Pamiątka jest Ania
płochatka i ~~idzie~~ ^{uważa się przysięgę}. Tani, jej
matka, poditancja Kokietka, ale
teraz. z determinacją na odwrócenie
menteli - chomby w gacie, pierwsze
inne. Ci żurzy Kuzyni na Bona
współzysp z sobą dobre, bo tak było
wspólny, ale kto mi - co było.
Bardzo się z tego cieszy.

Dziś na nity-moich okolicznych
ulicach w sąsiedztwie roboczym
kupa było zielon. Jak na
procentu listopada albo w. kinstu.
Są nawet Kinstu i Stokotki
płody obajimie stocznimach.
długo zieliska.

Garwolin, śnieg, noc 30 no 31 grudnia
1979 R-13

Kuchnia, śnieg, noc
Mama spi. Pół pod kuchnią.
Byłem na nocnym śniegu.
Potem przepisywałem, nastroi,
i pisałem.
Wobec czego przesyłam
pieniążki po telefonie niesz:

stara kuchnia w Garwolinie
myga do siebie

pożno
spiz na orano
a tam
na białe
śnieg
machą skrzydłami
ona też.

i długi
mierz

ŚNIEG

gęsto w niebie
~~z~~ z zapłotowania
ziemia

odpycha się ^(maga) ~~z~~ od siebie
i tak dalej

Goni 23/30 7/7

- Jest peszne mierz o kuchni
długi i mierz o rygloda-
niach oknem przez Mani się
i Stefa, ale dostaty się
dla odumiany Leszkom.

Śmieć perda. Noc dołatuje
konca. Mama pochngkiye
po swojemu (zawsze pochngkiate).
Kuchnia gada do siebie
Ślioda ze niedkupo rano.
Ale mihi tam. More się co
przyśni do zapisu. Miron 
Siskano

MIRON BIAŁOSZEWSKI

Listy do Jadwigi Stańczakowej
oraz Anny i Tadeusza Sobolewskich

1.

Inowrocław, 10 stycznia piątek piąta

Więc słuchajcie, jestem od rana rozradowany przeprowadzką. Dwa razy byłem w mieście, nabrałem wigoru. Nic mi nie dolega. Jestem już sam, w pokoju 41, na drugim piętrze. Widok na park i sad (bliżej), dziś mi się podoba przyroda. Z drugiego piętra widać o wiele więcej niż z pierwszego. Kawał parku, graficzny, ciemny, szary przeświecają alejki z wodą zapalili latarnie, nad tym wszystkim wielkie niebo poziomo ustawione do powolnego przechodzenia obłoki i obłoczyska. 6 stopni ciepła. Radio obok. Trzyzakresowe, niezsute, próbowałem, nawet chwila tego hałasu mnie bawi, bo to moje. A może i koncertów będzie można posłuchać. Bo to jeszcze na innej zasadzie niż w domu. Najbliższe temu to będzie radosne uczucie zamieszkania samemu w hotelu w nieznanym mieście. Dotąd mi się wierzyć nie chce, że tak się poszczęściło. A przecież nic nikomu nie mówiłem. To trochę zasługa Węgra, pseudowilnianina pana Kajetana i psychologa, który jest moim odbiorcą. Głównie tu zadziałał psycholog jako że ma moc.

Papirek ze związku podarłem po przyjeździe. To nieprawda że jego kompromitująca nie rzutowałaby na mnie. W takim wypadku jest nie papirek i baba, tylko Miron z papierkiem. Przed inną babą. On z papierkiem przeciw niej. Więc obyło się bez tej sceny. Z wielkiej swobody nie wiem, co robić, czy pisać list, czy zgasić światło i patrzeć w okno, czy nastawić radio; czy czytać, czy pisać swoje, czy pić sok, czy chodzić w dowolnym rozgogoleniu po pokoju.

Mam do użytku cztery czy pięć półek w szafie, w ogóle całe brzydkie trzydrzwiowe szafsko. Umywalka z dwiema wodami, śmietnik na pedał, miskę do mycia (bo tu w miskach i umywalkach się kąpiemy, łazienki nie ma, na prysznic trzeba zezwolenia, są kolejki, rano tylko, bo woda tu specjalna).

Mógłbym tu kogoś przyjąć i na sposób komediowy przetrzymać w drugim łóżku, na obchód – w szafie. Na klucz nie zamyka się pokoju na noc, ale na dzień wolno.

Zapisałem już 95-kartkowy brulion, zacząłem następny, czyli szósty zawałowy, a drugi Inowrocław.

Aha! Powiedźcie Tadekowi, że to siedzi na skwerze Kasprovicz. Pomnik z brązu [sic]. Poza tym jest koło kościoła romańskiego rzeźba baby płaczącej czy cieszącej się. Z niebrązu [sic]. W parku ozdóbki, papieskie prawie, bardzo wysokie i ażurowe.

Mam tu pełno bab obok, latają, skrzeczą, chichoczą, plotkują. Szczególnie dwie kumy za ścianą z głosami przekupek są dobre. Łowię całe słowa, a i kawałki zdań. Akurat tyle, ile trzeba.

Miron

2.

Inowrocław w nocy w styczniu z 14 na 15, z wtorku na środę 1975. Kolej sły-
chać, kołatania z poszumem,

Stańczakowa! Stańczakówna!

zagwizdanie idące w górę, księżyc był cieniutki pozłacany, nisko zawisł, pogoda, ciepło, cicho. Kupiłem sobie 3 świece, paliłem. Dwie na butelkach, trzecia na puszcze po soku grapefruit. Dalej mam akcję z szybą, nie wstawioną [sic]. Ciepło, bo palą i za oknem ciepło na swój sposób.

Byłem z p. Kajetanem na dansingu kuracjuszowskim. Tadekowi kupiłem *Melancholię* Kępińskiego, jako że w południe zaniósł mnie szybko w słońcu na Królowej Jadwigi. Wszystko to już spisane. W wychodku na 1 piętrze nie pisałem, bo było za zimno, za ciemno nieprzytulnie. Pisałem tam za to na łóżku przy łatarce. Kilka nocy.

Telefonować stąd nie jest dobrze, bo się czeka b. długo. A na miasto wychodzi na pocztę daleko i traci sens, cała ulotność telefonu.

Zamiast telefonu są listy.

Środa, 15 stycznia

Stańczakowa! Dostałem dziś list od Ciebie, ten z dentystką i żydówką [sic]. Szkoda, że nie przytoczyłaś mówienia żydówki z Wilczej. Wtedy może byłbym

przekonany. Od Tadzia przyszła dziś kartka „już jestem w Bydgoszczy” – rychło w czas – ta pocztą! – on od 3 dni już jest w Warszawie.

Stańczakowa! Twoje błędy maszynowe są nieraz w rodzaju „Oleś z Haliną zjedli krawat”. „Dziadek smażył na kolację j a r t o g l e”. „Serwetki gaftowane na l z e o e o”.

Twoje 00-682 z początku potraktowałem niepewnie. Może to dowcip? Może małpowanie mojego 88-100? Ja piszę 88-100, bo to takie równe. Ale i Tobie wolno się bawić w 00-682. Te dwa zera na pierwszych miejscach mnie speszyły. Nie powinienem się jednak dziwić, odkąd zobaczyłem w nocy tramwaj numer 614. A już po adresie Sobolewskich Chłodna 11 m 1014, a jeszcze dołóż do tego ich pięciocyfrówkę. To co?!!!

Moją główną postacią – poza autorem – w „INOWROCŁAWIU” jest pan Kajetan. Nazwałem go panem Hieronimem. Tak jak w „NA LINDLEYA” głównym bohaterem jest Chrobry.

Zapisałem już 155 stronic.

Łapię na moim inowrocławskim radiu Mozarty. Jak nie całe, to przynajmniej częściowo, ileś minut. Teraz też idzie jakiś fortepianowy z orkiestrą. Chyba drugi raz ten sam. Chyba – bo mi się już myli z moimi płytami. Bo to wszystko mam. Tamten w drugiej części się oddalił. Bo cicha i fala. I teraz z drugą częścią tego było to samo. Jeszcze jest trzecia część – szybsza i głośniejsza, na tle morza w garnku, ale to nic. Tu się niczym nie denerwuję, bo nie moja płyta. Ale to że koncert fortepianowy i koncert fortepianowy, Mozart i Mozart, to jakby sytuacja dostała zęza i ten szum czas zaczął mnie oglądać i dotyczyć w rozłożeniu na dwie raty.

Byłem niedawno, wieczorem na tyłach naszego parku. Ściślej – na narożniku. Tam park międzydrojowy więc nasz, styka się z wiaduktem kolejowym. Przeszedłem przez ten wiadukt, długi. Pod nim – liczyłem – jest aż 27 torów, bocznice do kopalni soli, parowozy w obłokach, pafania, sapania, olbrzymie zczepy wagonów. Latarnie. Z daleka widać wzmożone światła stacji i reklamy na kilku wieżowcach.

Mozart dojeżdża do końca. Jeszcze to. Jeszcze to. Już.

– Wysiadać!

3.

Inowrocław 16 stycznia 1975

on jest nie od jeno

a od inno

(jedno)

Więc nie. Jenowrocław
Jednowrocław
Tylko wrocław
Jedenwrocław
a Innywrocizm

Kochane Stańczaczki!

Tak mi to gdzieś zaświtało, chyba gdzieś natrafiłem na pisownię Innowrocław, a jeśli nie Innowrocław, to jakiś inny Innogrod.

Na dole idzie Kryminał w tele, ale nie chciało mi się stać przy drzwiach – były miejsca siedzące za daleko od ekranu. Siedziały tam wszystkie reumatyczki i reumatycy (dwie intelektualistki) wpatrzone w ekran, mąż Eddy, kompozytor operetkowy. I pan Kajetan z siwymi włosami na ramionach. Dziś przyjechała pani Wanda Leopold, żona. Czekala u mnie, bo p. Kajetana poniosło na miasto i do parku i do kawiarni „Teatralnej”. Kiedy wrócił wzięła go za włosy przy kołnierzu

- to trzeba obciąć
- ale to ładne – mówi
- tak, ale jak umyte

Przy kolacji Pan Kajetan śmieje się do mnie:

- pojechała już inspekcja, odprowadziłem ją na dworzec.

Pani Wanda Leopold od razu wzięła ode mnie pozwolenie na tłumaczenie na angielski *Pamiętnika z powstania* dla amerykańki pani Levine. Przygotowała mi tekst po angielsku. Pani Wanda jest w komisji stypendialnej. Powiedziała, że nie muszę pisać podania. Ona to załatwi. Jak widzicie – ciągle sploty. Tu pomyślne. Opowiedziałem jej, kiedy czekała u mnie, o tym, co robi p. Kajetan. Że siedzi na telewizji. Pani Wanda potwierdziła

– tak, on tak potrafi, siedzi i siedzi, i patrzy, na bierności, nawet może i nie patrzy.

Mówiłem, że na samym początku był ożywiony, potem jakby przygaszony, a od tygodnia bardzo przybrał na ruchu, na humorze. Powiedziała, że to, co ja zaobserwowałem, zgadza się dokładnie w czasie z nastrojami listów, które od niego dostawała.

W tej chwili leżę na łóżku, idzie w radio opera. Cała. Z publiką. Z oklaskami i okrzykami. Śpiewa Callas. To zapomniana opera Dionizettiego. Do tego czytam *Dożywotnie zesłanie* Marcusa Clarka, dziewiętnastowieczną powieść drobnym drukiem na 446 stron. W tej chwili na 159 stronie. Na samotnej ziemi, opuszczonej, w Australii, znaleźli się razem żona Kapitana z córeczką 12-letnią i pilnowacz

więźniów, wojskowy – wszyscy troje po buncie więźniów, wysadzeni tu przymusowo ze statku. A że uciekli przedtem, nim z wyspy władza wysiedliła więźniów, jeden z więźniów błąka się po dżungli i wrócił się, to trafił na tych troje. Są razem we czworo. W dodatku ten pilnowacz i ten więzień są kuzynami, o czym obydwaj nie wiedzą. Kuzyn pilnowacz ma niedobry charakter. Kuzyn więzień jest zesłany niewinnie. Panienska jest szczerą szlachetną i cieszy się przyrodą. Pani, jej matka, podstarzała Kokietka, ale teraz zdeterminowana na odważnie niestety – choruje w grocie, pewnie umrze. Ci dwaj kuzyni na razie współżyją ze sobą dobrze, bo taki los wspólny, ale kto wie – co będzie.

Bardzo się z tego cieszę.

Dziś na niby-moich okolicznych ulicach w ogródkach zobaczyłem bujne życie zieleni. Jak na początku listopada albo w kwietniu. Są nawet kwitnące stokrotki, płoty obrośnięte stadami młodzieńczego zielska.

4.

W-wa, 22 czerwca 76

Jadwiga! Pani Stacho!

Była we wtorek u mnie Roma. Zapomniała wziąć ze sobą dla mnie lekarstwo-
wy drobiazg. Powiedziałem jej, że poproszę Ciebie i panią Stachę żebyście po-
deszły jeszcze raz do Romy a ona przy tej okazji da ten drobiazg dla mnie. Oczy-
wiście zgodziła się. Tylko nie wiem, kiedy ma jakie dyżury. Myślę, że załatwisz
to podejście pod dom na górze z panią Stachą już wypróbowanym sposobem
przedobiednio-poobiednim.

Roma dobrze się bawiła. Wracła o w pół do pierwszej nocy pociągami. Od-
prowadziłem ją na sam peron. Trafiła na Agnieszkę, Anulę z jakąś Basią (zdaje się –
bratowa Anuli). Nadszedł pies w aureoli Rabindranatha Tagorego za psem Berbe-
ra. Była Wielebna Kicia Kocia. Tak każe ostatnio do siebie mówić. Topole wciąż się
pierzą. Kicia Kocia powiedziała

– będę przędła topole

we wtorek jedzie na Cimochowiznę. Z Kazimierza zrezygnowała. Najpierw ja
ustaliłem z Romą, że to szaleństwo – dwa domki w Polsce, ogłosiłem to Wielebnej
Kici Koci. Przyznała mi od razu rację.

Aha! Czytałem im Garwolin, kawałek rocznicowego Chamowa ze ślubem
Krzysia. Kilka majowych wierszy, m.in. ten telefon w sprawach przekładu z Biblii
do Ludwika. Romie bardzo się spodobał Garwolin.

Na zakończenie otworzyły się drzwi. Baby w krzyk

– o! o!

a to Roman Klewin. Z doniczką z kwiatkiem od Ady.

List ze Śródborowianki dostałem. U Dziadka byłem. To znaczy – stanąłem o 6 po południu przed drzwiami. Ale głos gosposi słyszę zza drzwi sąsiadki

– niech pan tu wejdzie, zaraz panu powiemy, co się stało, niech pan usiądzie, dziadek stłukł aparat

Usiadłem. Myślałem, że aparat do ucha – telefoniczny, ale jutro już przyniosą nowy, takżeśmy się zdenerwowały, i on też, to okropne

Ja na to

– To nie okropne. Wcale. Aparat będzie jutro. Dziadek w dobrej formie, chodzi.

5.

Garwolin 20 IX 79

Koch. Jadziu!

Nie wiem, czy napisałem na poprzednim liście z Garwolina ulicę Hożą bo jakiś stary mi się uklonił, pytał co słychać, ja że się chyba nie znamy, on że pół roku temu razem piliśmy, ja że to nie ja, on że to ja, ale poszedł.

Z Mamą lepiej. Coś je, chodzi, ja ją odwiedzam w oknie. Z rodziną niezbyt miłe jej kontakty. Jednak.

Ona mówi, że wróci do domu pewnie na kilka dni, może ją wypuszczą? Może by pani Anna zechciała się zgodzić na kilka dni być u niej od 1 października. Bym zapłacił pani Annie, ile zechce.

Do Leszka też napisałem.

Pogoda ciepło, spokój, chwila przerwy w napięciu. W nocy było tak ciepło, że ze dwa razy wychodziłem. Zupełna pustka.

Chciałbym pisać wiersze, nawet nadaję się do tego, tylko że oprócz chęci – brak reszty. Tak, jakbym wyszedł z wprawy, czy raczej tak jakby mnie coś nagłe wykoleiło. Bo też i wykoleiło.

Pozdrowy, ściski
dla Stachy
dla p. Anny
dla Eskich
dla p. Zdzisława
MIRON

6.

Garwolin, śnieg, noc

30 na 31 grudnia

1979

Kochana Jadziuto!

Mama śpi. Palę pod Kuchnią.

Byłem na nowym śniegu.

Potem przepisywanko, nastrój

i pisanko.

Wobec czego przesyłam pierwszy po telefonie wiersz:

stara kuchnia w Garwolinie

mryga do siebie

późno

śpią na czarno

a tam

na biało

śnieg

macha skrzydłami

ona też.

i drugi wiersz

ŚNIEG

gęsto w niebie

z zapatrzenia

ziemia

odpycha się nogą od siebie

i tak dalej

Garwolin, 29/30 XII 1979

Jest jeszcze wiersz o Kuchni drugi i wiersz o wyglądaniach oknem przez Maniusię i Stefę, ale dostały się dla odmiany Leszkowi.

Śnieg pada. Noc dolatuje końca. Mama pochrząkuje po swojemu (zawsze pochrząkiwała). Kuchnia gada do siebie. Szkoda że niedługo rano. Ale niech tam. Może się co przyśni do zapisu. Ściskam.

Miron

Do druku podał Piotr Sobolczyk

„Z wielkiej swobody nie wiem, co robić, czy pisać list, czy zgasić światło...”

Komentarz edytorski

Listy Białoszewskiego w znakomitej większości wciąż czekają na publikację. Incydentalnie opublikowano dotychczas listy Białoszewskiego do tłumaczki – w części „autokomentarzy” w tomie próz pośmiertnych (*Z listu do francuskiej tłumaczki* [z 4 maja 1960], w: *Proza stojąca, proza leżąca*, Warszawa 2015). W książce *Miron. Wspomnienia o poecie* (Warszawa 1996) przedrukowano fragmenty rękopisów listów Białoszewskiego do Józefa Czapskiego (z 30 kwietnia 1958 oraz zakończenie listu z lipca tego roku), Ludwika Heringa (z Paryża, 4 lutego 1959) i Kajetana Sosnowskiego (z 6 marca 1978). Blok listów do siebie podał drukiem Józef Baran (w swojej książce *Autor! Autor! Rozmowy z ludźmi pióra i palety*, Warszawa 1986). Wyjątkową i osobną pozycję stanowią *Listy do Eumenid*, tj. Marii Janion, Marii Żmigrodzkiej i Małgorzaty Baranowskiej. Wnet po ich publikacji w „Tekstach Drugich” (nr 6/1991) stały się „klasykiem”, często cytowanym w pracach badaczy, zawierają świetne uwagi o realiach szpitalnych, nicości i przeczuciu nadchodzącej śmierci, wreszcie doskonały autokomentarz do słynnego *Tanga Kici Koci*. Edytorzy *Tajnego dziennika* najzupełniej słusznie włączyli je do książki na prawach diariusza, korzystając z rękopisów zdeponowanych w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki IBL PAN.

Bo też i każdy z niepublikowanych listów pisarza, jaki miałem okazję widzieć, a drukujemy tu tylko kilka z nich, można i należy uznać za fragment „dziennika” czy „superdziennika”, jaki stale prowadził od lat siedemdziesiątych, żonglując między gatunkami. Wiele z tych listów mówi o sytuacjach muśniętych w jakimś wycinku twórczości, np. *Tajnym dzienniku* czy *Zawale*, ale tu rozwinętych, inne poszerzają to, co w dzienniku pominięte. Listy z Garwolina z okresu choroby mamy poety „dokładają treści”. A także nieznane do niedawna wiersze. Stylistycznie te listy są bardzo różne. Raz przypominają „typową” prozę Białoszewskiego, raz „typowy” wiersz tegoż, ale czasem i „nietypowy” jego wiersz, czasem zapisy dziennikowe, ale „na luzie”, bez tej koncentracji i kontroli, napięcia organizacyjnego. Trudno powiedzieć, czy tę różnorodność stylów wywoływały po prostu różne nastroje poety, czy też jest to świadoma gra literacka (ćwiczenie?). Korzystając z autodefinicji samego pisarza z jednego z listów, forma ta – gdy był poza Warszawą – zastępowała mu telefon, którego skądinąd nigdy w Warszawie nie doczekał.

Dziękuję serdecznie Tadeuszowi Sobolewskiemu, który przejrzał moje transkrypty listów i odpowiedział słowa, które trudno mi było odczytać.

Poniżej przedstawiam objaśnienia do siedmiu opublikowanych w tym numerze listów.

Podany do druku przez Tadeusza Sobolewskiego list z grudnia 1980 jest adresowany albo do Jadwigi Stańczakowej, albo do Tadeusza lub Anny Sobolewskich, choć najbardziej prawdopodobne wydaje się, że ze względu na fragment o „odpychających gusłach” katolicyzmu – do Tadeusza Sobolewskiego, bowiem ani Stańczakowa jako Żydówka, ani jej córka Anna nie były na tyle związane z katolicyzmem, aby wobec nich poeta chciał zaznaczać swoją odrębność. Zresztą w gruncie rzeczy adresat z tej grupy nie ma specjalnego znaczenia, listy te były pisane w zasadzie do ich trojga, a w każdym razie ze świadomością i intencją, że będą odczytane przez ich troje – i tak niektóre listy do Jadwigi zawierają informacje skierowane do Tadeusza itd. List pochodzi z ostatnich miesięcy życia matki Białoszewskiego, Kazimiery Piekutowej. Białoszewski wówczas przyjeżdżał co jakiś czas na dłuższe pobyty w Garwolinie przeplatane powrotami do Warszawy. Dzień 10 stycznia 1980 został opisany w *Tajnym dzienniku* (Kraków 2012): „Znów Garwolin. Mój przyjazd w nocy. Mróz. Ale na energii, z zapiskami w drodze i pisaniami, przepisywaniami. Całą noc. A nawet rano. Niejedzenie niczego. To wzmacnia dobre bycie. Mama normalnie żywa, coraz narzeka na spuchnięcia, ale bierze odwadniające pastylki, zioła, pomagają sporo. Mnie przed wstaniem do pociągu śniły się uparcie pielęgniarki, choroby, uciążliwości”. Dalej opisuje sen mamy o jej dwóch mężach. Jak zatem widać, są to dwie komplementarne relacje w zupełnie różnych stylach.

List 1. pisany z sanatorium w Inowrocławiu, gdzie pisarz przebywał na rekonwalescencji po zawale. Do sanatorium wyjechał 3 stycznia 1975. Węgier, pan Kajetan i psycholog to postaci opisane w *Zawale* (pierwodruk 1977) w części *Inowrocław*, z dwoma pierwszymi na początku Białoszewski dzielił pokój. Ostatecznie w wersji książkowej pozostał nie „Hieronim”, ale jednak „pan Kajetan”. Kajetan Sosnowski (1913–1987) był znanym malarzem abstrakcyjnym m.in. „obrazów białych” i „obrazów pustych”. Niektóre informacje z tego listu (np. że radio jest „trzyzakresowe, niepopsute”) zostały powtórzone także w książce (*Zawał*, Warszawa 1991), w zasadzie jednak więcej szczegółów zostało podanych w wersji do upublicznienia (Białoszewski oczywiście zakładał, że po powrocie do Warszawy odczyta fragmenty książki adresatce listu).

List 2. Motyw wstawiania szyby powraca w różnych fragmentach *Inowrocława*, także w zapisach z 14 i 15 stycznia, tego dnia salowa nie była pewna, czy uda

się ją wstawić jeszcze w te dni. „Spisany” fragment na temat *Melancholii* Kępińskiego zawiera dodatkowy komentarz pisarza: „Kupiłem *Melancholię* Kępińskiego, bo Tadzio chciał, w Warszawie zabrakło. To modne. I dobre” (*Zawał*). Jak myślę, tę dość prywatną informację pisarz umieścił w książce po to, aby zaznaczyć swoją pozytywną opinię o tej książce (a części czytelników wręcz Białoszewski mógł się wydawać osobą unikającą lektury takich dzieł). Tamże szerzej opisany „dancing”. Z kolei fragment listu z 15 stycznia zawiera w większości treści niewłączone do książki.

List 3. Wanda Leopold (1920–1977) – partnerka Kajetana Sosnowskiego (Białoszewski mylnie podaje w liście, że „żona”), krytyczka literacka, w latach 1960–1964 kierowała redakcją Polskiej Literatury Współczesnej w PIW-ie, gdzie publikował Białoszewski i stąd się znali. Sprawa przekładu *Pamiętnika z powstania warszawskiego* została w książce ujęta omownie: „Pani Wanda z torbą z maszynopisami różnych powieści przysyłanych na konkurs. Pani Wanda jest w komisji. Miała akurat do mnie sprawę. W moim interesie” (*Zawał*). Sprawa przekładu dopełniła się pomyślnie i dwa lata później ukazał się drukiem angielski przekład książki dokonany przez Madeline G. Levine (profesorkę slawistyki na University of North Carolina, później tłumaczkę także Brunona Schulza, Hanny Krall, prócz Czesława Miłosza) jako *A Memoir of the Warsaw Uprising* (Ardis, Ann Arbor 1977). *For the Term of His Natural Life* Marcusa Clarke’a to klasyczna gotycka australijska powieść z 1874, jedna z pierwszych ukazujących żywot zesłańca w Australii. Białoszewski gustował w powieściach gotyckich.

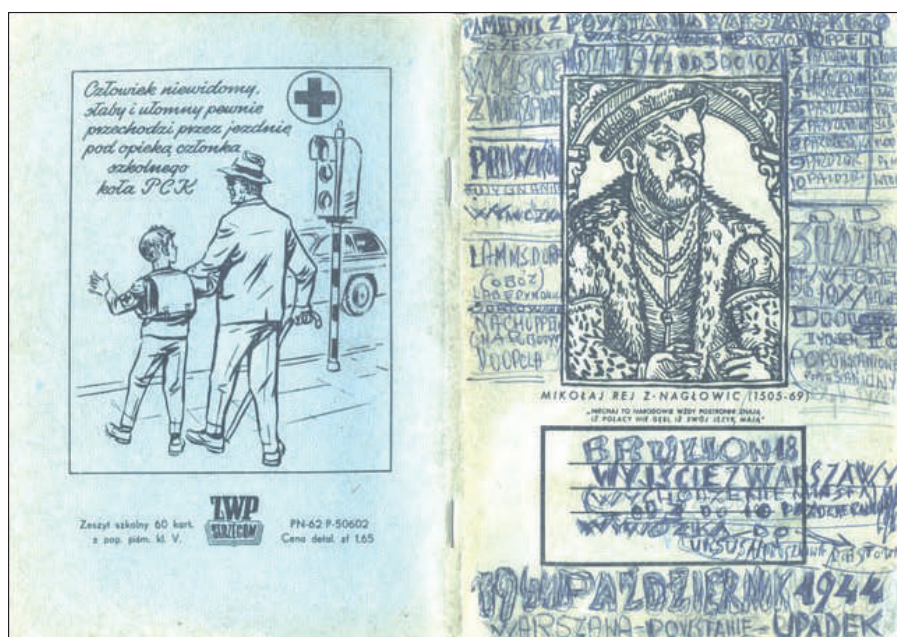
List 4. Stacha była przewodniczką Jadwigi Stańczakowej. Roma Kluba-Oliwowa była przyjaciółką Białoszewskiego z okresu jego pobytu w sanatorium w Otwocku w latach sześćdziesiątych, z którym była związana zawodowo, do czego zresztą niniejszy list nawiązuje (najpewniej chodzi tu o przekazanie kodeiny lub efedryny, od których pisarz był od czasów sanatoryjnych uzależniony). List dokumentuje jeden z „wtorków” u Mirona, czyli cyklicznych spotkań prywatno-literackich w jego mieszkaniu, wcześniej na placu Dąbrowskiego, tu – na Lizbońskiej. Nie został on opisany w *Tajnym dzienniku* (zapisy w nim dotyczą 19 i następną 24 czerwca). Pozostali goście to Agnieszka Petelska z d. Kostrzębska, polonistka, która napisała pracę magisterską u Artura Sandauera o Białoszewskim i tak poznała autora; Anula Żurowska, anglistka, tłumaczka, joginka, astrolożka, łączyły ją z Białoszewskim fascynacje ezoteryczne; Berbera – Ewa Berberyusz (1929–2020), dziennikarka, reportażystka i przyjaciółka pisarza; Kicia Kocia – malarka Halina Oberländer z d. Pfeffer, jeśli się nie mylę, list ten poświadcza bodaj pierwsze użycie pseudonimu Kicia Kocia, który potem stał się kanwą dla fikcyjnej postaci

literackiej z kabaretowych tekstów poety (Kabaret Kici Koci), Roman Klewin i Ada Buraczewska – artyści plastycy i przyjaciele Białoszewskiego, który czasami nocował w ich pracowni, trafili do utworów pisarza, wspólnie tworzyli też „filmiki”. Śródborowianka to ośrodek wypoczynkowy w Otwocku należący do Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów.

List 5. Opis tego dnia został pominięty w *Tajnym dzienniku*. Pani Anna – gospodyni u Stańczaków. P. Zdzisław (Stañczak) – mąż Jadwigi, z którym pozostawała w separacji.

List 6. Opisany dzień został pominięty w *Tajnym dzienniku* (jest miesięczna wyrwa między zapisami z 1 grudnia 1979 a 1 stycznia 1980). Dwa wiersze z tego listu nie zostały opublikowane za życia poety, znalazły się dopiero w tomie posthumów *Świat można jeść w każdym miejscu* (Warszawa 2017), pierwszy z niewielką różnicą interpunkcyjną. Maniusia i Stefa to bohaterki utworów „garwolińskich”, Maniusia była kuzynką matki Białoszewskiego, zaś Stefa była kuzynką Antoniego Piekuta, drugiego męża matki pisarza. Wiersz, który został wysłany Leszkowi (Solińskiemu) to najpewniej **„Mama w Garwolinie opowiada** / Maniusia, jak przyjdzie, / to zaraz do okna, / a co w tym oknie? / ściana / komórka / i badyle na niebie” (tamże). Rzeczne okno było ulubionym Białoszewskiego, wielokrotnie opisywał swoje medytacyjne wyglądania przez nie. Dlaczego ten akurat wiersz trafił do Leszka a inne do Jadwigi? Być może dlatego, że lubił on starsze panie o nieco ekscentrycznym, nawet jeśli niekiedy ludowym sposobie bycia, pełniły one u niego rolę tzw. gejowskich diw. Poeta prawdopodobnie tak dobierał wiersze – bardzo różne – aby utrafić w gust adresata.

Piotr Sobolczyk



Zachowało się dwanaście z osiemnastu zeszytów z rękopisem *Pamiętnika z powstania warszawskiego*. Nie jest to zwykły manuskrypt ani nawet brudnopis dzieła. Bruliony okazują się innym tekstem, różnym od wersji opublikowanej. Tworząc bowiem *Pamiętnik*, Białoszewski prowadził zarazem niesystematyczny dziennik. Odnotowywał stan pogody, relacjonował spotkanie ze znajomymi, którym czytał fragmenty, zapisywał niektóre bieżące wydarzenia, a także uwagi nieledwie historiozoficzne. W drukowanym *Pamiętniku* tego wszystkiego nie ma.

A.P.

figuralne woty miało w ten (37)
bo do ten w Polsce i w pig-
knych walcach są potężne
wkopane tury.

Rzecz to podryk "Stolica"
w zlepi "Wroclawskie
głębokości" (i postrzeganie) i dokumenty
są w ten sposób, w ten sposób.
Na ten sposób, na ten sposób
pamiętnika i pamiętnika, w ten sposób
w ten sposób, w ten sposób
s. 100 punkt na rali. A to było
dokładnie pięćdziesiąt list.

W czasie od zeszłego do tego
rocznicy, były to dwa lata
w których, w ten sposób, z do-
kładem, o ile, w ten sposób, w ten sposób
o ile, o ile, o ile, o ile, o ile
ci, w ten sposób, w ten sposób, w ten sposób
cia są, w ten sposób, w ten sposób
omaciane, w ten sposób, w ten sposób
synonym, do, w ten sposób, w ten sposób.

zami forengli np. W-let (38)
do dnia merki w dniach
miejscach, zostali do sy. Tylko
z odprawy od Kulek
byli segregujący.

Na dzień grania ten
oficjalnie ogłosił się ~~potrzeba~~
na ogólny ~~Wzrost~~ ~~rozprawy~~
ustalił się nie da dochodzić.
Ale jest wiadome, że do ty-
sięcy napewno zgłoszono w Szwaj-
carii 1944.

W swoim ~~frankfurcie~~, opóź-
niło się z ~~krain~~ się da
Szwajcarii, przyczyną mogą po-
móc, że byłem szwajcarskim
i jestem ~~krain~~ jednym
z największych "doktorów"
historycznych szwajcarii. Wielki
wojna 1939-1945 ~~leży~~
się bardzo, choć ale to
bardzo, z tym ~~za~~ tak,
długo, bardzo, jako historia

chodby, sensacja na 6 uł. 1000 39
tępo w samej Polsce, w
jakie chodby Krynica na
smoleńsk skąd i na killebuck
pauzstul, to dotkami jej
soryli ~~dot~~ ~~se~~
jest. Długo jedna noc ~~Allegro~~ ~~Allegro~~ ~~Allegro~~
Leningrad / ~~grodowska~~ ~~2-100-100~~ ~~100-100~~
wiel, i tego dla 2 na brud
bo, pnie 2-100 /

Hingzima - jedna chulie, grz
i nie na Hingzima
i jest ~~podobnie~~ ~~ongwa~~ ~~Wzrost~~ ~~300 000~~ ~~1000~~
z wasnymi Ania dot-
kami, bo przewidy
supuy, prouctel (dla)
Smog - drugi senadule, m
Komec napieknego na
swele supyle tydon
odstuleg, na to uł. 100
w Wyh. foma, 2000
w Wyh. foma,

braci - Powstałe 1944
angli zmuszone do końca
~~milijony~~ miliona tej nitry,
do tego stolicy - stolicy
nabawiały na świecie
zmuszone stolicy / nie
nagrody i nagrody / spore /
nabawiały zmuszone w ciem
też praca na podstawie
od 1966 roku, przykryje
o rok, a w tym samym
- do 1 doświadczyć przez sześć
lat wojny, ale nie
i wtedy rok są to rzutki
zamiast nieprzyjemności.
Konty są / myślenie tego
roku - ten 9 maja 1965
została wprowadzane w życie

Szkiego i jego rodziny
w. wielkie, wiele naboru
z wielkimi zyskami
w 600000000 Polaków
w 800000 milionów w Ameryce

ADAM POPRAWA

Pamiętnik duszy z powstania warszawskiego

Czy Białoszewski zdążył zobaczyć figurę Chrystusa, leżącą na bruku przed zrujnowanym kościołem Świętego Krzyża? Kiedy na początku września poeta przechodził kanałem pod Krakowskim Przedmieściem, rzeźba jeszcze stała; kilka dni później zrzuciła ją siła detonacji spowodowanej przez Niemców wewnątrz świątyni¹. Trasy powstańcze (naziemne) Białoszewskiego przebiegały gdzie indziej. Mógł ewentualnie widzieć figurę w krótkim czasie po upadku powstania, lecz wtedy najprawdopodobniej także do niej nie dotarł: według relacji z *Pamiętnika z powstania warszawskiego*, Miron i Swen, przypatrując się zniszczonemu miastu, znajdowali się wprawdzie relatywnie niedaleko, przeszli jednak inną trasą. Zaraz też, wraz z niemal wszystkimi warszawiakami, Białoszewski musiał stolicę opuścić. Ponowne ustawienie rzeźby przed kościołem – 19 lipca 1945 roku – mógł już obserwować. Nie był jeszcze wtedy reporterem „Kuriera Codziennego”, a można zasadnie przypuszczać, że opisałby powrót Chrystusa przed zniszczony kościół.

Znał jednak najpewniej któreś ze zdjęć przedstawiających figurę zrzuconą na warszawską ulicę. (Jeden z bardziej rozpoznawalnych przekazów ikonicznych kultury polskiej jest zresztą dziełem niemieckiego fotografa...). A kwestia mnie zajmuje, gdyż obraz ten mógł być jednym ze składników inspiracji Białoszewskiego jako autora wiersza *Chrystus powstania*, pochodzącego z roku 1947. Może zresztą artystyczna synteza wprowadzająca postać Odkupiciela do (po)-powstańczego

¹ Samobieżne miny zwane goliatami wybuchły 6 września. Niektórzy kwestionują upadek figury jako bezpośrednie następstwo eksplozji. Zob. Jerzy S. Majewski, *Kościół św. Krzyża. 117 lat temu ustawiono figurę Chrystusa*, <https://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/7,34862,19116920,kościół-sw-krzyża-117-lat-temu-ustawiono-figure-chrystusa.html> (dostęp 01.05.2022).

świata jest pomysłem własnym poety? W każdym razie dałoby się ten utwór uznać za przełomowy, nie tylko dlatego, że był pierwszym wierszem autora opublikowanym w obiegu, by tak rzec, oficjalniejszym, poza powielaczowymi drukami bratniackimi². *Chrystus powstania* jawi się bowiem jako metafora periodyzacyjna ewolucji twórczości Białoszewskiego: jest świadectwem wcześniejszych natchnień i poszukiwań poety, a zarazem ich domknięciem. Później będzie coś nowego, które byłoby jednak inne, gdyby nie dokonane autorskie wybory, polegające przecież także na zakwestionowaniu stylów preferowanych i próbowanych przezeń dotąd.

Na ramionach usnął ci ogień
kołysze go w brąz płonące miasto
dwa stosy masz zamiast powiek
ale jest krzyż z gorących oddechów.

Idź przez mur do czerwonych arkad
między popiół tłum
i przemieniaj na wargach
ogromne liście płomieni w wino.

Barykady jak Góry Oliwne
szumią okruchami kości –
dłoń po dłoni wywlec
spod ziemi bruków i odpuść.

Wstąp w Jordan kanałów –
w szlamie zielonym jak wieczność
szukaj nieżywych włosów:
w Imię Ojca... i Ducha...³

² Kilka wierszy Białoszewskiego ujrzało światło dzienne w 1946 roku w piśmie Towarzystwa Bratniej Pomocy Studentów Uniwersytetu Warszawskiego „Akademik”. *Chrystus powstania* opublikowany został natomiast w dwutygodniku literacko-społecznym „Warszawa”, nr 5/1947.

³ Miron Białoszewski, *Polot nad niskimi sferami. Rozproszone i niepublikowane wiersze – przekłady poetyckie – dramaty – 1942–1970*, Warszawa 2017. Edytorzy tomu, Maciej Byliniak i Marianna Sokołowska, podali tekst według czasopiśmiennego pierwodruku. Leszek Soliński zaś, korzystający z zachowanego maszynopisu, ogłosił wersję nieco odmienną: po strofach pierwszej, drugiej i trzeciej brak kropek, pod tekstem zaś widnieje data: 1947. Dopełniacz *Powstania* zapisany jest (w *Nocie edytorskiej* oraz *Spisie treści*) wielką literą. Zob. Miron Białoszewski, *Wybór poezji*, wyboru dokonał Leszek Soliński, Warszawa 1996.

Jasne, niepodobna taka poetyka do sposobu wierszowania zwykle kojarzonego z Białoszewskim, także do ballad z *Obrotów rzeczy*. Intrygująco skomentował tekst Stanisław Burkot:

„Powiedzmy od razu: to dobry i dojrzały wiersz⁴. Jest w nim wszystko, co dostrzegł w innych utworach autora Zygmunt Lichniak – i sugestywność stylu, i »oszczędne nasycenie patosem«, i zgodność łamanej strofy z »falowaniem myśli«, i dążenie do »wysokogatunkowych efektów artystycznych«⁵. Od tego miejsca mógł się zacząć inny Białoszewski – zrodzony z ducha Czechowicza i po części Miłosza. Byłby to dobry, znaczący poeta”⁶.

Chrystus powstania pojawia się tutaj ze względu na miejsca wspólne wiersza z *Pamiętnikiem z powstania warszawskiego*, innym przełomowym dziełem pisarza (przełomowym również dlatego, że to jego pierwsza książka prozą). Tamże pokrótce przedstawił autor swoje ówczesne, w roku 1944, zapatrywanie na kwestię religii:

„Byłem wtedy na jakiś sposób jeszcze wierzący. (Niektórzy sceptycznie albo ironicznie na pewno na to patrzą. Albo i szyderczo to wspominają, co mnie drażni, chociaż nic nie mówię, bo mam z tym powiązanie po prostu uczuciowe)”⁷.

Skoro zaś tak, to *Chrystus powstania* może również świadczyć o odchodzeniu poety od chrześcijaństwa, nie przestając być zarazem konstrukcją przestrzeni łączącej przeciwstawne sfery *sacrum* i *profanum*. Albo też – odwołując się do kategorii estetycznych – stylu wysokiego i niskiego⁸. W perspektywie jednakże religijnej: czy Białoszewski decyduje się na bluźnierstwo, jeszcze (bo niewierzący już nie bluźni), czy też pragnie (powtórzyć trzeba przysłówki) jeszcze, by Jezus pozostał jako odniesienie wiary? W niepełnym znaku krzyża, uczynionym w ostatnim

⁴ Ciekawe, że Tadeusz Sobolewski (zob. *Człowiek Miron*, Kraków 2012) wymienia ten utwór w szeregu dokonań „jeszcze nieporadnych”. Nie zaczynałbym pewnie niniejszego tekstu od tego wiersza, gdybym nie cenił go znacznie wyżej. A u Sobolewskiego tytuł ten pojawił się w nieco większym zestawie, mającym objąć całość dzieła wraz z jego zasadniczą kwestią: „Czy da się rozwikłać największy paradoks naznaczający tę twórczość [...]”? W tych »niewierzących« wierszach i prozach Bóg, aniołowie, Chrystus, święci, mistycy przywoływani są nieustannie, bezceremonialnie, jak postacie literatury”. *Op. cit.*

⁵ Burkot nawiązuje do cytowanego przezeń omówienia wspólnego wieczoru kilku poetów, w tym Białoszewskiego. Zob. Zygmunt Lichniak, *Wieczór poetycki Klubu Młodych*, „Warszawa” nr 4/1947. Zauważmy, że w następnym numerze periodyku pojawi się *Chrystus powstania*.

⁶ Stanisław Burkot, *Miron Białoszewski*, Warszawa 1992.

⁷ Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, Warszawa 2014. Pozostałe przytoczenia pochodzą z tego samego źródła.

⁸ Por. Stanisław Burkot, *op. cit.*

wersie, w Trójcy Świętej brakuje Zbawiciela, który pozostał w powstańczym świecie, co oznaczać może również, że i on, Chrystus, poddany został wielorakim niestwierdzonym procesom.

Pamiętnik z powstania warszawskiego jako zapis doświadczeń religijnych? Taka kwalifikacja byłaby może przesadą, nie stanowi jednak pomyłki. Zwłaszcza jeśli pamiętać w trakcie lektury o przytoczonym już komentarzu autobiograficznego bohatera. Szeroko rozumiane motywy religijne należą w tym dziele do niebłahych. Wiele zależy od potraktowania pozornie niewymagających komentarza detali. „O Jezu!... nie deptać... O Jezu!...”; „O Jezu... – To ci ranni”. Można zatem uznać wypowiedzi chorych, potrąconych w ciemności przez przechodzących, za proste, spontaniczne reakcje werbalne, pewnie czasem półprzytomne. Czy Białoszewski jednak nie dokonał wyboru spośród zapamiętanych sytuacji? Tak, część cierpiących na pewno zachowywała się w opisany sposób, ale czy wszyscy? Wiedza o różnorodności charakterów podpowiada, że ów niedostatecznie uważny przechodzień mógł usłyszeć również przekleństwo. Nie zmierzam bynajmniej do tezy, zgodnie z którą intencją (selekcjonującego) autora był zapis najkrótszych westchnień modlitewnych, cokolwiek rozpaczliwych. Imię Jezusa pojawia się w utrwalonych w *Pamiętniku* słowach rannych, gdyż również takie właśnie wypowiedzi złożyły się na zrekonstruowaną w dziele fonosferę powstania (a ile tam onomatopei!). Lecz Białoszewski to również analityk języka: powtarzając wołacz „O Jezu”, poniekąd autonomizuje wyrażenie, otwierając je na wieloznaczność. Odczytanie tych słów (na przykład) jako aktu religijnego w pustce, wobec pustki – jest zatem dopuszczalne.

Podobnie z kościołami. Jedną z najczęściej powtarzanych nazw własnych (czy ściślej: rzeczowników pełniących taką funkcję) są Dominikanie, Paulini, Sakramentki – tak określa się konkretne świątynie, którymi opiekują się wskazane zakony. Oczywiście, to obiekty architektoniczne topografii Warszawy, jednakże ich nagromadzenie (wraz z majuskułami) sprawia, że język zaczyna naznaczać szczególnymi sensami kreowany za jego pomocą świat przedstawiony. Jakbyśmy co rusz mijali klasztor lub kościół. Poruszamy się bowiem, wraz z bohaterami, w terenie wciąż noszącym pamięć *sacrum*. I desakralizowanym. Bo nawet epizod o walkach wewnątrz świątyni może być zapisany w trybie nie do końca pewnej wiedzy lub niebudzącej specjalnych emocji wzmianki:

„Poza opowieściami o słynnych walkach w »Paście« [...] i w kościele Świętego Krzyża, gdzie podobno Niemcy byli na kościele, a Polacy na chórze z organami i nawet wyrywali piszczałki, żeby ciskać [...]. A w kinie »Apollo«, blisko nich [Haliny

i Ojca], dawali film. Dokumentalny. Z walk w kościele Świętego Krzyża. Sama oglądała. Opowiadała wtedy”.

Tak jak w lirycznym skrócie *Chrystusa powstania* perspektywa religijna niknęła w negujących powstańczych doświadczeniach, a zarazem doznania te, dzięki odniesieniu do postaci tytułowej, uwnioślały się – podobnie w epickim rozmachu *Pamiętnika* zderzają się najróżniejsze metody traktowania rzeczywistości przez autobiograficznego bohatera, i ta wielość się nie znosi, nie niweluje, lecz wzajemnie podkreśla. Może więc w dowcipnym skojarzeniu zaproponować Białoszewski zaskakującą paralelę: „Kręciła te zacierki. Jak wszystkie kobiety. Piwnice. Bez przerwy. Albo różańce. To i to – drobione. Podobna technika”. I może również konkretnie i egzystencjalnie odczytać tak dobrze od dzieciństwa znane słowa *Pozdrowienia anielskiego*:

„Pamiętam jaskrawą tożsamość »teraz« i »w godzinę śmierci«, ile razy ją odczuwałem przy odmawianiach, a wciąż się odmawiało, słyszało, tu, obok, tu drugi raz, na spacerze, u tych obok, i obok dalej, i jak przejść dalej, i jak iść, jak coś tylko głośniej waliło, to to jak fala:

– Zdrowaś, Mario, łaskiś pełna...

– Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen”.

A zaraz po tym przechodzi autor do analizy estetycznej. Otóż w kolejnych piwnicach śpiewają *Pod Twoją obronę*. Bohater słucha, idąc wzdłuż tych pomieszczeń i zauważa, iż mijane chóry nie zaczęły śpiewać pieśni w tym samym czasie. Co więcej, sto kilkadziesiąt stron dalej raz jeszcze opisuje identyczne doświadczenie. „Pamiętam, że na pewno w trzech piwnicach po kolei trzy różne miejsca tej samej *Antyfony*”. Autor nie używa wprawdzie terminu muzycznego, niemniej zafascynował go tak powstały kanon, co stanowi jeden z istotniejszych sensów tych fragmentów. Gdyby Białoszewski nie interesował się muzyką, pewnie nie zwróciłby uwagi na tamte, by tak rzecz określić, współbrzmienia w ruchu.

W polskiej tradycji, jak powszechnie wiadomo, religia niejednokrotnie wręcz zrastała się ze sprawami narodowymi. Nie darmo jednak *Pamiętnik z powstania warszawskiego* okazał się czymś aż tak radykalnie nowatorskim. I nawet jeśli wśród pamiętnikowych motywów sporadycznie pojawiają się i takie o proweniencji patriotyczno-katolickiej, to autor pozostaje raczej ich obserwatorem niż spadkobiercą bez zastrzeżeń. Już zresztą w *Chrystusie powstania* – mimo że i Chrystus, i powstanie – nie ma nic z mesjanizmu. Ba! Nieporównanie bliżej temu wierszowi do *Chrystusa miasta* Tuwima niż do Mickiewicza... Kiedy zaś autor relacjonuje w *Pamiętniku* powstańczy dzień 15 sierpnia, święto przecież historyczne, państwowe, wojskowe i maryjne, to owszem, uroczystą sumę traktuje (wraz

z innymi) jak coś w rodzaju czasu wyłączonego (tuż po którym zaczął się zresztą nalot): „Nikt nie brał pod uwagę możliwości zamieszania, popsucia się szyków”. Natychmiast jednak powstaje ironiczny kontrapunkt: „Ani że prawie nikt się nie golił dwa tygodnie”. Odbywa się więc wielka msza zarośniętych. Nim się zaczęła, przedstawił autor komentarz polityczny na temat oczekiwań na ponowny cud nad Wisłą, tym razem z wejściem Armii Czerwonej. A po zakończeniu mszy *Boże, coś Polskę*. „Odśpiewało się. Rozeszli się. Wszyscy”. Czy to nie zbyt zdawkowy zapis, nawet jak na Białoszewskiego? Epizod nie wymagał dynamizującego rytmu, znanego z innych partii książki. Te trzy części składniowe brzmią tu (przynajmniej) trochę jak parodia wojskowych komend.

Inaczej wyglądają *Spowiedź powszechna* i komunია z pragnienia, bez komunikantów, także opisane w *Pamiętniku*. Jakkolwiek pozostają obrzędami zbiorowymi, to – zważywszy na istotną redukcję ceremoniału – mogą się stać, przynajmniej u niektórych uczestników, bardziej czy szczególnie uwewnętrznionymi aktami religijnymi. Aktami zaś skrajnie immanentnymi byłyby zachowanie kobiety, wzywającej do modlitwy do świętego Krzysztofa i w zapamiętaniu odmawiającej Psalm 91 w parafrazie Kochanowskiego, oraz pan Szu., który również w zapamiętaniu śpiewa *Godzinki*.

Prowadzone przez Swena modlitwy⁹ i przybierające formę nabożeństwa odczytywanie przezeń powstańczych gazetek jest przez Białoszewskiego komentowane z perspektywy teatralnej tudzież poetyki odbioru.

„Odmawianie modlitwy przez Swena wynikało nie tyle z jego pobożności, co z aktorstwa. Przedtem te modlitwy były nieco monotonne. Ze Swenem zrobiło się od razu ciekawie. I sensowniej. Swen, oprócz aktorstwa, miał wyczucie żywotności, czyli najświeższych potrzeb”.

Nie zabraknie przy tym dumy z powodu autorstwa modlitwy napisanej przez Mirona i Swena: „Wiecie, panowie, że waszą litanię odmawia w tej chwili półtora tysiąca ludzi w moim bloku”. I przekazywanie przez tego drugiego aktualnych komunikatów:

„Czytał na głos gazetki (od razu przechodzę do tego, bo to jednakowa liturgia), zawsze wtedy stawał pośrodku wszystkiego, w głównej alei głównej nawy, bo tak już zabrnęliśmy w porównanie, ale słuszne, bo to było trzynawowe.

⁹ Zob. też np. Andrzej Zieniewicz, *Małe iluminacje. Formy prozatorskie Mirona Białoszewskiego*, Warszawa 1989; Ewa Nofikow, *Metafizyczne gospodarstwo Mirona*, Białystok 2001. Druga autorka chce, mimo wszystko, dostrzec w opisanych przez Białoszewskiego modlitwach więcej niż jedynie społeczno-teatralną formę.

[...] Dwie baby brały z ołtarza dwie świece do oświetlania najnowszych wiadomości. [...] Zapalały je [świece]. I jak do odczytywania Ewangelii zbliżały się do Swena i stawały po jego dwóch stronach. Diakonki. Ja byłem subdiakonem czy kościelnym”.

Zauważyć warto, jak Białoszewski tłumaczy porównanie pomieszczenia piwnicznego do budownictwa kościelnego. Owszem, termin „nawa” nie jest stosowany wyłącznie w architekturze sakralnej, ale przede wszystkim tak (jeśli nie wyłącznie) kojarzy się w przywołanym fragmencie. Tymczasem autor, rzekomo wyjaśniając porównanie części piwnicy do nawy, nie tyle przedstawia zasadę zestawienia, ile skupia się na czymś innym, mówiąc że nawa, „bo to było trzynawowe”. Domniemane *ignotum per ignotum* staje się sygnałem literackiej autonomii, nadrzędności estetycznej. Konsekwencją, a też poczucie humoru, z jakimi ta scena została napisana, pozwalają porównać ją do słynnej parodii mszy rozpoczynającej Joyce’owskiego *Ulyssesa*. Wysoki modernizm trwa.

Wychodzenie z miasta, po powstaniu, kojarzy się Białoszewskiemu z Sądem Ostatecznym. Dziwny to jednak Sąd Ostateczny, skoro nie ma podziału na zbawionych i potępionych, co najwyżej Niemcy w roli porządkujących aniołów. I raz jeszcze: nie od rzeczy będzie nazwać ten koncept modernistycznym i do intertekstualnej analizy sięgnąć po wiersz Herberta *U wrót doliny*. Nie sposób forsować tezy o deskralizującej u Białoszewskiego (bo u Herberta jak najbardziej) funkcji porównania do Sądu Ostatecznego, gdyż w trakcie opuszczania Warszawy przez jej mieszkańców dochodzi do gestów pojednawczych między wypędzającymi a wypędzanymi.

Autor wspomina swoje dziecięce wzruszenie słowami śpiewanymi podczas nieśporów. „Dlatego to piszę. Bo to się zazębia o siebie. Wszystko”. Gdyby uznać ten fragment za metaforę uogólniającą, pojawiłaby się kusząca przecież teza o niespornych początkach książki... Lecz zaimek wskazujący w pierwszym z cytowanych przed chwilą zdań dotyczy bardziej passusu dzieła, nie całości. W każdym razie przekonania o religijnej genezie *Pamiętnika* nie da rady udowodnić. Ani bez najmniejszej wątpliwości odrzucić.

JÓZEF ZIĘBA

Miron Białoszewski
Wieczór autorski w Lublinie



Fotografie ze spotkania autorskiego Mirona Białoszewskiego w Muzeum im. Józefa Czechowicza w Lublinie, 8 kwietnia 1976.











PIOTR SOBOLCZYK

Święte tańce – pisma nieświęte

Ani i Tadeuszowi Sobolewskim

Pod koniec życia Białoszewski w prywatnym, do dziś nieznanym liście do Anny lub Tadeusza Sobolewskich bądź do Jadwigi Stańczakowej cytuje w otwarciu zeniczny koan: „olbrzymia pustka, a w niej nic świętego”. W poinczie listu-wiersza, do której jeszcze wrócę, pisarz wyraża „niechęć do xięży, katolicyzmu, nietolerancji, uprzedzeniowości”. Klamra jest jasna, brak świętości jest pozytywny, wypełnienie – w przeciwieństwie do pustki – rytuałami, obrzędowością i kiczem religijnym („dwie / świece i krzyżyk. Te / brzydkie przedmioty odczułem / jako odpychające gusła. / Bo podstawki do krzyżyka, / Świeczek i wazonu wstrętne / z plastiku”) jest niedobre, jeśli to „świętość”, to groteskowa, nadto wiąże się z nietolerancją. List, choć pisany w Białoszewskiego stylu, łączącym „akcydentalne” opisy codzienności (baba wylewająca wodę i nosząca węgiel za 400 zł itp.) z myślami filozoficznymi (połączenie to jest zresztą w zgodzie z zen...) można by uznać za swoisty *quasi*-testament, podsumowanie pewnego wątku duchowego w życiopisanu, szczególnie że poeta znajduje się wówczas w Garwolinie u chorej matki, jego sny nawiedzają wizje śmierci, tak jakby przeczuwał jej śmierć (list datowany jest na 10 stycznia 1980, matka umarła w Wielkanoc tego roku, w kwietniu)¹.

Jeśli tedy próbować potraktować niniejszy list jako *quasi*-testament pisarza, to znaczy wypowiedź podsumowującą czy domykającą pewien wątek w jego piarstwie, to trzeba zastrzec, że wątek ten nie sprowadza się do uznania „pustki” za właściwe doświadczenie duchowe przy zanegowaniu obrzędowości i „świętości”. Raczej trzeba uznać, że między tak wyznaczonymi biegunami – jakby klamrą – Białoszewski oscylował przez lata w różnych momentach życia nawracającymi falami, a także próbował zarysować własny, osobny, „alternatywny” projekt,

¹ Miron Białoszewski, *Tajny dziennik*, Kraków 2012. Dalej jako TD.

znaleźć sobie miejsce, łącząc świętość w rozmaitych jej przejawach z odniesieniami – niekiedy mocnymi – do chrześcijaństwa, z wieloma drogami na Wschód, ale też i z homoseksualnością.

Pamiętamy, że jeszcze w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* określił siebie jako „jeszcze jakoś wierzącego”, a dokładniej: „Dużo było modlitw, w których brało się udział. Byłem wtedy na jakiś sposób jeszcze wierzący. (Niektórzy sceptycznie albo ironicznie na pewno na to patrzą. Albo i szyderczo to wspominają, co mnie drażni, chociaż nic nie mówię, bo mam z tym powiązanie po prostu uczuciowe)”². To nawiasowe wtrącenie zdaje się określać stosunek pisarza do katolicyzmu, w którym został wychowany, po odejściu od „wierzącości”, co trudno określić dokładną datą. Być może pisząc jeden ze swoich pierwszych zachowanych wierszy, *Chrystusa powstania*, już używał symboli religijnych wyłącznie jako metafor (niesienie rannego przez kanały na plecach jak droga Chrystusa przez Jerozolimę)³, może wówczas jeszcze nie, można jednak z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że każdy wiersz i dramat Białoszewskiego po debiucie książkowym jaki znamy, a później też każda proza, a i każdy filmik, były pisane przez osobę, która do katolicyzmu miała stosunek „sentymentalny”, acz już zewnętrzny. Dopiero w ostatnich latach życia pisarza nasiliły się ostrzejsze wypowiedzi, obok tej z listu-*credo* (anty-*credo*?) przywołajmy te zanotowane przez Annę Pogonowską w dzienniku: „dla niego Kościół to tylko lepszy lub gorszy cermoniał” (15 kwietnia 1980); „jeżeli on by wierzył w ducha, to tylko w złego, gdyż uważa świat za ohydny. Dobrego Boga on by na pewno kochał, tylko że w takiego stwórcę nie wierzy” (8 września 1981)⁴.

Nie licząc rozmaitych metaforycznych gier „świętością”, sakralizacji przedmiotów codziennego użytku, skierowanych do nich stylizacji na litanie, oryginalne i prywatne odniesienie do religijności pojawia się dopiero w trzecim tomie poety, *Mylnych wzruszeniach* (1961), wraz ze słynną alegoryzacją kołdry jako góry Karmel i przeniesieniem karmelickiej ścieżki kontemplacji czy mistycyzmu św.

² Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, opr. Adam Poprawa, tom III „Utworów zebranych”, Warszawa 2014.

³ Miron Białoszewski, *Polot nad niskimi sferami*, tom XIII „Utworów zebranych”, Warszawa 2017. Dalej jako XIII. We wczesnych wierszach Białoszewskiego takich konwencjonalnych odniesień religijnych jest więcej.

⁴ Anna Pogonowska, *Anachoreta igrający*, w: Miron. *Wspomnienia o poecie*, red. Hanna Kirchner, Warszawa 1996.

Teresy z Ávili i św. Jana od Krzyża⁵ na domowe „kontempsiumplanie” w łóżku, połączone z pisanem. W cyklu tych wierszy „prywatno-karmelickich” („karmelowych”?) natrafiamy na zastanawiającą definicję „nieświętości”.

a teraz ja – pisarz pism nie św.

w ciągu czternastu ostatnich miesięcy
z niby-nieopanowania
cztery razy
porządnie
świnia-wieprz ze mnie wychodził
jak z kopniętego w Piśmie Św.
topiony??
nietopiony??
– spokój
przetopiony
w górę kupy ładu wewnętrznego
w łóżku
słodko
do rozmyślań, Karmelu, żalu
coś świętego:
pisze
tchnie
gra
skupia
dalszy ciąg nastąpi⁶

Skrótowiec użyty w tytule – „św.” – każe postawić pytanie, czy poeta definiuje tutaj siebie (swoje „ja”) jako „pisarza pism nie świętych”, czy też rozwinąć to należy raczej jako „ja – pisarz pism nie święty” (tu dodatkowe subtelności, „pisarz pism, nie [zaś] święty”, lub „nieświęty pisarz pism”); oczywiście „św.” wchodzi tu

⁵ Pisałem o nich w szkicu *Od „karmelickich plot” do wierszy medytacyjnych. Białoszewskiego obroty transcendencji*, w: *Doświadczenie religijne w literaturze XX wieku*, red. Adrian Głęń, Irena Jokiel, Opole 2006.

⁶ Miron Białoszewski, „Utwory zebrane”, tom I, Warszawa 1987. Dalej jako I.

i w inne gry ze słowami „świnia”, „świński” (zatem rozwijając: „pisarz pism nie świnia”, „pisarz pism nie świńskich”). Subtelności te wpisują się jednak w jedną szerszą ideę – pisarstwa/pisania „nieświętego”, co uwalnia autora od presji doskonałości duchowej, wyidealizowania hagiograficznego, dopuszcza ludzką ułomność, ale też i może przede wszystkim, jak sądzę, oznacza danie sobie przyzwolenia na swobodne traktowanie tradycji i symboliki religijnej. Być może oznacza także dopuszczenie pojawienia się tematyki erotycznej, od której hagiografie są raczej wolne, zdefiniowanej jednak jako „nieświńska”. Jak wiadomo, potoczne określenie „świński dowcip” odnosi się do obscenów czy rubaszno-wulgarnego ujmowania erotyki. „Nieświęty” i „nieświński”, a między tymi biegunami korzystający z imaginarium religijnego, ale swobodnie, i korzystający ze swobód erotycznego życia, choć głównie w kodzie, który określiłem kiedyś mianem „hermetycznych pornografii”⁷. Kuszące jest oczywiście odgadywanie, o jakie to „świństwa” poeta się tu oskarża, zapewne przeznaczając ten wiersz do publikacji zakładał jednak, że pozostanie to wiedzą prywatną. Większość wierszy z *Mylnych wzruszeń* pochodzi z lat 1959–1960 i tu sytuowałbym owe czternaście miesięcy⁸ i szukał dramatycznych przeżyć, a o tych co nieco wiemy: „świństwa” mogą się tu odnosić do konfliktów w Teatrze Osobnym; mogą dotyczyć rozpadu związku miłosego z Leszkiem Solińskim oraz poszukiwań nowej relacji, co poświadczają bardzo liczne i artystycznie udane wiersze ogłoszone jednak dopiero pośmiertnie⁹; mogą się też odnosić do dramatycznego zajścia na mazurskim jeziorze, kiedy to przewrócił się kajak Mirona i jego kochanka Juliana i poeta nie zdołał uratować tonącego (do tego wydarzenia mogą nawiązywać określenia „topiony?? nietopiony??” w wierszu). Tylko do tego ostatniego kontekstu zdaje się nie pasować określenie „niby-nieopanowanie”, mogące konotować tyleż karczemną awanturę z bluzgami („świńskim językiem”), intrygi artystyczne („podkładanie świni”), co i nieposkromiony popęd erotyczny zaspokajany zwierzęco. „Niby” oznacza wszak, że przy pewnym wysiłku duchowym podmiot był w stanie się opanować. Święty by się opanował? Odwołanie do Pisma

⁷ Zob. mój szkic *Hermetyczne pornografie Białoszewskiego*, w: *Literackie reprezentacje doświadczenia*, red. Włodzimierz Bolecki, Ewa Nawrocka, Warszawa 2007.

⁸ Wiersze w *Mylnych wzruszeniach* nie mają dat, ale starannie datowane są te opublikowane pośmiertnie z rękopisów i tak np. można dookreślić, że tematyka zapisywania w łóżku z podciągniętymi kolanami (a więc tematyka „góry Karmel”) pojawia się mniej więcej we wrześniu 1959.

⁹ O tych wierszach pisałem w eseju *Odhermetyzowywanie pornografii?*, w: *MiroFor*, tom 1, red. Agnieszka Karpowicz, Piotr Sobolczyk, Gdańsk 2020.

św. odsyła zapewne do Ewangelii św. Mateusza (Mt, 8, 28–34), do historii dwóch opętanych (Białoszewski używa w tym znaczeniu kolokwialnego „kopnięty”), którzy spotkawszy Chrystusa, zaczęli na niego krzyczeć, sądząc, że chce ich dręczyć. Chrystus kazał im wejść w pasące się niedaleko świnie – to znaczy, zdaje się, ich duchy wchodziły w świnie, a wówczas te ruszają stadem na skałę i spadają do jeziora, gdzie się topią. Jak zatem widać, Białoszewski odwraca aspekt wchodzenia-wychodzenia, w Piśmie to człowiek duchem wchodzi w świnie, ale u pisarza pism nieświętych może być odwrotnie (i bardziej „po ludzku”), w złości czy strachu świnia wychodzi z człowieka. Odwołanie to wydaje się jednak mieć podtekst traumatyczny związany z tragedią na mazurskim jeziorze: w przypowieści mamy wszak dwóch „opętanych”, w wierszu – jednego, czyli tego, który się uratował; jezioro jest wspólne historii ewangelicznej i mazurskiej. W tej perspektywie wiersz mówi o „przetopieniu” historii z „utopionym”, alchemicznym niejako przetopieniem, czyli przepracowaniu traumy w „spokój” i „ład wewnętrzny” już w bezpiecznym łóżku. „Przetapianie” prowadzi do uświęcenia, a tu, jak w całym cyklu o górze Karmel, zachodzi znacząca różnica w stosunku do poetów Karmelu, św. Teresy i św. Jana od Krzyża: pisanie jest dla nich środkiem do przekazywania oświecenia, celem jest duchowa droga na górę Karmel. Dla Białoszewskiego – odwrotnie. Pisanie jest celem. Pisanie i „tchnienie” (czyli „natchnienie”, choć niepokojąco pobrzmiwa ono też łapaniem tchu u topiącego się i u gruzlika, którym był sam poeta) są „święte”. Są też „grą”, inaczej niż u Ewangelistów i Karmelitów. „Pisarz Pism Świętych” nie traktuje zatem swojego pisania jako świętego, nawet jeśli przez potomnych jego pisma uznawane są za święte; ten zaś, kto uświęca swoje indywidualne pisanie („a teraz ja”), jest pisarzem „nieświętym”.

Kolejny mocny nawrót do prób łączenia homoerotyzmu z imaginariem chrześcijańskim to projekt tzw. szóstego tomiku wierszy datowany na 1973 (przy czym jako „tomik piąty” pisarz najwyraźniej traktował *Pamiętnik z powstania warszawskiego* – albo wybór dramatów *Teatr Osobny*). Ostatecznie poeta nie skierował go do druku. Nie miał on tytułu, o projekcie tym wiemy z zachowanej karty tytułowej (*Tomik 6, czyli znów poezje*), gdzie wymienił tytuły utworów, mających wejść do książki: *Niedziela, Sen, 6 dochodzeń, Dies Irae, Stabat Mater*¹⁰. Przekłady

¹⁰ Por. reprodukcję tej karty tytułowej w *MiroFor*, tom 1, *Ewr kąplet?*, red. Agnieszka Karpowicz, Piotr Sobolczyk, Warszawa 2020. Zob. też komentarz Tadeusza Sobolewskiego, „*Jak chcesz, to sobie weź*”. Komentarz do „szóstego tomiku” Mirona Białoszewskiego i rękopisu „*Snu*”, z reprodukcją rękopisu *Snu*, op. cit. Zob. też komentarz edytorski w XIII. W rękopisie i wspomnieniu Sobolewskiego *Sen* jest datowany na 1971, ale sam poeta, drukując go po raz pierwszy w 1976, opatrzył go datą 1970.

powstały w połowie lat sześćdziesiątych (w 1965 roku drukował je „Tygodnik Powszechny”), wiersze w latach 1970–1971. Gdyby tomik ukazał się w 1973–1974 roku, pozostałby wierny jednej zasadzie obowiązującej w poezji Białoszewskiego: każdy tomik był odmienny stylistycznie od poprzednich. I tak szósty-piąty zaskoczyłby wielbicieli *Obrotów rzeczy* (1956), *Rachunku zachciankowego* (1959), *Mylnych wzruszeń* (1961), a najbardziej ostatniej prezentacji wierszy ciężących ku prozie, *Było i było* (1965), która w chwili publikacji nie znalazła wielu entuzjastów ni obrońców. Ta „książka niezaistniała” stanowiłaby także względnie mocny *coming out* Białoszewskiego, a także jeden z pierwszych w polskiej poezji. Czy pisarz wycofał tę książkę ze względu na jej jawnie homoerotyczny charakter? Czy też uznał, że w czasie uwiedzenia przez rozmaite formy prozatorskie taki eksces poetycki wyglądałby jak reakcja na *Było i było*, tłumaczenie się z tego tomu jakby był on pomyłką, wpadką, którą teraz nadrabiałby, pisząc ponownie poezję „poetycką”? A może nie był gotowy na pokazanie „Białoszewskiego duchowego” (poznaliśmy go później, szczególnie w krótkich medytacyjnych zapisach).

Niedziela (Bania) wprowadza tedy temat podobny do tego w liście – wierszu cytowanym na początku: „zeniczny”, buddyjski temat nieskończoności, pełni i „niepełni” (pustki?) równocześnie, urodzenia dnia (niedzieli) swoich narodzin (30 lipca 1922 wypadła niedziela). Lingwistycznym sposobem łapie „niedzielę” za słowo – nie pierwszy raz zresztą, bo już wcześniej erotycznie „dzielam niedzielam” z kochankiem¹¹ – wydobywając z niej „to, co nie dzieli, to, co niepodzielne”, a więc pełne, bezgraniczne, jak wieczne jajo. A mówiąc to w kulturze dominującą chrześcijańską oczywiście przetwarza, przechwytuje niejako symbolikę, znaczenie „dnia świętego”. „[...] niedziela / nie ma początku, nie ma wątku / nie ma końca / nie ma urodzenia, / nie będzie umarta / nie ma pośpiechu, grzechu / (pierworodnego) [...] ta bełnia, bepełnia [...] / to ja Budda, / jak ja Budda [...] a to ja ją urodziłem, / j a ją wymyśliłem [...] bo w ogóle wyszła / z j a”¹². Takie otwarcie tomu, mocno oparte na „ja”, ale też od razu jako warunek wstępny ustalające czasowość kosmiczną, cykliczną, „pozaczasową”, „nie-dzieloną”, a przeto i „nie-dzielną” – nie zaś „czas chrześcijański”, chronologiczny, soteriologiczny, powoduje, że późniejsze elementy religijności chrześcijańskiej muszą być brane już

¹¹ W wierszu *zmartwieńsiulpet* z tomu *Myłne wzruszenia*, pisany zapewne już o Adamie K.: „chociaż dzielam z tobą za / bardzo niedzielam”, l.

¹² XIII.

w odniesieniu do tej ramy jako szerszej. Słowem to chrześcijaństwo jest tu włączane – prawem „pisarza pism nie św.” – w obręb jego własnego *quasi*-systemu, „jestem’u”. Zresztą nie tylko czasowość – także wszak etyka pozbawiona „grzechu (pierworodnego)”. Skoro ten *quasi*-system jest wolny od grzechu stanowiącego fundament doktryny chrześcijańskiej – to może i erotyki, również jednopłciowej, nie uznaje za grzech?

Ten właśnie wątek pojawia się w drugim wierszu, *Śnie*. Napisałem niegdyś obszerną jego interpretację¹³, omówiłem w niej aspekty formalne – stylizację barokowo-leśmianowską i niezwykle użycie wersyfikacji i rymów, stanowiące o niebywalej oryginalności tego wiersza także pośród wielu innych bardzo oryginalnych wierszy „poety osobnego”; to właśnie owa hiperliterackość a jednocześnie pozornie „prosta” rymowa strona tego wiersza przesądzałyby o potencjalnym czytelniczym zdumieniu, szczególnie po sprozaizowanych wierszach z *Było i było*. Opisałem także szczególne połączenie onirologii z homoerotyzmem. Ponieważ wówczas nie miałem dostępu do wielu informacji biograficznych, mylnie uznałem, że adresat wiersza – „A. K.” w otwierającej tekst dedykacji, „Adam K.” znany z późniejszych źródeł biograficznych (nie wiedzieć czemu bez nazwiska) – to ta sama osoba, co topielec z mazurskiego jeziora, Julian. Ale bo też obecnie, gdy mamy pełniejszy dostęp do wiedzy biograficznej, ale i odcenzurowanych wierszy, w tym niedosłego „tomiku szóstego”, widzimy, że poeta także obie te śmierci łączył czy wiązał (w 6 *dochodzeniach* przede wszystkim, gdzie wspomnienie próby samobójczej Adama nakłada się na poprzednią tragedię: „raz już tak miałem / z wodą”). Z Adamem Miron był związany w latach 1960–1965. W trakcie tej burzliwej relacji – opisanej w wielu wierszach odtajnionych¹⁴ – Adam parokrotnie próbował popełnić samobójstwo, w tym raz na placu Dąbrowskiego, gdy próbował wyskoczyć przez okno i wybił szybę (we *Śnie* dokonuje się „odwrócone” niejako samobójstwo, zmarły Adam przybywa we śnie – przez szybę, wpada, nie zaś wypada: „wpadasz, szybę wybijesz”¹⁵). Ostatecznie zginął śmiercią samobójczą w 1966, mając 29 lat. Wiersz ten jest metafizyczny i jako rzekłem w duchu

¹³ Por. Mirona Białoszewskiego „*Sen*”, w: *Poza światem... Baśniowość, magia, oniryzm w literaturze*, red. Marzena Woźniak-Łabieniec, Tomasz Cieślak, Łódź 2007.

¹⁴ Por. mój szkic *Odhermetyzowanie pornografii?*, *op. cit.*

¹⁵ Miron Białoszewski, *Odczepić się i inne wiersze*, tom VII „*Utworów zebranych*”, Warszawa 2016. Dalej jako VII. Kilka lat później Miron miał sen, w którym Leszek próbował go wyrzucić przez okno. Por. TD.

barokowym, ale bez właściwych barokowi odniesień religijnych. „Pisarz pism nie-świętych” zastępuje tu kategorię „grzechu” – „nieprzyzwoitością”, polegającą na „zbieraniu życia” dla nieżyjącego Adama po to, aby go „ożywić”. Owo „zbieranie życia” jest jednakże czytelnym określeniem... puszczenia się z różnymi, mówiąc wprost („niewierność”, mówi poeta eufemistycznie):

Ja zbieram po przystankach [...]
Od różnych spotykanych
Dla ciebie życie ććśś...
Po prośbie, ale chytrze,
Bo trzeba rąk dotykać
Ale tych, co się chce.
Więc zbieranie zbieraniem,
A dotyk dotykaniami,
I każdy taki dotyk
Trochę zmienia erotyk
Ten, tak że
Całkiem głupieję.
Do czego te nadzieje?
Wlatujesz, fruwasz, fruwasz.
Przeczuwasz? Czuwasz. Fruwasz.
Ale witasz, ja witam,
Ale moja niewierność
Taka nieprzyzwoita¹⁶

Owo „zbieranie życia” od różnych osób (kochanków) ma Adama „ożywić”. To projekt niemal Frankensteinowski. Przez ową hybrydyczność „to ciebie odciebia”. Można na owo „ożywienie” spojrzeć jeszcze inaczej – jako na próbę znalezienia w kimś innym, nowym, przygodnym, człowieka tak ważnego dla siebie jak Adam. *Sen* jest poetyckim pożegnaniem nie tylko z Adamem, ale także z miłością i związkami w ogóle. Staje się to jasne w kontekście słów zapisanych później w *Tajnym dzienniku*: „Stłumienie w sobie uczuć do Adama jeszcze za jego życia – to było jeszcze jedno wielkie wyzwolenie. Obliczyłem sobie, że ze względu na wiek to

¹⁶ VII.

będzie ostatnie zaangażowanie. Na dalsze, następne nie pozwolę sobie. Za dużo wysiłku. Zresztą po co? Lepsza wolność z przygodami. Miłość ma wymagania, pożera siły”¹⁷. Pierwszy jawnie miłosny, jawnie homoerotyczny tomik Białoszewskiego – miał być zarazem ostatnim na ten temat. Tak jakby chciał powiedzieć: jeśli o tym już mówić, to raz i o czymś zamknętym. Czy właśnie dlatego – psychoanalitycznie – nie zdecydował się ostatecznie ogłosić tego tomiku? Nie chciał miłosnej kwestii jednak „domknąć”?

W kolejnym wierszu, *6 dochodzeniach w jedno południe listopadowe*, dokonuje się powiązanie (nie)obecności „tego na A” (Adama), wspomnianego także w kontekście wybitej szyby, z mistykami Karmelu, znanymi dobrze z wcześniejszych wierszy poety, zarówno drukowanych w *Mylnych wzruszeniach*, jak i pozostawionych w rękopisach. Tu dokonuje się ponowny zaplot homoerotyczności z religijnością. Jednak w sposób nieoczywisty: oto św. Teresa i Jan od Krzyża odczytani zostają poza kontekstem religijnym, a bardziej jako przewodnicy duchowi po depresji. W „Dochodzeniu trzecim” poeta zresztą kwestionuje ich wiarygodność, podejrzewa o „kłamstwo literackie”: „ta od kuli / ten od krzyża / żywy, żywa / – i szczęśliwy / i szczęśliwa / – to co? nie byli? / (Jan, Teresa) / Taki wstyd. / Się omylili. / – byli, i się mylili”¹⁸. W kolejnej części, „Dochodzeniu czwartym”, Białoszewski próbuje zidentyfikować się czy porównuje siebie z Janem od Krzyża („do jana daleczko, daleczko [...] za tą, jak rzeczką, / poprzeczką”) i jego aktywnością i wycofaniem, szczególnie zaś pisaniem i niepisaniem, gdzie niepisanie-bierność jest utożsamiane z „depresją”, leżeniem, „ciemną nocą duszy”, tak jak we wcześniejszych wierszach o Karmelu, choć też inaczej – wówczas bowiem leżenie i wycofanie ostatecznie prowadziły do pisania „kontempsiemplacyjnego” na „kołdrze Karmel”. Teraz Białoszewski zastanawia się – może w kontekście wspomnianego wcześniej „kłamstwa literackiego” – nad pisaniem (aktywnością) „wymuszaną” u Karmelity: „malował, pisał, / potem nie malował, / nie pisał, / a potem mu kazali / i znów pisał”¹⁹. W dalszym geście jednak Białoszewski albo mocą swojej identyfikacji z Janem od Krzyża przypisuje mu swoją własną motywację pisarską – albo wprost sugeruje, że miała ona podłoże, o którym nie mówił (sublimował?), ale dokonuje połączenia owej kategorii „pisania”, „aktywności” i „chceń” wobec „niechceń” i „nocy” (bierności, niepisań)

¹⁷ TD.

¹⁸ XIII.

¹⁹ XIII.

z... rytmem popędu erotycznego, „tych nie podnie.. tych niechceń” (porównajmy we *Śnie*: „Podniecenie, leżenie / Czy lecenie, co jeszcze?”).

- Jan nałykał się w taki dzień jak nie noc,
w taką noc jak nie noc, nie antydzień, tych
nie podnie.. tych niechceń z niechceń, jak
lód z lodu, jak nie z nie, jak kto wie z
kto go wie
- zimno
- gorąco, leżę²⁰

We *Śnie* opisany został „taniec niemożliwy” – to Adam latał nad leżącym w łóżku Mironem, a latał, bo wpadł przez okno, latał – bo był jak anioł (to jednak dopowiedzenie, niewysłowione w samym tekście); to znów kiedy Adama udało się ściągnąć do łóżka, śniący Miron zaczął nad nim latać i tak trudno im było się spotkać, złapać, pozostać w uścisku. W opublikowanym w tomie *Było i było* wierszu *Trudno jest się nie unieść (Karmelicka plota)* taki taniec okazał się możliwy pomiędzy dwojgiem Karmelitów, ale podany zostaje w kempowej, nieco groteskowej, niezbyt serio tonacji: „Jan od Krzyża / siedział / Teresa z Avila / klęczała / zakonnica puk-puk nic za ileś / puk-puk / wchodzi / wiszą z dwu stron u sufitu / [...] »Matko, jak to?« / (potem-potem) MTeresa z uśmiechem: / »ano jak się z Bratem Janem rozmawia / to trudno się ustrzec uniesienia«”²¹. Także i tu, nie tylko za sprawą kempowego tonu, obecny jest podtekst erotyczny „uniesienia się” (podniecenia) i „lecenia”. „Lecenie” w aspekcie erotycznym może się odnosić do „puszczania się” (por. określenie „latawica”, bo polski język chyba nie wytworzył *masculinum*), do wyrażenia zainteresowania kimś („polecieć na kogoś” – Białoszewski w tym znaczeniu też go używa), wreszcie także do tzw. wulgarnego określenia ejakulacji. „Podniecenie, leżenie i lecenie” stanowią dla Białoszewskiego swoistą matrycę, w której łączy trzy sfery swojego życia: 1. rytm aktywność-bierność w związku z pisaniem, 2. erotykę w odniesieniu do „aktywności” (lecenia) i „pasywności” (leżenia), także w związku z pisaniem (natchnieniem – uniesienie jako skutek wypełnienia powietrzem, „tchnieniem”, niczym balon); 3. niereligijne, a w każdym razie nieortodoksyjnie religijne połączenie doświadczenia duchowego (kontemplacja

²⁰ XIII.

²¹ I.

i przewyższanie abulii) i seksu, a to wszystko znów w odniesieniu do pisania. „Leccie” u Białoszewskiego zwykle dokonuje się nad łóżkiem, albo w każdym razie w „pokoju” czy „komnacie” jak w karmelickiej plocie – nie po niebie, nie nad łąką, nie na otwartej przestrzeni. W „Dochodzeniu piątym” Adam (to znaczy „ten na A” co zbił szybę) zostaje zaś wprost określony jako „anioł”, który przybywa do poety na pojedynek: „– po(e)tyczka z aniołem / będzie / – kto leci na anioły / spada z gór w doły / a kto przeleci przez anioły / bo miał być jak powietrze jak duch / będzie / jak nie / ale nie jak / szyba”²². Jako rzekłem przed chwilą: „przeleccie przez anioły” łączy sens duchowy (ale niereligijny), jakieś towarzysko-Słowackie „przeanielenie”, erotyczny i pisarski (natchnienie – „miał być jak powietrze, jak duch”).

Związek z Adamem – albo wizję Adama i wspomnienie związku z nim, bo to nie jest jasne – przedstawia zatem Białoszewski poprzez odniesienie do motywu walki Jakuba z Aniołem z Księgi Rodzaju. Walki – ale jeśli spojrzeć na obraz Rembrandta *Walka Jakuba z Aniołem*, to trudno pozbyć się wrażenia, że obie postacie wyglądają jakby były splecione w tańcu; w tangu. „Święte tańce”? Ta walka miewała chyba niekiedy najzupełniej dosłowny sens, w niepublikowanej za życia prozie datowanej na 6 października 1964 odnotował: „Co ukrywać, biliśmy się 2 dni, kłóciliśmy, nim te schody, a jakby się tak rąbło na śmierć niechcący? i ani rusz wzniosłość, bo jak nawet J. się utopił, nie znajduję [?] go, a tu ta zwykłość, konkret, trup, milicja”²³. Pismo święte przetwarza tu swoim prawem na pismo nieświęte: siebie tedy przedstawia jako Jakuba – Izraela, co znaczy „walczący z Bogiem”; w istocie bowiem Pismo nie mówi o „Aniele” – to jest późniejsza, także Rembrandtowska interpretacja – a o „istocie nadludzkiej” lub w innych tłumaczeniach o Bogu. Identyfikacja z Jakubem jest tu mniej istotna niż motyw walki z „istotą nadprzyrodzoną” (a to oznacza kochanka, który „pokonał” Białoszewskiego, bo „pokonał” życie), ale warto przypomnieć, że w jednym z bardziej znanych wierszy z *Obrotów rzeczy, Moich Jakubach znużenia*, Białoszewski „sprywatyzował” biblijny mit o drabinie do nieba i Boga, którą Jakub ujrzał we śnie po to, by uznać siebie za początek schodów i źródło – nie wizji, ale rzeczywistości: „Najniżej – ja / to z moich piersi wyrastają / schody rzeczywistości”²⁴.

²² XIII. Tu dodatkowo odniesienie do „pisania” w neologizmie „po(e)tyczka”. Potyczka, poetyka ale mała, a chyba też jakaś po-etyka, a po – bo pośmiertna, jak myśle.

²³ Miron Białoszewski, *Proza stojąca, proza lecąca*, tom XII „Utworów zebranych”, Warszawa 2015. Dalej jako XII.

²⁴ I.

Dotychczas przyjmowano „ogólnofilozoficzną” interpretację tego wiersza, to znaczy nieerotyczną. A jeśli ten wiersz odczytać teraz – także – jako mówiący o samotności? Mówi tu przecież o sobie – w rodzaju żeńskim – „i sama – skurczona / prawie do zniknięcia”. Nim padną wersy o schodach rzeczywistości wyrastających z piersi (no właśnie, z piersi, a nie np. ze splotu słonecznego, nie z szyi, nie z czoła...), czytamy w samym otwarciu wiersza o tym, co znajduje się „wyżej”, a mianowicie „zamieszkiwania dotyku / wszystkie pogody zmysłów...”. Jak wszystkie, to może i erotyczne pogody (przygody?) zmysłów także? Albo więc Białoszewski czekał na swojego „Anioła” dla „swoich Jakubów znużenia” już wtedy, we wczesnych latach pięćdziesiątych, albo wracając do postaci Jakuba, kilkanaście lat później tak sam reinterpretuje swoje życie w kodzie starotestamentowym: Anioł go zwyciężył.

Od takiej – dla kogoś może bluźnierczej – „prywatyzacji” Pisma blisko już do wyjaśnienia zagadki dziwaczego na pozór połączenia własnych wierszy z przekładami *Stabat Mater* i *Dies Irae*. „Bluźnierstwa” – pisma nieświęte – tu osiągają temperaturę wrzenia! Moim zdaniem bowiem w *Stabat Mater* Białoszewski... identyfikuje się z tytułową bohaterką. Z Jakuba zmienia się w Matkę Jezusa, Adam zaś – Anioł, ale jak wiemy, według innych przekładów „Bóg” – wisi na krzyżu. Nie chodzi tylko o przetworzenie motywu walki i pokonania życia. Nie tylko o przedstawienie związku Mirona i Adama jako „Golgoty” (przysłowiowej). Idzie, jak sądzę, o identyfikację z kobietą, matką, która „nie upilnowała syna” i ten zginął. (Zresztą oryginalny tekst Jacopone da Todi także zawiera próby empatii i identyfikacji z matką, choć Białoszewski znacznie je nasilił w stosunku do np. przekładu Felicjana Faleńskiego, naddając im dodatkowo skojarzeń z polskimi kolędami)²⁵. Gdy się poznali, Miron miał trzydzieści osiem lat, Adam dwadzieścia trzy – dwadzieścia cztery; przy tej różnicy półtora pokolenia można uznać, że podpadali pod współczesne określenie z subkultury gejowskiej na takie relacje, mianowicie *daddy – son*. Wiele „ambarasów” (taki tytuł nosi cykl wierszy o Adamie, opublikowanych pośmiertnie), jakie Miron z Adamem miał, wynikało z młodego wieku tego drugiego i odmiennej dojrzałości tego pierwszego, a także z niesłowności (w tym i tzw. niewierności) i alkoholizmu Adama, jak i czegoś, co dziś określilibyśmy jako psychoza maniakalno-depresyjna czy choroba afektywna dwubiegunowa. Tak jak w końcu puścił rękę tonącego kochanka – tak (o)puścił Adama („stłumienie w sobie uczuć

²⁵ Przekład ten omawia szczegółowo Zbigniew Siatkowski, *Kiedy poeta przestaje być formalistą?*, „Teksty” nr 6/1975.

do Adama jeszcze za jego życia”), tak jak matka puszcza swoje dziecko w dorosłość, choć chciałaby zalecać mu ostrożność, rozwagę, unikanie ryzyka. W tym sensie „nie upilnowała”. Białoszewski identyfikuje się tutaj pewnie także z faktyczną matką Adama²⁶. „Kto niezdolny współczuć czule / Bólom Matki Syna bóle? [...] Widzi słodkie swe Rodzone / Tak śmiertelnie opuszczone, / Jak ostatni traci dech”²⁷. Choć ten sens „nieupilnowania” powstaje dopiero w całości tomu i po śmierci Adama – przekład natomiast powstał mniej więcej w momencie rozstania kochanków, dlatego jest raczej „donosem z wnętrza Golgoty”, jeśli można tak powiedzieć, z walki z Aniołem: „Zrób mnie zbitym poranionym, / Uniesionym, przepojonym / Krzyżem Syna, Syna krwią”²⁸. Zamykający tom fragment mszy żałobnej *Dies irae* konkluduje, jak sądzę, dwa rozwijane w książce wątki: po pierwsze daje nadzieję na spotkanie zmarłego („Śmierć z naturą struchleć muszą / Że stworzenia z martwych ruszą”²⁹), po drugie wyraża nadzieję, że podmiot, to znaczy sam Białoszewski, „przechwytyjący” tu niejako podmiot Tommasa da Celano jako swój, „pismem świętym” uchyła tu raz jeszcze kategorię grzechu („nie ma grzechu” w *Niedzieli*). Nawet jeśli nie będąc „pisarzem pism św.”, stoi poza doktryną i religią, to wszakże stoczył walkę z istotą nadziemską, a więc owa „nadiemskość” – anielskość, boskość – do niego przyszła, a reprezentując miłość, istota ta umetafizyczyła i niejako „uświęciła” miłość (tu dwóch mężczyzn oczywiście), stąd Białoszewski może się zidentyfikować z podmiotem mówiącym: „Prośby moje nie są godne, / Ale Ty się zrób łagodny: / Nie daj mnie na wieczne ognie. [...] Odsądź mnie od potępionych / W ostry płomień porzuconych, / A wywołaj do zbawionych”³⁰. Cały „szósty tom” dowodzi, że Białoszewski podjął kolejną próbę uwzględnienia chrześcijańskiego imaginarium w swoim „nieświętym” i homoerotycznym projekcie w związku z tragiczną śmiercią kochanka, podobnie jak wcześniej po śmierci topielca.

²⁶ Por. relację w *Tajnym dzienniku*: „Mieszkał z matką we Wrocławiu. Na końcu. Matka myślała, że go ocali, choć dławili ją złe przeczucia i złe przeżycia. Adam kilka razy próbował samobójstwa. Ostatnie, nasenne i gaz – wyszło. Działo się to poza mną. Nic nie wiedziałem”. TD. Być może Białoszewski bywał u Adama we Wrocławiu, widział dramat i ból matki, dzielił go, uważał za wspólny – tego jednak nie jestem pewny.

²⁷ XIII.

²⁸ XIII.

²⁹ XIII.

³⁰ XIII.

W tej perspektywie nie dziwi, że w okresie „wolności z przygodami” – gdy żaden kochanek nie wydawał się istotą nadprzyrodzoną i nie wymuszał walk – wątki homoerotyczne trafiają zdawkowo do kampowych próz z *Donosów rzeczy* w formie nie dla każdego czytelnej i bez związków z religijnością, bez odniesień do opisanego kompleksu wyobraźniowego „taniec, leczenie, pisanie, leżenie”. W pewnym sensie *Donosy rzeczywistości* z 1973 ukazały się „zamiast” tomiku szóstego, planowanego na 1973; w pewnym sensie „rzeczywistość” i „rzeczywistość kampowana” (czy podhecowana, mówiąc samym Białoszewskim) wyparła całkowicie parareligijne, a w każdym razie te archetypowe czy mityczne struktury, wcześniej także obecne tylko miejscowo (właśnie tomik szósty byłby najsilniejszą manifestacją takiej wyobraźni). W 1976, w trakcie wielkiego ożywienia poetyckiego związanego przede wszystkim z przeprowadzką na Saską Kępę, powstaje jednak także cykl *Święte tańce* – udany, ale nieskierowany do druku. Tu pismem nieświętym zapisywane są „święte tańce”, w tym znów sakralno-homoerotyczny. I to – ponownie – we śnie! Tak jakby podświadomość tą drogą kazała Białoszewskiemu wrócić do tematu. W skład cyklu wchodzi cztery wiersze: *Rozpoznawanie, Pierwsze, co czynne, Taniec ze snu* i opublikowany omyłkowo jako proza *Uwierzyła, aż się złąkla*. Ten ostatni stylistycznie najbliższy jest kampowemu „plotom” o karmelitach, a stanowi opracowanie historii biblijnej, starotestamentowej o staraniach Sary i Abrahama o potomstwo. Literacki naddatek Białoszewskiego polega tu na „uzwykleniu” historii biblijnej, czyli, powiedzmy, sprowadzeniu „świętego” do „nieświętej” anegdoty, ploty, dowcipu, na przykład gdy o starotestamentowym przecież, więc surowym Jahwe pisze tak, jak żaden pobożny Żyd by nie napisał: „Bóg w trzech osobach odwiedza Abrahama. Ten podejmuje. Trzy osoby się najadły, pytają”³¹. Rozmowa Boga z Sarą opisana jest jak sprzeczka czy targowanie się. W końcu Białoszewski wtrąca w ten relacjonujący tryb przepisywania pisma tak, żeby straciło nieco świętości, uwagę ujawniającą, że pisze na marginesie czy zgoła w trakcie lektury, którą uprzednio już oczywiście czytał i dodaje od siebie: „Ale i ja, zanim się dobrze doczytałem, zmartwiłem się, że Bóg coś pokręci...”³². Pokazuje to w pewnym sensie siłę opowieści, skoro znając zakończenie, można niby-wieńczyć, że wydarzy się coś innego niż przy uprzednim czytaniu. Humor tego utworu działa: na znanym mi nagraniu ze spotkania autorskiego w Lublinie (kwiecień 1976, a więc cztery miesiące po napisaniu) słychać rozbawienie licznie zgromadzonej

³¹ XII.

³² XII.

publiczności³³. To plotkarsko-ludyczne podejście do Biblii wpisuje się w ideę „Biblii jako szlagieru”, jaką Białoszewski wyraził w słynnym autokomentarzu – swojej wizji polskiej literatury *O tym Mickiewiczu jak go mówię* (1967): „Biblia jako język, słowa, wyciągi, mądrości, skróty, rytmy, stylizacja, symbole, całe gotowe łańcuchy do poruszeń metaforycznych, na ogniwa wzruszeniowe, na codzien, wiadome jak trącenie łokciem. A Chrystusowe szlagiery, które służą i służą [...]”³⁴. Z drugiej strony warto tu dla kontrastu wspomnieć rozmowę Białoszewskiego z Ludwikiem Heringiem (protestantem) i Ludmiłą Murawską o Biblii, w której o księdze Ezechiela i potem Apokalipsie mówią jako o grafomanii³⁵. W *Uwierzyła... nie ma motywu „tańca”* – jest odniesienie do „świętości”. Podobnie w wierszach *Rozpoznawanie i Pierwsze, co czynne*, współczesnych anegdotach – obrazkach z kościołów. Ten pierwszy ma dwa warianty, z czego drukiem ukazał się pośmiertnie tylko jeden – na spotkaniu autorskim w Lublinie Białoszewski przeczytał wiersz w innej wersji; niestety żadna z nich nie jest dla mnie do końca czytelna. Najogólniej biorąc, anegdota dotyczy wizyty Białoszewskiego w kościele, a ściślej w kruchcie kościoła na placu Zbawiciela pod koniec mszy, śpiewana jest kolęda *Wśród nocnej ciszy*; tam „chłop do chłopca / z rękami / z czapami / dać? się boję / a jak nie po prośbie? / normalne palta”, co chyba oznacza, że zbierane są datki na kościół, a pisarz podejrzewa jakąś nieuczciwość, więc wychodzi z kościoła i widzi, jak wierni wychodzący po nim rzucają tam datki – „ja gapa”³⁶. Powiedzmy, że potrafię zrozumieć, dlaczego poeta nie zdecydował się wydrukować tego wiersza, bo moja reakcja czytelnicza sprowadza się tu do „no i co z tego”. Podobnie pozbawiona tego autorskiego stempla „błysku” jest anegdota w drugim wierszu. Tu może naszą uwagę powinna zwrócić przede wszystkim przyczyna wejścia do kościoła („Sklepy zamknięte. / Kościół. Otwarty”), w kościele przed mszą właściwą ksiądz czyta mniej znaną historię o Filipie i jego bracie, co prowadzi pisarza do pointy: „No, no. Wyszedłem zamyślony. Zanim cokolwiek ruszy, można się dowiedzieć takich ciekawych rzeczy”³⁷. Z tego wiersza

³³ Por. *Spotkanie autorskie Mirona Białoszewskiego w Muzeum Literackim im. Józefa Czechowicza w Lublinie*, do druku podał i opracował przypisy Piotr Sobolczyk, w: *MiroFor*, tom 2, *Życie prze*, red. Maciej Byliniak, Agnieszka Karpowicz, Piotr Sobolczyk, Gdańsk 2021.

³⁴ Cytuję przedruk w XII.

³⁵ Por. „To grafomania. [...] Apokalipsa bardzo niedobra – Oj, bardzo nie! – krzyczę. [...] To tylko rozpętanie grafomanii”. TD, (zapis z listopada 1975).

³⁶ Miron Białoszewski, *Świat można jeść w każdym miejscu*, tom XIV „Utworów zebranych”, Warszawa 2017. Dalej jako XIV.

³⁷ XIV.

wyciągam przede wszystkim obserwację, że zainteresowanie Białoszewskiego kieruje się ku temu, co mało znane, mało „ograne”, gdy właściwa msza najwyraźniej pełna jest „zgranych historii”, „szlagierów”; „dowiedzieć się” w kościele można nie podczas mszy – ta jest czystym rytuałem, odtwarzaniem znanej wiedzy. Mimo- chodem mówi to coś o stosunku Białoszewskiego do katolicyzmu – pozostawanie w kruchcie bądź wchodzenie przed mszą zdają się alegoriami.

Wreszcie kluczowy dla moich rozważań tekst z tego cyklu, *Taniec ze snu*, wraca do wielu wskazywanych wcześniej motywów:

Śni mi się: jadę autobusem, na jednym podwórku ksiądz, szczupły,
ze 30, z kimś tańczy. Zrozumiałem, że to taniec sakralny.
Jadę na drugi dzień tym samym autobusem we śnie, widzę: za tym
samym
parkanem ksiądz tańczy – ze złotowłosym młodzieńcem. Ręce
obydwu
wyprostowane daleko, trzymają się dłońmi. To jednego, to
drugiego
głowa w dół, ręce w górę.
Trzeciego dnia jadę, tańczą
oho – mówię – oni będą tańczyli 20 lat. U Gaugina tak wygląda
walka Jakuba z Aniołem³⁸

Białoszewski – kilka lat wcześniej identyfikujący się z Jakubem – zmienia się teraz w świadka „tańca sakralnego” Jakuba z Aniołem. To, co kiedyś opisał jako walkę, teraz jawi mu się jako taniec. Może zatem jest to walka, która tylko wygląda jak taniec? Trzeba tu uzupełnić, że od XVI wieku w chrześcijaństwie właściwie nie istnieje „taniec sakralny” na mocy decyzji Soboru Trydenckiego; księża nie tańczą w ramach oficjalnych rytów, choć w średniowieczu taniec liturgiczny nie należał do rzadkości (praktykowano np. „taniec aniołów”). Lecz kto tu jest Jakubem, kto Aniołem? Ksiądz Jakubem? Złotowłosy młodzieniec Aniołem? Najprawdopodobniej tak, choć może i te role są wymienne (w zależności od dnia?). Przyjmijmy, że Jakubem jest ksiądz, a to oznacza, że Białoszewski w swojej wizji pozbywa się chęci uczestnictwa – zarówno w tańcu, jak i w walce. Być może dlatego, że to, co kusi jako

³⁸ XIV.

taniec, okazuje się ostatecznie walką. Przenosi swoją osobę (eksterioryzuje?) na księdza. To także ciekawe psychoanalitycznie przeniesienie. Czy dlatego, że ksiądz (teoretycznie) winien żyć w celibacie, a w każdym razie oficjalnie nie żyje w stałym związku – tak jak piszący to pięćdziesięcioczeroletni Białoszewski? Oczywiście trzeba tu wspomnieć, że Białoszewski znał homoseksualnych księży, a nawet ich opisywał – w *Donosach rzeczywistości* opisał Albertynka (w prozie o tym tytule), a także w prozie *Blokada* dał szczegółowy portret młodego geja redemptorysty, który mieszał relacje o zmanierowanym towarzystwie w kawiarni gejowskiej, nieoficjalnie oczywiście, jak to w PRL, z opisami księży profesorów, rzucających się całować studentów³⁹. Przyjaciół Białoszewskiego z czasów okupacyjnych, opisany w *Pamiętniku* jako Teik (pseudonim AKowski), odtąd w kolejnych prozach jako x. Teik, po wojnie został księdzem, Białoszewski opisał lata później, jak z nim spał. Tak więc ksiądz gej akurat dla Białoszewskiego nie był tematem nijak zaskakującym. W *Tańcu ze snu* narrator jako świadek jest oddalony, patrzy przez szybę (to częsta oniryczna symbolika dystansu), dodatkowo kolejną barierę oddzielającą stanowi parkan i przydarza się to tylko przez chwilę, w migawkach, przejazdem. Tak jakby jego podświadome zainteresowanie takimi obrazami – tańcami dwóch mężczyzn, relacjami dwóch mężczyzn – wprawdzie nie dawało się całkowicie stłumić, wyprzeć, ale powracało tylko na krótko, choć cyklicznie. Dwadzieścia lat tańca-walki zdaje się fantazją życzeniową (żaden związek Białoszewskiego tyle nie trwał) i zarazem wyrazem lęku. Ale rzecz można odczytać jeszcze inaczej, skoro dowiedzieliśmy się, że ksiądz ma trzydzieści lat, co poza wszystkim pełni tę funkcję, że sugeruje jego atrakcyjność. Około trzydziestoletni Białoszewski poznał Leszka Solińskiego, zapewne największą miłość swego życia, którego określał mianem swojej „pasji”⁴⁰ – dwuznacznie, bo i „namiętności”, i cierpienia jak Chrystusa. Dodajmy do trzydziestu lat owo dwadzieścia. Mniej więcej w wieku pięćdziesięciu

³⁹ Cenzor wykreślił z tej prozy różne aluzje homoseksualne, ale i następujący fragment: „– Przyjechał jeden ksiądz z zagranicy i przywiózł 27-my numer »Sexuelletchnik« cały poświęcony miniecie, tak, ładnie ten numer zrobili, bo kobiety białe a mężczyźni czarni – to ksiądz takie rzeczy wozi? – tak tak”. Miron Białoszewski, *Donosy rzeczywistości*, tom IV „Utworów zebranych”, Warszawa 2013. Por. też nt. motywu homoseksualnych księży rozdział *Seksualizacja wizerunku księży...* w mojej książce *Queerowe subwersje*, Warszawa 2015.

⁴⁰ Por.: „Na prezent przywiózł mi raz książkę Irvinga Stone’a *Pasja życia* i napisał na niej dedykację: »Swojej pasji życia«. Ta dedykacja mnie przeraziła, bo pasja to znaczy także »krzyż«, a tego w przyjaźni nie chciałem”. Leszek dał Mironowi m.in. swoją fotografię: „Na fotografii napisałem: »Jedno i nierozdzielne jesteśmy«”. Wypowiedzi z rozmowy Solińskiego z Janem Zdzisławem Brudnickim, *Mówią językiem psalmów*, „Poezja” nr 12/1985.

lat Białoszewski podjął decyzję, że zamyka w swoim życiu etap związkowy – to wtedy powstał *Sen i 6 dochodzeń*. Komentując ten ostatni wiersz, wspomniałem, że u Rembrandta Jakub i Anioł wyglądają, jakby tańczyli – uważam, że na tym płótnie jest to dużo bardziej oczywiste niż u Gaugina na *Vision après le sermon* (*Wizji po kazaniu*), znanym także jako *Walka Jakuba z Aniołem*. Zastanawiającą różnicę w stosunku do ujęcia Rembrandta stanowi tu też gawiedź w mieszczańskich strojach, obserwująca szczepione ciała jakby to była walka gladiatorów.

Późną pointę tego motywu stanowi krótka notatka w *Tajnym dzienniku* z 2 lipca 1982 o śnie. „Sen: pornografia męska w kościele”⁴¹. Znając Białoszewskiego, mogę domniemywać, że pornografię stanowiły tu nie „reprodukcje”, to znaczy, nie śniło mu się, że ogląda pismo pornograficzne w kościele, bądź też zagląda komuś przez ramię, kto trzyma na kolanach zamiast modlitewnika magazyn eorytyczny; ale że ogląda pornografię, czyli stosunek w kościele. Jakuba z Aniołem? Księdza z kimś? Nie wiadomo. Sen erotyczny o dwóch mężczyznach – obserwowanych z zewnątrz albo gdzie jednym z nich jest sam pisarz – nie jest w *Tajnym dzienniku* wyjątkiem, ale wyjątkowa jest sceneria. Wydaje się to kulminacją ukrytego projektu poety, aby wprowadzić homoerotykę do nie tyle nawet doświadczenia duchowego już, co instytucji religijnej poprzez wprowadzenie motywiki chrześcijańskiej w swoje „pisma nieświęte”. Kilka miesięcy później w Nowym Jorku o kinie z gejowskim porno wyrazi się „kino mojego obrządku”⁴², a zatem przenosząc metaforę religijną na obszar seksualności: tak jak jeden wyznaje tego samego Boga w obrządku prawosławnym, inny jako judaista, inny (Polak?) jako katolik, tak „ceremonie” czy „rytuały” miłosne i erotyczne różnią się w szczegółach, ale co do rdzenia są takie same. W świetle tak zarysowanego projektu nie dziwi w liście cytowanym na początku oskarżenie katolicyzmu o „nietolerancję” i „uprzedzeniowość” – wobec innych obrządków.

⁴¹ TD.

⁴² TD.



Słynny piec Białoszewskiego na ulicy Poznańskiej.

ANNA SOBOLEWSKA

Od Jestem do Się Parareligijna duchowość Mirona Białoszewskiego

Zdaniem Czesława Miłosza „idealne życie poety polega na kontemplacji słowa „jest”¹. W twórczości Mirona Białoszewskiego słowa „jest” i „jestem” stają się osią doświadczeń wewnętrznych.

Wyjrzanie stworzenia to cykl kilku krótkich wierszy zapisanych tego samego dnia 11 września 1975 roku. Można go czytać jako jeden wiersz będący zapisem intrygującej podróży podmiotu – podróży wewnętrznej poprzez różne stany skupienia „ja” – od afirmacji „jestem” poprzez „jest” aż do „się”. Ta podróż w głąb siebie jest równocześnie podróżą w czasie i przestrzeni. Tytułowe „stworzenie” to subiektywny proces samopoznania, jak również stworzenie świata.

Wyjrzanie stworzenia

Do dnia

Dnieje. / Jestem. / Niestworzone. / Jestem tkwi. / Jestem przenika.

Jestem nie znika

em znika. / Jest jest i jest, są.

Ale tam!

Jestem zanika. / Zasnuwa się jak kurze oko. / Głupieje.

Się jest

Ale nie to że samemu.

Samo / **Się** / lata / skąd ono się / ? / może to ten co / jestem²

¹ Por. Renata Górczyńska [Ewa. Czarnecka], *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*, Kraków 1992.

² Miron Białoszewski, *Świat można jeść w każdym miejscu. Rozproszone i niepublikowane wiersze i kabarety 1975–1983*, red. Maciej Byliniak, Marianna Sokołowska, Warszawa 2017.

Afirmacja „jestem” była rozpoznawalną cechą podmiotu utworów Mirona Białoszewskiego – jakby sygnaturą autora. *Wyjście stworzenia* to kolejny „wywód jestem’u”, będący zarazem zapisem Genesis, poetyckiego aktu stworzenia. „Jestem” stopniowo roztopia się we wspólnej materii istnienia, traci cechy indywidualne, zamienia się w „jest”, zasnuwa się błoną nieświadomości. Można na to spojrzeć jak na proces redukcji – zanika „em” w „jestem”, „em” jak „Miron” albo jak na powiększenie, proces rozszerzenia jaźni. Fundamentalne słowo „jestem” łączy zatem dwa bieguny świadomości – wieczne niezmiennie „jest” oraz „em”, czyli indywidualne „ja”.

„Jestem” obywateli się tu bez dopełnienia lub przydawki. Deklaracja podmiotu: „jestem jaki jestem” to wypowiedź o charakterze egalitarnym i na odwrót – wyróżniająca poetę ponad przeciętność innych „jestemów”, przywołując na myśl boskie i stwórcze „jestem który jestem” oraz ukryty system stworzenia świata.

Stwórcze „jestem” spotykamy w niezliczonych wierszach. Wydaje się, jakby poeta nieustannie powtarzał słowo „jestem”. Miron Białoszewski najmocniej wyraził ten impuls autokreacji w wierszu z cyklu *Odczepić się*:

„Zaczepony / na włosku nieba / i poczucia; / tu jest miejsce utajenia / – utajony / tu jest miejsce ulepiania / – ulepiony / rozpuszczenia / – rozpuszczony / zapalenia / – zapalony, / bo to ja sam schodzę / do siebie / sam się nawiedzam, rodzę / i wchodzę / i schodzę / i wchodzę / i schodzę” (*Wprawiony w wylot i polot*, w: *Świat można jeść w każdym miejscu*).

„Tu jest miejsce utajenia...” to słowa pieśni wielkopostnej towarzyszącej wynoszeniu Najświętszego Sakramentu do ciemnicy. Podmiot wiersza wskazuje na siebie jako na „miejsce utajenia”. Podmiot zbiorowy pieśni kościelnej został zastąpiony pojedynczym, osobnym „ja”, które samo odprawia liturgię śmierci i zmartwychwstania. Poeta sam sobie nadaje religijną formę i znaczenie. Przedstawia nieustanny proces stwarzania siebie jako wchodzenie i schodzenie, a innym miejscu jako wspinanie się na drabinę i spadanie... Seria imiesłówów biernych i rzeczowników odsłownych sugeruje wewnętrzny dystans – odległość między różnymi skupieniami „ja”, między „ja” działającym i „ja” – świadkiem, a także „ja” przedstawionym jako „on” – „utajony”, „ulepiony”, „rozwieszony”. To nawijanie i odwijanie świata na osi „ja” nie ma końca.

Tadeusz Sobolewski zwrócił uwagę na sakralność języka poetyckich autodefinicji Białoszewskiego. W jego książce *Człowiek Miron* ten wątek sakralizacji własnego „ja” – wielostronnie związany z sakralizacją własnego otoczenia w całej „zwykłości” i „pospolitości” – jest jakby refrenem powracającym w wielu

rozdziałach. Tadeusz Sobolewski dostrzegł i opisał fazy skupienia i rozpuszczenia „ja” poety jako etapy jego biografii:

„W tej twórczości, pozornie egotycznej, będącej właściwie w całości rodzajem dziennika, nie jego osoba jest najistotniejsza, lecz droga, jaką przeszedł. Twórczość staje się projektem siebie, »osobowością zachciankową«. W schematyczny sposób tak można by zarysować ewolucję osobowości Mirona na podstawie tego, co pisał. Pierwszy etap: zgoda na siebie, takiego, jakim się jest, odmiennego, i afirmacja swojego »ja«. Drugi etap: rozpuszczenie tego »ja« w świecie, w »donosach rzeczywistości«, w jej »szumach, zlepiach, ciągach«. I etap trzeci, końcowy: przezwycięzenia »ja«, przygotowanie do rozstania z sobą, zaświadczone w wierszu *Kończę 60 lat*, zakończonym »nieutuloną zgodą« na ostateczne »podszewką wywrócenie od wszystkiego / od każdego / od siebie«³.

W książce *Maksymalnie udana egzystencja* próbowałam opisać uniwersum świeckiej mistyki codzienności Białoszewskiego, szukając analogii w sferze mistyki chrześcijańskiej⁴. Można by śledzić analogie języka i treści, nierozzerwalnych w jego poezji, jak materia i energia – w sferze myśli indyjskiej. U Białoszewskiego – podobnie jak w jodze i buddyzmie tybetańskim – symbole religijne okazują się aspektami życia wewnętrznego. W wierszu *Autobiografia* (z tomu *Obroty rzeczy*) mieszkanie poety staje się moją stajenką „z mirrą, kadzidłem i złotem”, a każdy stopień schodów „śpiewa kolędę / o moim narodzeniu”. Stałym wątkiem jest sakralizacja przedmiotów, trudniej uchwycić proces sakralizacji zaimków, imiesłowów i czasowników. Szczególną rolę wskazującą na różne stany skupienia jaźni pełnią metamorfozy czasownika „jestem”.

W tradycji indyjskiej „ja jestem” (*aham*) może być samodzielną formułą filozoficzną oraz mantrą, świętą sylabą do praktyki medytacyjnej jako skrót wielu mantr, uznanych za *mahavakya*, wielkie aforyzmy z upaniszad, jak *aham brahmasmi* (ja jestem Absolutem), *Shivo’ham* (ja jestem Śiwą). Czym jest twierdzenie *aham*? Przywołam myśl żyjącego w Indiach katolickiego zakonnika o. Henri’ ego Le Saux, który wycofał się z życia w dwureligijnym, benedyktyńskim klasztorze o. Griffitha i został samotnym joginem w Himalajach, wybierając nowe imię Swamiego Abhishtanandy. Henri Le Saux głosił, że prawdziwym imieniem Jezusa jest *aham* – słowo będące rdzeniem wszystkich mantr⁵. *Aham* jako głębokie „ja” jest ukrytym imieniem każdego z nas. Każdy człowiek jest powołany do urzeczy-

³ Tadeusz Sobolewski, *Człowiek Miron*, Kraków 2012.

⁴ Por. Anna Sobolewska, *Maksymalnie udana egzystencja*, Warszawa 1997.

⁵ Henri Le Saux [Swami Abhishtananda] *Le Mont Au font du coeur. Le journal intime du moine chretien-sanny-sannyasi-hindou 1948–1973*, Paris 1988.

wistnienia swojego prawdziwego imienia. Swami Abhishtananda pisał, że Jezus „szukając Ojca nie znalazł innego [niż siebie]”. W innym miejscu imiona bóstw hinduistycznych stają się jednym imieniem, znakiem bogoczości:

„Nazywam go Chrystusem? Tak w tej tradycji, ale jego imieniem jest także Emmanuel – Purusza. A może Kriszna? Rama? Śiwa? Czemu nie, jako że Śiwa jest [...] formą tego archetypu, który domaga się eksplikacji w najtajniejszej głębi człowieczego serca”⁶.

Porównania z jogą i buddyzmem są w dzisiejszym świecie czymś banalnym, ale w przypadku Białoszewskiego wydają się uzasadnione. Jak pisałam, Miron interesował się zarówno mistyką chrześcijańską, jak i filozofią jogi. Wspólnie z Leszkiem Solińskim namawiali nas, młodych, do poszukiwań w sferze medytacji, w tym czasie modnych i łatwo dostępnych na rynku kontryduchowości⁷ Nowej Ery. On sam nie potrzebował żadnej religii, techniki medytacyjnej ani guru, bo znał wszystkie z doświadczenia wewnętrznego. Jego fascynacja liturgią katolicką i prawosławną wymagałaby osobnego studium, gdyż wiąże się raczej ze sferą sztuki niż z impulsem religijnym.

Mironowe „jestem” łączy się z pierwotnym, stwórczym słowem, „jest”, pulsuje panteistycznym – spinozjańskim czy buddyjskim – przeżyciem jedności wszystkich żywych istot. A jak objawia się samozwrotne „się”?

Indianistka i poetka Joanna Jurewicz twierdzi, termin *Atman*, wskazujący na indywidualną jaźń, można by na polski przełożyć jako „Się”. W tym ujęciu „jestem” i „się” są ściśle ze sobą związane, a termin „joga” jest spokrewniony z polskim „jarzmem”.

„Można powiedzieć, że atman podporządkowuje sobie atmana – Siebie. Joga jest działaniem zwrotnym, działaniem Absolutu na siebie samego, atman jest zarówno Podmiotem, jak i Przedmiotem, podporządkowującym, jak i podporządkowanym”⁸.

Jogin, który rozpoznał atmana w sobie, czyli „posiadł Się” w procesie samopoznania, staje się mahatmanem – człowiekiem wyzwolonym:

Który Się ujarzmił w jodze – ten jednako wszystko widzi,
We wszechświecie widzi siebie, wszechbył w sobie on dostrzega⁹

⁶ Ibid.

⁷ Por. Anna Sobolewska, *Alternatywne światy duchowe w Polsce. Duchowość ponowoczesna*, w: *Świat i wiara w godzinie przełomu*, red. ks. Jarosław Jagiełło.

⁸ Joanna Jurewicz, *O imionach i kształtach Jednego. Monizm indyjskiej filozofii Tradycji*, Warszawa 1994.

⁹ Ibid.

Myślę, że „się” u Białoszewskiego to coś więcej niż użyteczny zaimek, to jaźń jako „się”, które pełni szczególną funkcję bycia transcendentnym świadkiem zarówno rzeczywistości, jak i przygód własnego „ja”, chwil, kiedy „trafia się samość”. Latające „się” okazuje się tym samym, co „jestem”.

W wielu wierszach Białoszewskiego zamiast oznajmującego „jestem” mamy pytania, takie jak: co? Co to? Kto? Kim jestem? „Gdzie są moje granice?” (*Autobiografia*); „lepienie widoku z domysłu / – czym? / – kto ja jestem? / nieoczywistość” (z cyklu *Homeryki, czyli niejasności*, w: *Sprawdzone sobą. Wiersze wybrane*, red. Marianna Sokołowska, Warszawa 2008).

Pytania, jakie stawia podmiot, można by sprowadzić do „kim jestem”, a ściślej: czym jest moje „ja” wobec żywego istnienia, które kryje się za zaimkiem „ono”. Własne „ja” wydaje się równie obce i zadziwiające jak „ono” świata; raz występuje jako swojskie ja, a raz jako oddalone, może nawet obce „Ja”. Wszystko wydaje się osobne, a jednak metafora niewidzialnych łodyg planety zbiera „mrowie osobności” w jedno:

„aż dziwne / że tu bywają cisze i luzy / ? co to za ziemia / między latarniami / ? co to za przekwit wcielenia / »ja« / ja idę / ja idę zamoczony w myśleniu / a ono / wie, w co się supła / i rozmywa / oczy napięte / na nogach / biała szosa / chwilo-wość od drzewa do drzewa / przeciąga się / na nitce wieczności / śpią / łodygi tej planety / w morzu osobności” (*Przejście 2* z cyklu *Wiersze bez bicia*, w: *Stara proza. Nowe wiersze*, Warszawa 1984).

Pytania Mirona Białoszewskiego są obecne w każdym wierszu, bo każde twierdzenie kryje w sobie pytanie. Pytania przenikają i wiersze, i prozę:

„Po ciemku. Goście? Gość? Czy to dym? Potem Le. Wrócił, poszedł spać. Znów zgasilem światło. Czy to ktoś przyszedł? Rozsiada się na łóżku. Może ściana tylko podeszła, poczuła się zaproszona. Te jaśniejsze rzeczy w nocy mają tupet” (*Frywole – 2*, w: *Szumy, zlepy, ciągi*, Warszawa 1976).

W tym fragmencie odpowiedź jest zaskakująca – to ściana „pchnęła się w odwiedzinki” do poety, przybierając postać współlokatora albo nieznanego nocnego gościa. Charakterystyczny dla Białoszewskiego wątek przywidzeń, majaków, snu na jawie („coś jakby tak”, „wyglądało jakby to”) to nie fantastyka ani psychoanaliza, tylko cierpliwe badanie własnej percepcji – jak świat rozmywa i „od-wemnia mnie”.

W tradycji indyjskiej te pytania: „kim jestem”, „co” i „kto” są również świętymi sylabami. Upaniszady zachęcają do stawiania pytań, a ściślej do poszukiwania samowiedzy za pomocą pytań. Tytuł upaniszady *Kena* znaczy po prostu „pytanie”. W praktyce jogi Ramany Maharishiego mantrą jest pytanie „kim jestem?”, w skrócie „kim”. Zdaniem mistrza Sri Sri Raviiego Shankara momenty zaskoczenia

i zadziwienia, przejawiające się jako pytania, co się tam we mnie kryje, prowadzą w głąb jaźni:

„Takim momentom zwykle pozwalamy przeminąć, nie zaobserwowawszy, co w nas zachodzi, gdy przeżywamy zdumienie, zaskoczenie i umysł staje się jednym wielkim znakiem zapytania, chce dochodzić do sedna. Były to chwile bezcenne, najcenniejsze w twoim życiu. Chwile, kiedy paplanina umysłu ustaje, a ty robisz skok ze znanego w nieznanie. [...] w obszarze znanego jesteś ograniczony. Otwierając się na niewiadome, wstępujesz na ścieżkę wiodącą w nieskończoność, w bezgraniczność”¹⁰.

Chwile wglądu czy kontemplacji stają się pauzą w strumieniu świadomości. Umysł wstępuje w sferę „czegoś całkiem innego”, którego manifestacja „nie należy do naszego świata”, jak określił doświadczenie religijne Rudolf Otto¹¹. Czy nie jest to równocześnie idea percepcji poetyckiej? Jednoczące spotkanie z przedmiotem możliwe jest jedynie w stanie zawieszenia myślenia, wymaga jakby redukcji fenomenologicznej, wzięcia w nawias istnienia świata i całej uprzedniej wiedzy. Konwencjonalne sposoby percepcji nie prowadzą w sferę nieznanego. Rzecz interesująca, że w *Obrotach rzeczy* przeżycie stanowiące centrum wiersza było określone i nazwane, np. „moja świadomość tańczy” (*Autoportret radosny*) czy „razem rośniemy krążymy / kartofle ludzie psy dachy” (*Noce nieoddzielenia*), podczas gdy w późnych wierszach podmiot bierze w nawias nazwy i pojęcia. Już nie drzewa, ale „wysocy po bokach stoją” i „znajomi kwitnący” – tak jak je rozpoznaje nieuprzedzone „ja” (*Domki i psy w lesie tej planety* z cyklu *Wiersze bez bicia*).

Paradoks doświadczeń Białoszewskiego, dobrze znany filozofom – od Kierkegaarda do Schopenhauera i Husserla – że podmiot raz wydaje się osobą, a raz rozprasza się w materii świata bez reszty, oscylując między „jestem” a „jest”. Te dwa bieguny samoświadomości nie są przeciwieństwem, ale projektem całości, pełni. Im bardziej bezosobowe przeżycie, im silniejsze dążenia do „rozproszenia”, tym jestestwo staje się mocniejsze. Siłą podmiotu jest momentalność, nieciągłość istnienia. W myśli Schopenhauera tylko to, co chwilowe, ulotne jest wieczne. Istnieją tylko „delikatne terażniejszości”. Wycieczki podmiotu w „jest” i „się”, jego „transy”, „transiki”, „odstrychnięcia”, „oderwania” „rozproszenia” mają oparcie w silnym, samoświadomym „ja”. Jest to jeden z paradoksów świadomości religijnej. Mistycy

¹⁰ Upaniszada Kena. Co? – dociekanie tajemnicy istnienia. Komentarze Sri Sri Raviiego Shankara, przełożyła Anna Żurowska, Warszawa 2020.

¹¹ Por. Rudolf Otto, *Świętość. Elementy irracjonalne w pojęciu bóstwa i ich stosunek do elementów racjonalnych*, przełożył Bogdan Kupis, przedmowa Józef Keller, Warszawa 1978.

bywają partnerami Boga, czując się osią wszechświata¹², jak Anioł Ślăzak i Mickiewicz w *Widzeniu*, by w kolejnej introspekcji być „prochem marnym” i zanurzyć się w Nic. Skrajny solipsyzm może prowadzić do przekroczenia siebie i wyzwolenia.

Jeszcze jedno słowo trzeba by przywołać w tych rozważaniach, powszechnie nadużywane słowo „Bóg”. W czasie mszy żałobnej za siostrę Marię Franciszkę poeta zadaje pytania o „życiorys” Jezusa. Słyszając *Credo* „Bóg z Boga, Bóg prawdziwy, z Boga prawdziwego”, rozważa nie Jego boskość, ale człowieczeństwo:

„[...] odczułem go wzruszająco jako – nie wchodząc w boskość – kogoś bardzo subtelного, najbardziej, chociaż znającego niesubtelności do końca, to ta dojna krowa, ale tak się naznaczyć? tak fruwać? Poczuć się odpowiedzialnym za te byty, przejścia, światy, za wszystkich? za wszystko? to bardzo wiele mówi i zastanawia” (*Trans [Dalej]*, w: *Szumy, zlepy, ciągi*).

Dla Mirona kościoły były azylem sztuki, ale duch chrześcijaństwa to człowieczeństwo. Jak pisał Tadeusz Sobołewski:

„Jeśli spojrzeć na twórczość Mirona jako na rodzaj wewnętrznego misterium, okaże się, że obok grzesznego everymana staje wewnętrzny Bóg, »ta interesująca osoba«, tożsamy z nim samym, biorący go w obronę. [...]”

Zwrócenia się ku Bogu jest równoznaczne ze zwróceniem się ku samemu sobie. Bóg artysty okazuje się w pewnym sensie podobnie egocentryczny jak on sam. Ten Bóg nie sądzi człowieka z zewnątrz, ale go chroni, odsłania mu siebie. Człowiek rozmawia z Nim tak jak sam z sobą, jak równy z równym¹³.

Pytania podmiotu wciągają czytelnika w kontemplację nieoczywistości świata i własnego „Ja”. Nie są to jednak abstrakcyjne dociekania filozoficzne, ale zabawy Mirona. Kontemplując przygody języka i świadomości, poeta cieszy się nimi:

„Słowa odrzuciły, przejrzały. Daleko. Oj, moje gołąbki. Grzeszne, pocieszne, plujcie na siebie, ale się wachajcie z życiem, faktami. Przefruwajcie przez siebie. Bawcie się, bawcie. Bo co tu innego?” (*Transy*, w: *Szumy, zlepy, ciągi*).

Codzienna praktyka samopoznania staje się źródłem radości.

¹² Por. Rudolf Otto, *Religia jako duma*, w: *Mistyka Wschodu i Zachodu*, przełożył Tomasz Duliński, Warszawa 2000.

¹³ Tadeusz Sobołewski, *op. cit.*

Za zgodę na publikację fragmentu rękopisu serdecznie dziękujemy spadkobiercom Mirona Białoszewskiego – Henkowi Proememu i Weronice Kubackiej oraz Muzeum Literatury w Warszawie, w którym znajdują się bruliony *Pamiętnika z powstania warszawskiego*.

Listy przedrukowujemy za uprzejmą zgodą adresatów i spadkobierców adresatów – Anny i Tadeusza Sobolewskich, a także za zgodą spadkobiercy praw autorskich do dzieł literackich Mirona Białoszewskiego – Henka Proemego oraz ich depozytariusza – Muzeum Literatury w Warszawie, za co serdecznie dziękujemy.

Serdecznie dziękujemy Muzeum Narodowemu w Lublinie – Muzeum im. Józefa Czechowicza, za zgodę na druk fotografii ze spotkania autorskiego.

Redakcja bloku tematycznego, wybór i komentarz edytorski Piotr Sobolczyk.

Elżbieta Lempp



WYSTAN HUGH AUDEN

1 września 1939

w nowym przekładzie Antoniego Libery

Siedzę w okropnym nastroju
W jednym z tych podłych barów
Przy pięćdziesiątej drugiej,
A zadufane nadzieje
Tej zakłamanej dekady
Pryskają jak bańki mydlane.
W zmierzch, co zapada nad ziemią,
I w świt, i w każdy los
Wdziera się lęk i gniew
Jak wściekła fala powodzi;
I pięknej nocy wrześniowej,
Choć jeszcze tego nie słyszeć,
Urąga odór śmierci.

Wiersz napisany w pierwszych dniach września 1939 r.; na nowo przełożony na polski po agresji Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022. (Red.)

Nauka kiedyś odkryje
I opíše ten szal –
Od Lutra aż do dzisiaj –
Który opętał kulturę;
Odpowie, co właściwie
Wydarzyło się w Linzu,
I z jakiej wyobraźni
Wziął się ten bóg-psychopata.
Lecz na razie sam wiem –
Co zresztą wszyscy wiedzą,
W tym nawet małe dzieci –
Że komu wyrządza się zło,
Ten się odpłaca złem.

Wyniany Tukidydes
Wiedział o demokracji
Wszystko, co da się wysłować.
Znał zakłamanie tyranów,
Ich starczą gadaninę
I mowy nad głuchym grobem.
I opisał to wszystko:
Wzgardzone światło rozumu,
Pospolite cierpienia,
Złe rządy, nieszczęścia i rozpacz.
Teraz znów nas to czeka.

W tym apatycznym powietrzu,
W którym ślepy wieżowiec
Samą swą kubaturą
Czci Masowego Człowieka,
Rozbrzmiewa wielojęzyczny
Pełen sprzeczności szum,
Który ma coś tłumaczyć,
Tylko że nic nie tłumaczy.
Ale jak można dłużej
Żyć w euforycznym śnie,

Kiedy zwierciadło odbija
Dziką, zaborczą twarz
I globalne bezprawie?

Oczy i uszy ludzi
Siedzących tu przy barze
Szukają pocieszenia
W błyskotkach codzienności.
Te światła nie mogą zgasnąć,
Orkiestra musi grać dalej.
Cała machina świata
Pracuje dla pozoru:
By obić nam dom tapetą
I stłumić dziecięcy lęk:
Żeśmy zbłądzili w lesie,
A tu zapada noc,
I nigdy już nie będziemy
Szczęśliwi ani dobrzy.

Bezdenne brednie i wrzaski
Ważnych Osobistości
Nie są tak prymitywne
Jak nasze skryte pragnienia:
Co szalony Niżyński
Napisał o Diagilewie,
Wyraża i zwykłe serca.
Bo każdy o tym śni
I niepoprawnie marzy:
Nie żeby kochać bliźniego,
Lecz aby być kochanym.

Z atawistycznych mroków
Wkracza w moralne życie
Zgraja tępych gamoni,
Klepiąc poranne przysięgi:
„Nie będę cudzołożył,

Będę pracował wydajniej”.
A bezradni przywódcy
Co rano, nałogowo,
Zasiadają do gry.
Któż ich teraz uwolni?
Kto przywróci im słuch?
Kto za nich, niemych, przemówi?

Wszystko, co mam, to głos –
By się nim przebić przez kłamstwo,
To romantyczne kłamstwo,
Które narosło w mózgach
Przejętnych zjadaczy chleba;
Jak i przez kłamstwo Władzy,
Wcielone w drapacze chmur.
Państwo to abstrakt, widmo,
Lecz nikt też nie żyje sam.
Policji i ludzkim masom
Głód nie daje wyboru;
Musimy się miłować; m u s i m y – albo śmierć.

Zapada noc. I świat,
Bezbronny, kruchy świat,
Zamiera jak w malignie.
A jednak tu i ówdzie
Pobłyskują przekornie
Małe punkciki światła –
To garstka Sprawiedliwych
Wysyła sobie sygnały.
Obym i ja, jak oni –
Proch, którym włada Eros –
Wśród tego samego zwątpienia,
Pośród tej samej rozpaczey,
Zapłonął ognikiem wiary.

ROBERT MUSIL

w przekładzie Artura Przybysławskiego

Analiza i synteza

(15 listopada 1913)

Ludzie skłonni do rozmyślań są zawsze analityczni. Pisarze są analityczni. Każda bowiem przypowieść jest niezamierzoną analizą. Zjawisko zaś rozumie się, poznając, jak ono powstaje lub jak jest w całość złożone, jak łączy się z czymś innym i daje się z nim powiązać. Oczywiście można równie dobrze powiedzieć, że każda przypowieść jest syntezą, że jest nią każde zrozumienie. Oczywiście; to samo działanie ma dwie strony. Pomimo to wielu jest dziś literatów, których irytuje analiza i chełpią się syntezą. Ich pozorna racja jest taka oto: poprzez ciągłe dokonywanie częściowych analiz lub syntez (to jest poprzez ciągły namysł) wszystko ostatecznie zostanie ze wszystkim powiązane, da się ze wszystkiego wywieść, [a] zjawisko rozpada się na podobieństwa i nieograniczone możliwości kombinacji. Zgadza się to nawet z prawdą (i dzieje się za sprawą historycznej przypadkowości, której zawdzięczamy ów sposób naszego wewnętrznego bytowania, z jego grupowaniem na bazy wartości, etc.), ale byłoby jałowe, gdyby stosować to jak igraszkę bez silnej namiętności i bez wielkiej dozy talentu. Kłóć się dalej inni o „czystą” analizę, „czystej” psychologii (choć nie chodzi nigdzie o psychologię, a raczej o eksperymenty etyczne), brakującym zakotwiczeniu w poczuciu wartości, jałowym racjonalizmie (aczkolwiek nie chodzi o żadne w ogóle racjonalne, a raczej o jakieś emocjo-racjonalne i senty-mentalne myślenie) i tym podobnych. – Błędem ich jest, że z istotą sprawy mieszają swój oczywisty najzwyczajniejszy brak talentu przeciętniaczka. Wiedzą dobrze, że bycie pewnym wewnętrznych możliwości nie przekłada się jeszcze na rzeczywistość, ale ich oburzenie ignoruje [fakt], że do tego potrzeba kroku naprzód, a nie wstecz. Wiedzą, że człowiek, aby być sugestywnym przykładem lub aby stworzyć dzieło sztuki, potrzebuje innych jeszcze właściwości niż myślenie i moralna fantazja, ale zapominają, że trzeba mu tego życzyć, a nie odwozić go od myślenia. Owo nieskończenie małe rozumiejące uwolnienie człowieka z pewnością nie jest nowym człowiekiem, ale jest mimo to jedyną sytuacją dla każdego, kto ma dar, aby nowego człowieka stworzyć. Człowiek nie będzie wobec niczego tak nieufny jak wobec wszelkich życzeń upraszczania literatury i życia, wobec homeryckiego lub religijnego nastroju, wobec jednolitości i całościowości.

Powątpiewania rozmaite

(31 maja 1936)

Naród tłumaczy. Szczyciliśmy się tym, że jesteśmy narodem otwartym, ponieważ gorliwie tłumaczymy i ponieważ tłumaczenia zajmują dużo miejsca w naszej literaturze narodowej. Niekiedy tworzone z tego nawet zadziwiający psychologiem, który w przybliżeniu tak oto wygląda: ponieważ my Niemcy zamieszkujemy geograficznie centrum Europy, to również wyznaczeni jesteśmy na pośredników jej ducha. W ten sposób snujemy na swój własny temat marzenia, jak gdyby nie było skromniejszego wyjaśnienia, którego właśnie teraz przyjdzie nam znów doświadczyć: literaturze niemieckiej nigdy nie zbywało na znaczących pisarzach, ale ciągle nachodzili ją obcy! Ostatnio przez jakieś trzydzieści – czterdzieści lat literatura niemiecka musiała pocieszać się rosyjską, skandynawską i francuską, ponieważ została zarośnięta przez swe własne chwasty, które w większej obfitości niż szlachetne rośliny wydała naturalna i nieuprawiana gleba. Kogo będą tłumaczyć nasi potomkowie?

Cóż powiedział Lichtenberg? „Zda mi się, że Niemiec siłą swą ma zwłaszcza w dziełach oryginalnych, w których jego niezwykajna głowa już się przygotowała; lub też innymi słowy, w największej doskonałości posiada on sztukę, aby przez naśladowanie stawać się oryginalnym”¹. Od napisania tego upłynęło okrągłe sto pięćdziesiąt lat! Oznacza to jednak nie rasę, lecz los!

Żadnego błędu. W pewnym zbiorze autografów znajduje się następujące powiedzenie pewnego pisarza: „najwyższa sztuka: najgłębsze wypowiedzieć w sposób najprostszy!”. Prosty oznacza wszelako powierzchowny i płaski, czy zatem nie zaszedł tu przypuszczalnie jakiś błąd lub też jest to jakowaś prawda mimowolna? Albowiem powiązanie głębi przekazu z płaskością potraktowania dotyczy zwykle samego pisarstwa [*das eigentlich Dichterische*] u Niemców. Można by o tym wiele pisać; oszczędź sobie jednak trudów: że prosty, czyli płaski, w naszej mowie odnotowuje faktycznie na wpół uprawnione, podatne na wypaczenie drugie znaczenie: łatwy, jasny, zrozumiały i przyziemny, odciska się już w tymże słowie.

¹ Georg Christoph Lichtenberg, *Sudelbücher*, Heft E 69, w: *idem, Schriften und Briefe*, tom I, Frankfurt am Main 1998.

Bezistotowość literatury, jej bezpłodność i rdzeń tego zła zostają już, aczkolwiek bez intencji, scharakteryzowane u Thomasa a Kempisa, w rozdziale o unikaniu powierzchownych słów z *Naśladowania Chrystusa*: „Ale czemuż to tak chętnie gadamy i wdajemy się w rozmowy, jeśli tak rzadko udaje nam się bez skazy sumienia wrócić do swojej ciszy? Dlaczego tak chętnie mówimy, że w wymianie zdań szukamy pociechy i chcielibyśmy w ten sposób ulżyć sercu zmęczonemu rozmyślaniem? A przecież wolimy rozmawiać i myśleć o tym, co lubimy i czego pragniemy, niż o tym, co jest nam przykre. Ale niestety! Jakże to wszystko daremne! Bo zewnętrzne uciechy powodują tylko utratę prawdziwej Bożej pociechy”². Tak oto się tam stwierdza i można by to również powiedzieć o prawdziwym i fałszywym pisarstwie, chociaż nie mówi się o nim ani słowa.

O eklektyzmie i sprawiedliwości historycznej. Że eklektyzm, idący w ślad za nim smak, odgrywa w sztuce tak wielką rolę, nieomal staje się zabawną zagadką, gdy pytanie postawić w ten sposób: jak to się dzieje, że zli artyści każdych czasów za wzorzec biorą sobie dobrych artystów z czasów minionych, a nie złych? Zagadka zdaje się rozwiązywać, gdy zauważyć, że na miejscu dla „dobrego” stać musiałby również „uznany”. Toteż eklektyk zależny jest od powszechnego uznania; jest nawet jego wyrazem. Mimo że w ten sposób pierwotne pytanie jedynie się zmieniło, to faktycznie eklektyzm obok zależności bez wątpienia obejmuje też dodatkowo pojęcie wykwinności. To, co jest przezeń naśladowane, musi być nie tylko uznane, ale i dobre. W ten sposób wszelako pytanie o eklektyzm prowadzi do innego pytania. Mianowicie, jak dochodzi do tego, że znaczącym artystom przypada w udziale pośmiertne uznanie?

Jak dochodzi do tego, że przeceniani fałszywi mistrzowie wraz ze zmieniającymi się czasami tracą swoją siłę przyciągania i że naturalny powab, który przeciętność ma dla przeciętniaka, zostaje przewyżniony przez coś innego? Zakłada się wręcz, że zły smak zmienia się, zanim zmieni się dobry. A nawet zakłada się, że robi to sam z siebie, trochę tak, jak światło gwiazd ujawniające się po zachodzie słońca na koniec słonecznego dnia, i nierzadko czyni się z tego radosne, wiarygodne usprawiedliwienie ludzkości. Krótko mówiąc, jest to tak zwana sprawiedliwość historyczna, która nadejść powinna, gdy sprawy dobiegną końca.

Mamy zatem z nią do czynienia? Częściowo jest ona naturalnie tylko wynalazkiem historyków, którzy niegdyś swoich tyranów przerażali tym, że historia świata jest też świata sądem; tak długo, jak tyrani sami nie stali się jeszcze pisarzami.

² Tomasz a Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, przełożyła Anna Kamieńska, Warszawa 1980.

W tych starych dobrych czasach polityka i kultura stanowiły swoje wzajemne przeciwieństwo. Częściowo zaś, w co wątpić niepodobna, z biegiem czasu dokonuje się jakiś proces wyjaśniania, który oddziałuje i który w pewnym ograniczonym stopniu można by nazwać historyczną sprawiedliwością i mądrością.

Również zwyczajowemu wyjaśnieniu tego procesu, że jego przyczyny szuka się w „dystansie wobec tego, co się wydarza”, nie można nic zarzucić. Każdy wie, co to znaczy przyglądać się tej samej rzeczy z różnych stron, w różnych czasach, z różnych punktów widzenia i z różnym nastawieniem: daje to zarówno chłodny, jak i dojrzały jej osąd. Podług wzorca tego doświadczenia ukształtowane jest wyobrażenie tego „dystansu”, które powinno wyjaśnić nam bardziej wyważoną dojrzałość osądu wydawanego przez późniejszy świat. Tutaj jednak przy przejściu od osobistego przeżycia do tego, co ogólne musi się uwzględnić małą różnicę. Albowiem osąd ów dojrzewa nie tyle w duchu, co raczej znacznie bardziej w uduchowionych ludziach, którzy go wydają, a dystans historyczny oznacza, że wolno im u nas zwykle zasiąść do stołu, po tym, jak najedli się żyjący. Sprawiedliwość historyczna bierze się zatem głównie stąd, że zdrowi, żyjący ludzie nie ekscytują się zmarłymi i ich sprawami. Temu zawdzięczamy to, co występuje w ramach swobodnej neutralności tworzenia sztuki; a przy tym można by sobie pozwolić na ogólne stwierdzenie, że odwieczne osiągnięcia kultury nie są wyrazem swych czasów, lecz tym, czego nie dosięgnęła ich pożyteczność, treścią ich zapominalstwa i roztargnienia.

Eklektyzm zatem należałoby określić jako coś pośredniego i jako mediatora pomiędzy duchem i pożądaniem.

Zapominalskie życie. Dziś dużo jeszcze jest ludzi, którzy żyli za czasów Schopenhauera, a przy tym i nam są współcześni. Schopenhauer wszelako wymieniał z Goethem listy dotyczące nauki o kolorach. Cierpiał z powodu Fichtego. Wagner przesłał mu *Pierścień Nibelungów*. Nietzsche zadedykował mu hymn [pochwalny] *Schopenhauer jako wychowawca*³. Sam urodził się przed rewolucją francuską. Niczym w strzępach jest dziś ten gęsty splot. A jakaś para, która przyszła z kina, pyta się: „Cóż począć z tak rozpoczętym wieczorem?”: czyż nie jest to żądanie szacunku należnego dwojgu pierwszym ludziom?

³ Trzecie z jego *Niewczesnych rozważań*. Por. Friedrich Nietzsche, *Narodziny tragedii. Niewczesne rozważania*, „Dzieła wszystkie”, tom 1 a, przełożyła Małgorzata Łukasiewicz, Łódź 2012.

Powodzenie mężczyzny u kobiety rozpoczyna się wtedy, gdy podziwia go ona za to, że jest w stanie zjeść trzy wielkie kawałki tortu, lub gdy śmieje się, że on, podczas gdy inni mężczyźni się zapalają, wyjaśnia po prostu: „nie mam w związku z tym nic do powiedzenia”.

Z [życia] społeczeństwa. Cóż przychodzi odpowiedzieć, gdy kobieta opowiada: „Wcześniej chciałam zawsze do Azji, a teraz Afryka podoba mi się bardziej!”?

Zapiski

(17 listopada 1935)

O pojęciu geniusza. Nie powinno się mówić, że ktoś jest geniuszem wyprzedzającym o sto lat swoje czasy. Ludzi bardzo drażniło słuchanie czegoś takiego i podburzało przeciw genialności. Hodowało też szaleńców i ich wspierało. I to nawet nie jest prawdą, a przynajmniej po części nią nie jest; albowiem właśnie osoby genialne przedstawiają ducha swoich czasów, nawet jeśli czynią to wbrew swej woli i wiedzy. Zapewne poprawniej i bardziej wychowawczo byłoby powiedzieć, że przeciętny człowiek pozostaje w tyle sto lat za swoimi czasami.

Czyżby nowy duch? Jeszcze nie tak dawno stwierdzenie to było jedynie hasłem grup artystycznych; dziś buduje dumę wytresowanych mas. Można by tu z powodzeniem powiedzieć: duch pozostaje zawsze taki sam, również w swoich sprzecznościach; wszelako żyjący raz mają go więcej, raz mniej.

Bohater potrzebuje fatalnego losu i nieszczęścia, aby móc się potwierdzić. Opresja i bohater przynależą sobie jak choroba i gorączka.

Mówienie dużo o sobie uchodzi za głupotę. Zakaz ten w osobliwy sposób omijany jest przez ludzkość: w osobie pisarza!

Poprzez wyjątki ludzkość pozwala sobie z największą chęcią na to, czego zazwyczaj zakazuje. I tak na przykład za oznakę złego gustu, jeśli wręcz nie głupoty, uchodzi to, że jakiś człowiek chwali sam siebie; tam wszelako, gdzie ludzie występują powiązani jako masa, partia, wspólnota wiary, naród i tym podobne, chwalą siebie bez cienia wstydu. Chwalą samych siebie, gdy tylko miast „ja” wolno im mówić „my”. Tylko my mamy słuszną wolę, jesteśmy przez Boga oświeceni lub

przez historię pozwani – to jeszcze najmniejsze roszczenia, jakie podnoszą; i uważają to nie tylko za dozwolone, ale i za dobry znak!

Znamienne, że w czasach, gdy się to nasila, pisarza uznaje się za zbędnego lub za słabeusza.

Skala prawdziwie godna uwagi jest następująca: Jest on bystrym człowiekiem – uznaje się za bezwzględną pochwałę. Jest on dobrym człowiekiem – również uznaje się za pochwałę, ale niekiedy z pewnym lekkim ograniczeniem w kierunku: dobry, czyli głupi. Jest on inteligentnym człowiekiem – co znaczy tyle, co pełen rozsądku – uznawane było natomiast już długo przed wynalezieniem „inteligentnej bestii” w niektórych kręgach za to samo, co „podejrzany”. Zobacz na przykład „intelektualistę” i „okcydentalistę”⁴ u Dostojewskiego. Dokonujemy również następujących ocen: lepiej zły niż głupi, ale: lepiej dobry niż inteligentny. Przy czym zauważyć trzeba, że owo najniżej ustawione bycie inteligentnym obejmuje właśnie mądrość. Przypadek ten jest zatem pogmatwany.

Pogodny pisarz: nie chwali sam siebie, lecz chwali Pańską dobroć, która go stworzyła. Jest to jego forma próżności.

Młodość przecenia to, co najnowsze, ponieważ czuje się tegoż równolatką. Dlatego też podwójnym nieszczęściem jest, gdy to, co najnowsze złem jest dla swych czasów.

Powodzenie u publiczności: uznać by należało, że trudniej coś znaczącego poznać, niż gdy jest już raz poznane, oddzielić od niego to, co nieznaczące. Doświadczenie sztuki, a może nawet i doświadczenie powszechne uczy wszelako zawsze czegoś przeciwnego, że daleko łatwiej jest pewną liczbę ludzi zjednoczyć pod egidą czegoś znaczącego, niż powstrzymać ich od tego, by przy pierwszej lepszej okazji zamienili je na coś nieznaczącego.

Pisarstwo stosowane: są nauki „stosowane”, które pod wieloma względami odróżniają się od ich „czystych” odpowiedników leżących u ich podstaw, ale pozostają nadal nauką; i tak mamy jakąś matematykę stosowaną, jakąś psychologię stosowaną oraz nauki techniczne. Mamy też wszelako pisarstwo stosowane, choć nie na tych samych prawach. Do niego zaliczają się wszyscy ci pisarze,

⁴ Zwolennik reform w Rosji mających upodobnić jej ustrój do systemów zachodnich. Okcydentalizm funkcjonował w Rosji w latach 1830–1860, a potem przerodził się w liberalizm.

którzy czują się głosicielami i szerzycielami jakiegoś światopoglądu i porządku światowego, który nie od nich samych pochodzi. Poza nimi, w sposób znacznie od nich głębszy, wszyscy, którzy, oddziałują, znajdują publiczność, dostosowują się do tego teatru lub chcą czegoś podobnego i powołują się na to, że pisarz pisze dla swoich współczesnych i również na nich musi się orientować. Nigdy ich nie brakowało i pozostają w większości. Pełne oddzielenie ich obliczonych na stosowanie wyobrażeń od tego, które jest czystym pisarstwem, ani nie jest tym, czego należałoby sobie życzyć, ani tym, co kiedykolwiek się sprawdziło; jeśli wszelako oni nadają ton, a ta u podstaw leżąca różnica jest ignorowana lub lekceważona, jak to od dawna znów się dzieje, to literatura nieuchronnie podupada.

W *Metafizyce muzyki* mówi Schopenhauer, iż w muzyce dany jest raz jeszcze cały świat. Wszystko da się powiedzieć poprzez muzykę... „jako język zupełnie ogólny, który wyrazistością przewyższa nawet wyrazistość świata naocznego”⁵. Tylko w tym języku obecne jest pełne porozumienie między ludźmi. Gdybyż temu wielkiemu, wyjątkowo optymistycznemu pesymiście dane było doświadczyć kina! Jakże fascynujące byłoby usłyszeć od niego, co on na to, że jego argumenty omyłkowo trafne są również w tym przypadku!

W *kwestii mężczyzn i kobiet*: Nie jest nie do pomyślenia, by mówić o duszy czy też „psychologii” mężczyzny i kobiety, jak gdyby dwie były dusze i psychologie. Naprawdę nie powinno tu raczej być żadnej innej rzeczywiście podstawowej różnicy prócz tej, jaka zachodzi pomiędzy szorstkim i delikatnym ogólnym ukonstytuowaniem; pochodzimy w końcu przecież od zwierząt, u których również samica panuje, choćby w stopniu ograniczonym, nad większością działań samca: dusza zaś pozostaje w harmonii z działaniami. Na tej podstawie można oczywiście też oczekiwać, że wraz z nimi zmienia się i ona, oraz że kobieta więcej musiała uczynić niż ta, którą w udziale ma mężczyzna; a ponieważ dusza nie zmienia się całkowicie i nie w pełni się poddaje, nie należy się właściwie dziwić, że kobieta ma oprócz niej jakąś naturalną i pierwotną psychologię, która później została jej przypisana, chciałoby się wręcz powiedzieć, prawdziwą [psychologię] oprócz swej rzekomej. Gdy na przykład słyszy się kobietę, jak z głębi serca przeklina, działa to odpychająco; czasami jednak może to być poruszająco naturalne, a mianowicie jeśli wie, że nie jest obserwowana i pozostaje sama ze swym stwórcą.

⁵ Arthur Schopenhauer, *Świat jako wola i przedstawienie*, tom I, przełożył Jan Garewicz, seria: Biblioteka Klasyków Filozofii, Warszawa 2012.

KRZYSZTOF LISOWSKI

Na drugim brzegu

Chciałem wierzyć że przyleciały tu specjalnie dla mnie
Żebym nauczył się odróżniać to co widziałem kiedyś
Od świetlistego teraz

Brnąłem w upale przez strome wydmy
Przez splątany przybrzeżny busz zapowiadający bagna
Bo wydało mi się – jak powiada Robinson Jeffers –
Że miałem dawniej blade i kruche kredki

Ale czerwone flamingi
Żerowały po drugiej niedostępnej stronie jeziora
Dwa stada różowych punktów
Dalej domek strażnika rezerwatu
Z lewej trzy wełniste wzgórza
Jedno jak pamiątka po wulkanie

Byłem samotnym łowcą
Musiałem uwierzyć
A potem przyszła burza
żeby szybko zamazać tę chwilę

26 listopada 2021

W środku powieści

działem się w tej powieści
(amerykańskiej) na równi z innymi
biegałem może po ogrodzie blisko oceanu
jak oszalały z niepewności Herzog

ale głównie jeździłem wielkim samochodem
nazywanym tam przez autora
karetovanem

od Południa na Północ
od lodu po gęste i żmudne upały
a czasem odwrotnie
nie nudząc się wcale

od czasu do czasu nad lurowatą kawą
z patrzeniem przez szybę *jak po szosie wiatr przetacza*
kolczasty kłęb

nade wszystko liczył się bezmiar swobody
żadnych z nią wątpliwości ani kłopotu
jak we śnie z soboty na niedzielę
jak w grudniowych śmierciach moich rodziców
do których z tamtych stron i stronic
machałem radośnie

19 grudnia 2021

Wróżenie z sylwestrowego snu

Z huku i ognia wynurza się rok
Albo z ciemności z głupstwa

Możesz jeszcze raz pojechać na stypendium
Mówi Cię

Tam dają za wiersze
Gościń w domu na klifie
Wysokie nad wodami ustawiają światło
Jasny dzień długo w noc biegnący

Ulgę niesłyszalnych rozmów dotyk fal
I pobyt tam potrwa cały wieczny sezon
Już bez potrzeby uczuć
Bez lęku wracania

To taki żołd bez służby
Kieszonkowe bez jakiegokolwiek kieszeni
I żadnych widokówek nie trzeba wysyłać
Żadnych studiów nad przyszłością
Nad jej krótkim terminem przydatności
Nad brzegiem czeskiego morza

31 grudnia 2021

Kartki konwersacyjne

(pewien tłumacz mi o nich przypomniał)

Chorowali na to samo
I kiedy lekarze zabronili im mówić
Zaczęli komunikować się ze światem pisząc na karteczkach

Odtąd mowa nie była wymawiana
Porzuciła dźwięki
Wróciła do znaków

Nie wiem co Kafka napisał wtedy 3 czerwca
Dziewięć lat po nim Kawafis
Odrzucił także litery

Na ostatniej karteczce
Narysował koło a w jego środku kropkę

I wtedy strzała trafiła w sam środek

2 lutego 2022

PIOTR SZEWC

Bławatki bratki

Najpierw cię narcyz potem bez odurzy
Po nich twarz schowasz w piwonii lub róży

Po niebie słońce leniwie się toczy
Garść płatków jabłoń kładzie ci na oczy

W żółtym łubinie czarny żuk i pszczoła
Z krzaka jaśminu słowik dzwońca woła

Jutro w procesji przejdzie Boże Ciało
Bławatki bratki będzie was za mało

2022

Zmyślane pacierze

Pijane pszczoły krążą nad lipami
Gdybym potrafił uniośłbym się z wami

Katedrą z liści letni wiatr obraca
Pod każdym liściem modlitwa i praca

Czas waszym bogiem a wróbel kapłanem
Dzieje królowej na wosku spisane

Wróżby zaklęcia zmyślane pacierze
Gdy je usłyszę to wtedy uwierzę

2022

Oset i kąkol

Oset i kąkol wyjąłem z jęczmienia
Wyjąłem z Biblii a to wiele zmienia

Przed owsem oset przed perłami wieprze
Kąkol czy żyto nie wiem co jest lepsze

Kogut z kąkolu wypił słodki napar
Popatrzył w słońce i po trzykroć zapiał

Napar z kąkolu i łoże ze słomy
Bracie kogucie bądźże pozdrowiony

2022

Listek na listku

Fiołek otworzył oko pod grabiną
Słońce stanęło a obłoki płyną

Kosy w ogrodzie rozmawiają z ciszą
Lilie słuchają ale nic nie słyszą

W trawie wiatr przysiadł i dwa młode koty
Bawią się tyle mają do roboty

Listek na listku a na nitce pająk
Nim zmrok zapadnie stokrotki czuwają

2022

Krecia tajemnica

Krety po ciemku szukają przyczyny
Dlaczego zgorzkniał korzeń koniczyny

Czemu do kopca wrona nocą puka
I jaka z tego dla kretów nauka

Piwo pod trawą warzą grają w karty
Dom czarnych mnichów całą noc otwarty

Dziś paproć kwitnie i w blasku księżyca
Na jaw wychodzi krecia tajemnica

2022

Jeż i sad

Jeż niesie jabłko a na jabłku cały
Sad pełen jabłek zielony i biały

Obłok jak chusta na koronie gruszy
Zawisł i chyba nic go nie poruszy

Cztery gawrony obserwują jeża
Sroki zgadują dokąd z sadem zmierza

Świat stoi w miejscu i w ruchu się zmienia
Z nim przemijają jeży pokolenia

2022

Potomek króla

Wróblu ubogi garści pierza puchu
Jak pory roku zawsze jesteś w ruchu

Rządzisz pod strzechą tron masz na stodole
Widok na drzewa zakręt drogę pole

Wyćwierkać ranek to twoje zadanie
Ziarno pszenicy w nagrodę dostaniesz

Potomku króla kiedy stroszysz pióra
Wiosna przekwita sam już nie wiesz która

2022

Słowik śpiewa

W kociej żrenicy przelatuje słowik
Kot jest leniwy i ptaka nie złowił

Domostwo słowik urządził w krzewinie
Świat chce wyśpiewać zanim sam przeminie

Nocą do chóru zaprosił dwa kosy
O świcie wypił z liścia kroplę rosy

Słucha słowika księżyc ćma i sowa
On jutro zacznie pieśń swoją od nowa

2022



Louis Gurlitt, *Ponad górą i doliną.*

ALFRED KUBIN

w przekładzie Artura Przybysławskiego

O moim przeżywaniu sennym

Życie jest snem! Nic nie wydaje mi się trafniejsze niż owo znane od dawna porównanie! To dziwne, jakby stojące w krańcowej sprzeczności pokrewieństwo obu sfer dziennej i nocnej świadomości okazuje się wciąż powracającym rozpoznaniem, tyleż zaskakującym, co budzącym głębokie zaufanie. Są dla siebie wzajemnie kamieniem probierczym! Że „stwórca” snu i jego „stworzenie”, wytwór senny, łączą się jakoś w identycznym związku, uwidacznia się w stanie śnienia szczególnie wyraźnie. Skądże miałyby się bowiem brać te niezliczone postacie, te zmyślane zdarzenia, te odległe krajobrazy, jeśli nie „z nas”, to znaczy z owej istoty ziemskiej, która siebie bierze – i to jest tu najdziwniejsze – za złączoną z ciałami figur, którymi gra. Przenikanie się wszelkiego mojego odczuwania na jawie, a stąd i moich indywidualnych wrażeń z żywiołem sennym było dla mnie zawsze najsilniejszą pokusą; kiedy coraz więcej wędrowałem sobie po tym odległym obszarze, stawał się [coraz większą] potrzebą. Wiele moich rysunków próbuje uchwycić moje marzenia senne. Po przebudzeniu w pamięci pozostają często jedynie ich ślady; owe szczątki i strzępy są przeto wszystkim, czego można się uchwycić. Sen postrzegamy jako obraz; tak jak on się komponuje, tak i chciałem świadomie jako artysta rysować i znajdowałem wreszcie wielkie zaspokojenie, kiedy decydowałem, by delikatnie wyłaniające się fragmenty tak ze sobą spoić, że tworzyły jakąś całość. Ledwo dające się określić prawidła były dla mojej dniem odmienionej, pogłębionej zmysłowości coraz bardziej wyczuwalne i uchwytne, a w końcu stawały się środkiem przedstawiania.

Jako jeden przykład z wielu pokazuję tu rysunek 4 *Ponad górą i doliną* z cyklu Gurlittowskiego „Mój świat śniony”. Przede mną rozpościera się łańcuch stożkowatych, zuchwałych, skalistych gór, a u ich stóp leży małe jezioro. Wszędzie, dokąd kieruje się uwaga, formują się człekopodobne i zwierzęce istoty. W powietrzu całkiem powoli przeciąga, trzepocząc skrzydłami, jakieś wielkie zwierzę, a w pamięć zapada szczególnie jakiś skamieniały rak. Drewniane wiejskie domy, kościółki i zamki zapadają się i wyłaniają tu i ówdzie. Panuje trwożliwy nastrój

smutku. Nagle łapie mnie niespodziewany lęk, ponieważ za wielokrotnie skręconym starym pniem drzewa dostrzegam ową potężną zakamuflowaną postać, która to w tak wielu moich snach odgrywa jakąś tajemniczą rolę. Jest mi całkowicie obca, a mimo to żywię dla niej nieśmiałe zainteresowanie. Właśnie z chwilą, gdy chcę się w bezpiecznym oddaleniu rozeznaczyć pośród roślin na brzegu jeziora, z głęboko położonego dna doliny dobywają się jakieś stłumione pomruki. W potwornym przerażeniu dostrzegam robacze grupki zakutanych, wojowniczych postaci, które mnie szukają. Ociężałam, jakby sparaliżowany strachem, wtaczam się do łódki i odbijam od brzegu, a jeszcze budząc się, widzę olbrzymią postać za pniem drzewa, która w uniesionym geście wskazuje na mnie.

Śnienie świata wyobrażam sobie jako wszechobejmujące, jako wszechszerzące się i obejmujące jakowyś pojedynczy czyn i cierpienie. Następuje nieopisana duchowa ulewa, nieogarniona i pełna podtekstów. Ujawniają wciąż nowe podobieństwa, jak również magnetyczne przeciwieństwa po stronie snu i jawy. Najważniejsze pozostaje przy tym, aby nie utracić owego pierwotnego uczucia: *wszystko, co daje się przeżyć, przeżywane jest wyłącznie jako coś osobistego*. A zatem wyśniony cud o owym nieumiarkowanym przeładowaniu, który również nawet najbardziej jałowy zwykły dzień wręcz elektryzuje i ładuje swoją ciemną bajkowością. Będziemy się wszelako wystrzegać rozkładania poszczególnych przejawień podług jakowychś interesujących systemów moralnych czy psychologizujących w celu przedarcia się przez ową tajemnicę do ich wyjaśnienia; pozwolimy raczej, by ich prawdziwa, nieugięta siła symboliczna pozostała nietknięta. Bezpośrednią wizję twórczą uważam za znacznie silniejszą i brzemiennej niż jej rozwlekle analiza. Cóż by mi z tego przyszło, gdybym niektóre z wyśnionych obrazów sprowadził do wrażeń z przedszkola, do gór, jeziora, statku, trzciny lub najrozmaitszej maskarady straszylek? Najbardziej osobliwe jest to, że ja w ogóle pogrążony jestem w swego rodzaju prawdziwym śnie, który zmusza mnie, by przyjąć, że ja, istota myśląca będąca dwunożnym ssakiem, człowiekiem zdolnym nieco do rozwoju, zależnym od milionów zewnętrznych rzeczy, zawsze nierozumiejąca i nierozumiana, nie zostałaby przez to w najmniejszym stopniu objaśniona. Nie, z pewnością nie! Moje zmysły winny w znacznie delikatniejszy sposób przyłgnąć do wciąż zmieniającego się potoku postaci i uczuć oraz go przeniknąć. Zapuścić się w tajemne komnaty i na ścieżki snów, dać się w urzeczeniu oczarować zapachom, oddać się temu, czego wymyślić nie można i tegoż spróbować, dać się przerazić i wystraszyć niknącymi odgłosami, a przede wszystkim postawić owe przejawienia przed oczy i patrzeć, patrzeć, patrzeć. Cóż za bogactwo, którego nie

można się napatrzeć! Wziąć by chociaż pierwsze lepsze oblicze człowieka – cóż za cudowność!

Zdziwienia nigdy dość, jeśli do serca wziąć sobie, że wszystkie te nigdy niezapieczętowane skarby żywiołów i trzech królestw¹ są płynnym odbłaskiem jakiejś niepojmowalnej istoty. Odnajduję się i zatracam w jej nienazwanych labiryntach; w obfitej, przekraczającej miarę wymianie ciemna świadomość wślizguje się w jasność i nie do pomyślenia jest dla mnie, że gdzieś mogłaby się kończyć, owa tajemniczo słodka radość z tego czarownie pięknego świata – mojego śnionego świata.

(1922)

Wyzwolenie spod jarzma

Nasz świat uznaję od zawsze za na wskroś upiorny. Jeśli pomiędzy wszystkimi przepoczwarczeniami mógłby być dla mnie jeszcze przytulny, to byłoby to do wytłumaczenia tylko poprzez przecucie źródłowej pewności mego wnętrza. Na powierzchni, w moich myślach, jestem w każdym razie tak długo dręczony lękiem i przerażeniem, aż zaczynam powątpiewać w moją najprawdziwszą, najgłębszą istotę. Nie zapominamy wszak, że w przypadku całego tego upiornego zagrożenia chodzi w gruncie rzeczy tylko o odbicie potwornego, brzemiennego łona wszechrzeczy, które nazywam moją ja-świadomością. Owa szczególna świadomość, która tratuje pozytywną pełną rozumność i rachowanie, jest tym, co poluje na senną formującą istotę i ją zakłóca, a przez to na wszelkie sposoby zrazu wywołuje opór i ból. O ile czuję się pogrążony w ogólnym nurcie, nie mogę zostać unicestwiony. Toteż idzie o to, by właściwie rozumieć znaki, podążać za łagodnym zewem, żyć w skrytości i nie sprzeciwiać się tajemnemu przyciąganiu. Idzie o to, by zrezygnować z całego tak zwanego mądrego samostanowienia, albowiem to nie za jego sprawą przede wszystkim jestem przeżywającym widzem tej potężnej historii, lecz przez mą przynależność do materii świata. Są chwile, związane głównie z przebudzeniem z głębokiego snu, w których wyraźniej niż zwykle narzuca się świadomość tragicznego fatum. Jak zimny, błady pozór spada ona z niczym w świecie nieporównywalną wcześniej siłą odrębnego uświadamiania

¹ Odwołanie do podziału świata przyrody wprowadzonego przez Linneusza na królestwa zwierząt, roślin i minerałów (*regnum animale, regnum vegetabile, regnum lapideum*). (Przyp. tłumacza).

na świtającą grę fantazji, wykręca i fałszuje swoje obrazy oraz przybija im pieczęć trzeźwej konkretnej „rzeczywistości”. Jak szczególnie w swym wyśnieniu wydawał się ten pokój przed chwilą, owe sprzęty domowe, którymi zabawia się dziwny czarodziej, spojrzenie przez okno w mglistą, kuszącą dal – błogo zagubiony dziwuje się jeszcze człowiek – kiedy to wybucha nagle dziesięć tysięcy znanych obaw o nas samych i oto rozpościerają się niczym smugi kurzu na nietkniętych obszarach. Nie pozostaje nic prócz fantastycznego ja w jakimś zwalistym stworzeniu, ale zasmakowane szczęście zanikającej przemiany pozostawia po sobie głęboką tęsknotę, której nie zwalczą żadne zastrzeżenia rozumu.

Może to też przebiegać odwrotnie i nasz najbardziej trzeźwy dzień powszedni pogrąża się w owym sennym przebiegu i rozpuszcza twardość, „jasność myśli” w poczuciu zagubienia. Takie przeżycia, możliwie szybko usuwane przez arogancką samoświadomość, skrywają naszą tajemnicę, wyśmienite pąki naszego postrzegania. Z jego nadmiaru rozwinęło się właśnie, niczym chorobliwa lichwa, owo apodyktyczne ja. Wszystko, co można zrobić, to ów los przejrzeć i odwrócić, odszukać z powrotem zaciszne obszary sennej natury całej naszej pramatki, i bez słowa uniknąć tej obrzydliwej mordy, która wkrótce zwać się będzie współczesną nauką, techniką lub prawodawstwem. Aby naszą wrażliwość w owej przeraźliwej rozterce odciążyć, dobrze jest tego wroga, który tak bardzo chce nas wziąć w posiadanie, odwieść w miarę możliwości od dalszej inwazji. Dziesiątki lat próbowałem się od niego uwolnić przez to, że albo skupiwszy się wewnątrz, pogrążałem się w rzeczach najbardziej niepozornych, albo pozwalałem, by ogarniały mnie rozmyte obrazy wspomnień, aż temu stanowi rozbuchanego zatracenia ów pan i władca kładł szybko kres poprzez swe olśnienie, wszelako nie aż tak szybko, żeby jego niszcząca siła nie była jeszcze boleśnie odczuwana.

Życie myślowe, dobroczynna światłość staje się słabą pozycją człowieka, gdy tylko bez umiaru je wyteża i zmienia je w obrachunki przy pomocy pustych pojęć. Tylko od tego momentu zdoła bezkształtny niszczyciel plądrować niewyczerpaną skarbnicę i rozmieniać ją na drobne dla swego użytku. Nigdy nie powiedzie mu się to całkowicie. Duch owego ja pojedyncze postacie może sobie tylko unaocznąć jako niby magicznie galwanizowane, niczym mechanicznie prowadzony teatr wymusić z nieskończonej przemiany realnej istoty. Temu, co przyprawia o rozpacz, nie dane jest trwale ograniczyć bogatej nieskrępowanej przelewającej się fantazji. Przeważnie tylko w regularnie pulsujących międzyprzestrzeniach ustanawia swoje częściowe panowanie. Dusza odkrywco wyswobadza się ze swego pomiotu, a przejawienia pogrążają się tam, skąd przybyły.

Bezsilność zwycięża przemoc! I od stopnia naszej jedności z wyśnionym światem zależy to, czy drżąc przed maskami śmierci i rozkładu, pozywamy nieśmiertelne ja, czy też głęboko zadowala nas zawierzenie się Całości. W tym przypadku aż po kres towarzyszyć nam będą czarowne i porywające uczucia. Przymuszające działanie ja okazuje się w końcu daremne. Tutaj język zawodzi! Oto rozkołysanie nad otchłanią. Czujemy się z nią spokrewnieni i ze spokojem oraz głębokim szczęściem ducha oddajemy się jej tajemnicy!

(1922)

Wyznanie

Z natury rzeczy wszystko jest fantazją. Artysta jest tylko *jednym* z niezliczonych wypromieniowań boskiej wyobraźni; im bardziej dzieło jego przepęlnia fantazja, tym potężniejsza pozycja, jaką w świecie zajmuje jego imię. Dziś z pewnością nie jest wszelako widoczne, do jakiego stopnia ma to miejsce. Aby to pełniej poznać, trzeba się nie tylko aktywnie, ale i z cierpliwością oraz rozkoszą oddać źródłowej mocy bytowania, co oznacza dać się w pełni przeniknąć głębią osobowej boskiej wyobraźni. Całą zagadkę źródła, całą magię chwili poznaje się w tak mocnym powiązaniu. Uduchownienie narzędzia i materii poddaje się artyście samo przy ufnym w pełni oddaniu żywiołowej sile, która przyzywa go ku bytowaniu. Gdy się nad nią zadumać, na powrót poznawać, beztrako wyłaniają się wtedy dzieła i w ich zwierciadło poławiają sensne oblicza, które ponad wszelką miarę mogą uszczęśliwiać. Tak oto dopełniają się dni jego, który jest twórcą i zarazem to, co stworzył. W zamęcie świata sztuka poświadcza nam cud wewnętrznego powinowactwa z tym, co boskie.

(1924)

JERZY PLUTOWICZ

Powrót tamtędy

Tam-tędy, ścieżką przez wieczne łąki –
przez rozlewiska pamięci. Do źródła,

do studni z mitem żurawia – by ugasić
nieziemskie pragnienie – tuż za

opłotkami czasu przeszłego. Ukochać
rzeczy tego świata. Opędzić się

żdźbłem trującej trawy – przed szarżą
trzmiela; otrzeć z czoła święty pot;

z wyrwy w bruku podnieść pękniętą
oś dzieciństwa. Odczuć na powiekach

powiew tajemnicy; zajrzeć ukradkiem
poza słowo, jako niecierpliwy

Śmiertelnik – po czasie – a jednak
rychło w czas. Ta cisza zagraża

uwięzieniem w światło-obrazie. Ktoś,
lecz nie wiem, nie dowiem się, kto,

kolczastym drutem przywiązał
furtkę – do słupa w centrum bytu.

Na co czekam? Przecież znieruchomiał,
stwardniał próg, wyschła warstewka

farby na drzwiach, na parapecie okna
rozkwitła, rozbłysła roślina poranka.

Czy przestrzec – oznacza – zaprzeczyć
żywiolowi języka? Nie-pospolitego

przecież daru mowy.

Byliśmy

Mali byliśmy. I kartkowaliśmy
księgę opowieści: o inwazji

potworów, o chłopcu do bicia,
o krainie za miedzą. Krąg światła,

jak skrzydło białego orła, jak
krąg na wodzie po upadku z nieba

samotnego anioła. Jak błędne koło
poznania. Podczas gdy świat roślin

trwał w wiecznym śnie – cichuteńko
rdzewiał sierp księżyca wbity we

framugę drzwi, świętej bramy, co
na zewnątrz małego świata. Żaden

Śmiertelnik nie zapobiegł, nie
zapobiegnie przemianie martwej

materii – w żywą, delikatną
roślinę zdania.

Nocna wizyta

Światło – jako wysłannik piekła,
widzi cię, obserwuje, podgląda.

Duch, albo duszyczka dziecka –
mamrocze zaklęcia nad płomieniem

świecy. Metronom przed lustrem,
wachlarz, talia kart, pierścień,

zimny pot, korytarz bez klamek
u drzwi, korytarz wstrząsów,

dom bez ścian. Przedzierasza się
ku granicy przestrzeni. Rana

samotności jest losem, bytem
Śmiertelnika – który zmylił drogę.

Przechylił się w biegu nad ostrzem
teraźniejszości, by zaczerpnąć

z źródła pamięci haust wody
wszech-życia. Dźwięk dzwonka

u drzwi, jak gdyby zakwitła,
rozgałęziła się rzeczy-wistość.

ZBIGNIEW DMITROCA

Sielanka

Ilekcć myśli o swojej rodzinie
czuje się niemal wybrańcem losu

Żadnych tragedii gwałtownych śmierci utrat mienia

Bo jak ironicznie pytał rosyjski poeta
jakiż to majątek mają wróble

Dziadek nie zginął od japońskiej kuli
ojciec i stryj od hitlerowskiej
a żaden wuj od bratobójczej

Żadnych wysiedleń zsyłek ni obozów
w kraju leżącym na szlaku
pielgrzymek wrogich armii

Rodzili się żyli i umierali
czasem stawiali domy i sadzili drzewa
i całe życie ciężko pracowali
dorabiając się jedynie potomstwa

Żadnych godności
I tytułów do chwały
ale i żadnych powodów do hańby

Jednym słowem sielanka –
nie mąci jej nawet
wyparty z pamięci gwałt na jednej z babć

Jak na kilka pokoleń
to nieomal cud

Przy okazji

Przy okazji pierwszej dawki szczepionki
dowiedział się że ma nadciśnienie
mogące znienacka zabić tak samo jak covid

Przy okazji badania krwi
okazało się że ma za wysoki cukier
lekarz zalecił zmianę diety i ruch

Skwapliwie skorzystał z okazji
i po półtorarocznym ukrzesłowieniu
oderwał się od siedziska

Przy okazji wyjścia w przestrzeń
odkrył wiele nowych dróg
dosłownie i w przenośni

Przy okazji wyszczupłał
i ponownie zaczął pisać wiersze

Tyle dobrych rzeczy
zdarzyło się przy okazji
pandemii

Wyznanie wiary

Wierzę w wenę
która przychodzi
niespodziewanie
nie wiadomo skąd
i kojarzy niewiadome
z nieznanym

Wierzę w tchnienie
które nicości
nadaje kształt
wiersza
i niżę słowa

na niewidzialną
nić sensu

Sensie nasz
któryś jest
święć się
imię twoje

Istnienia swego
powszedniego
daj nam wyraz
teraz i na wieki

Perspektywa skrzypów

Nigdy nie widziałem
ich tylu co tutaj
całe gaje
nieprzebyta gęstwa
jak w jurze

Z tą różnicą
że teraz byle trawka
patrzy na nie z góry
a osty i pokrzywy
to przy nich olbrzymy

Trzebione przez człowieka na polach
znajdują ratunek na miedzach
w rowach i pasmach przydrożnych
wszędzie gdzie nie sięga
motyka kosa i oprysk

Z ich perspektywy człowiek
niewart szczególnej uwagi
nie takich mocarzy przetrwały
w milionoletnim istnieniu

ERYK OSTROWSKI

Słowik Szancera

Śmierć jest wszędzie
w każdej wiadomości
i w każdym zwierzeniu
Przybiera obrazy pozorne
niby warte wszystkiego
nawet poświęcenia
są nie do uwierzenia
choć istnieje
istnieje jak nic
bez wątpienia
najbardziej
wszędzie i w każdym
ale jak w nią uwierzyć
skoro ci co na jej krawędzi
najgłośniej zaprzeczają
i najpiękniej nie konają
jak słowik Szancera
w andersenowskiej baśni

Wtedy udało nam się zanim

Przeżyliśmy razem dziesięć lat
Mamy powyżej czterdziestki
Jeśli czeka nas przyszłość
to nie dłuższa niż trzy dziesięciolecia

Krótko będziemy
warto przemyśleć
Żyjemy chyba
tu gdzie jest teraz

Nie w planach
podróżach
Nie w jakimś
Jutrze

Może zatrzymać się
to doczekać
danej chwili

– jak tamta wrona
na środku szosy

Czy zdąży się
dobięgnąć zanim

Czekała na nas
między autami
całe życie
do uratowania

Wtedy udało nam się zanim

ADAM GÓRSKI

posłuchaj tego zdania:
pierwszy raz czuję jak bije czyjeś serce,
i otwierają się
nadane nam imiona
(takie jak drzewo wiatr),
a miliony kilometrów stąd jest powietrze
którym oddycham,
niech więc kwitnie kwiat
który przywiera tak silnie do ziemi
a pomnożone światła
szkła w korytarzu
głosy dzieci w kuli metra plakaty
brudne lustra
niech odrywają się
od twojej ręki;
na dnie ściśniętych oczu
na dziedzińcu szpitala
obok drzewa wiadomości
śpi kropka
żółtego piasku
(zamarznęte słowo
bez śpiewu traw
w twoich włosach);
posłuchaj tego zdania
pierwszy raz czuję
jak bije czyjeś serce.

myślimy
głodnymi sekundami
od świętego miasta
w którym rośliny mózgu
rozpoznają wreszcie śpiew
powietrza,
urojeniem
zdjęć świętego miasta które podnosisz
kiedy chcę cię dotknąć
zmieniając
śniący sekundy mózg
w świątynię ustanowionych rzeczy
bez lęku

światła na urojonych ścianach, ich ostrość dotyka słowa woda pokój dom
ogród i ciało one nie widzą że są czymś innym, kryształem pierwszych słów sły-
szanym we wszystkich światach i światłach w których jest ta woda ta trawa za-
pach który czują leżący trzymając się za ręce patrząc przez oszklone drzwi wypo-
wiadając widok i zapominając go



NAGRODA SAMUEŁA BOGUMIŁA LINDEGO

Laureatkami dwudziestej szóstej edycji Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego zostały: Joanna Bator i Terezia Mora.

Nagroda Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego jest jedyną polsko-niemiecką nagrodą literacką przyznaną w szerokiej formule poetom, pisarzom, dramaturgom, krytykom, publicystom i tłumaczom, „których słowo tworzy ideały i wartości, łącząc ludzi, społeczeństwa i narody we wspólnej rozmowie” – to sformułowanie wpisane jest do dyplomów jako preambuła.

Pierwszymi laureatami tej nagrody zostali w 1996 roku Wisława Szymborska i Günter Grass, a w kolejnych latach m.in. Zbigniew Herbert i Karl Dedecius, Tadeusz Różewicz i Siegfried Lenz, Ryszard Kapuściński i Christa Wolf, Hanna Krall i Marcel Reich-Ranicki, Jan Józef Szczepański i Henryk Bereska, Sławomir Mrożek i Tankred Dorst, Adam Zagajewski i Durs Grünbein, Wiesław Myśliwski i Herta Müller, Stefan Chwin i Marie-Luise Scherer, Kazimierz Brakoniecki i Jan Wagner.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąż (7)

Starsza pani w księgarni:
„Ileż tu ciekawych książek.
Można się rozwijać, ale ja się zwijam”

2002

Peter Sloterdijk: „Nowa lewica będzie nietzscheańska albo jej nie będzie. Oto mój punkt wyjścia. Powinna zadać sobie pytanie, czy możliwe jest uzyskanie ogólnego wyzwolenia, uwzględnienie udziału mas w dobrodziejstwie wolności, nie wchodząc w czarny pakt z polityką resentymentu. To dla mnie kluczowe pytanie [...]. Prawdopodobnie resentment dzierżył władzę w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Im więcej resentmentu jest u władzy, tym bardziej polityka zbliża się do bieguna faszystowskiego [...]. Kiedy czysty resentment realizuje się w pełni, rozpętuje burzę i »eksterminację«. Trzeba pozbyć się uczucia zemsty [...]. Trzeba wykreować więź między lewicą a duchem przedsiębiorczości, pokusić się o ideę lewicy kapitalistycznej. Pracownicy i pracodawcy powinni zjednoczyć się przeciwko kapitalizmowi loterii”.

Klemens Wojciechowski: „Dziś wszyscy winniśmy poczuć się plebejuszami i jako plebejusze dorastać razem do obywatelstwa. Tylko polski myślący plebejusz może uporać się ze strasznym polskim parweniusem. Nie inteligencka

pogarda dla parweniusza, ale plebejski zdrowy rozsądek ma budować polską kulturę polityczną”.

Anna Radziwiłł: „Poczucie sensu życia jest możliwe bez metafizyki, ale nie możliwe bez etyki [...]. Być może drogą do osiągnięcia przekonania o sensie życia jest zdanie sobie sprawy z prawdziwości własnego istnienia. Mówiąc paradoksalnie: uwierzenie we własne istnienie. Ja istnieję, jestem i jest świat wokół mnie – właśnie jest i to nie wirtualnie, lecz naprawdę, czasami niezupełnie dociera do nas rzeczywiste bycie mnie samego i innych ludzi. Czasem mamy poczucie, że dzieli nas od nich rodzaj przesłony”.

Herder: „Wasze prochy wiatr rozwiął, wasze kości zgniły, lecz historia popełnionej na was zbrodni pozostanie na wieki oskarżycielką obrażonego w was człowieczeństwa” (*Myśli o filozofii dziejów*, 1792).

Karl Löwith o Heideggerze: „Nigdy nie wiadano, kiedy go słuchano, czy trzeba właśnie biec, aby zapisać się do SA, czy aby ponownie zebrać się za czytanie presokratyków”.

Goethe: „Odczuwałem dość często gorzki ból, myśląc o narodzie niemieckim, który godny jest podziwu, gdy patrzy się na pojedynczych ludzi i jakże nędzny jako całość”.

Otto Gmelin: „Okolica staje się krajobrazem w tej mierze, w jakiej utworzy logiczną całość z charakterystycznymi cechami krajobrazu. Ale wydarzyć się to może tylko w przypadku, gdy staje się doznaniem duszy ludzkiej, jeżeli dusza uzna rytm przyrody za rytm własny [...]. Dla każdego ludu i dla każdej rasy okolica staje się w ten sposób ich własnym krajobrazem” (*Krajobraz i dusza*, 1925).

Heimat, Volk... oraz poetyckie zamieszkiwanie ziemi... (Hölderlin, Herder, Fichte, Heidegger, ale i faszyzm: *Volksgeist*).

Goethe: Gott sive natur: Bóg to inaczej Przyroda/Natura.

Jednakże Kant odrzucał irracjonalizm (antyświęceniowy) Herdera, a Isaiah Berlin twierdził, że Herder był twórcą „nieagresywnego nacjonalizmu”, mimo że wymyślił ideę przynależności (wspólnota, zakorzenienie, naród).

Teraz wypada odczarować naród, kulturę narodową, ojczyznę, nie odrzucając poczucia tożsamości i wspólnoty, lecz przekierowując te ważne i elementarne uczucia w potrzebę uznania różnic, pluralizmu, współbywania (koegzystencji) pokojowego, za pomocą np. uniwersalnej empatii do jednej zagrożonej Ludzkości i Planety (ekologia, apokaliptyczne zmiany klimatyczne, poczucie najwyższej utraty). Mrzonka.

E. Renan: „Wszystko jest możliwe. Nawet Bóg”.

J. Scutenaire: „Nawet nie wierzę, że Boga nie ma”.

E.R. Curtius: „Rzym reprezentuje prawo i porządek, Grecja natomiast ducha gnozy albo sofistykę, albo mit. Platon jest jeszcze bardzo bliski misteriów”.

Kiedy Bóg jest, wszystko jest dozwolone.

Francuski filozof współczesny A. Comte-Sponville: „Świat po prostu jest realny, a nie bezsensowny czy absurdalny”.

A. Comte-Sponville: „Rzeczywiście, trzeba wyróżnić dwa »tak«: jest tak afirmatywne i jest tak religijne. Stoik mówi tak wszystkiemu ponieważ wszystko jest dobre, świat przecież jest Bogiem. Chrześcijanin mówi »tak« opatrności, czyli Bogu, który wszystko stworzył. Jest ponadto »tak« epikurejczyków, Spinozy, jest afirmatywne »tak« Nietzschego, które stoi na antypodach »tak« stoicyzmu. Nietzsche mówi »tak« wszystkiemu nie dlatego, że wszystko jest dobre – on w to w ogóle nie wierzy, dla niego istotą bytu jest wola ślepej i okrutnej mocy, którą nazywa chaosem – ale dlatego, że to, co jest Jest, po prostu się wydarza. Chodzi o filozofię tragiczną”. Czyli cierpienie i radość należą do naszej rzeczywistości, nie musimy jednak się bezapelacyjnie godzić, mamy prawo do buntu.

Hui Neng (Chiny, VII w.): „Jeżeli nie znajdziesz schronienia w sobie samym, nie znajdziesz go nigdzie”.

Moja „ulubiona” Ewangelia Tomasza: „Gdy pozwolicie powstać tamtemu, co jest w was, wtedy to, co macie, uratuje was. Jeżeli nie istnieje tamto, co jest w was, wtedy to, czego nie macie w sobie, uśmierci was. Pełnia wyszła ze mnie i pełnia doszła do mnie. Rozłupcie drzewo, ja tam jestem. Podnieście kamień, a znajdziecie mnie tam. Kto poznał świat, znalazł ciało, kto znalazł zaś ciało, tego świat nie jest wart”.

2003

Maksym Gorki: „Czy Bóg istnieje? Jeśli w niego wierzysz, istnieje. Jeśli nie wierzysz, nie istnieje”.

George Bidwell, angielski pisarz mieszkający po II wojnie światowej w Polsce, (*Pół wieku literatury angielskiej*, Kraków 1957): „Orwell sam był liberalnym mieszczaninem. Jego ostatnie dwie książki (*Folwark zwierzęcy*, *Rok 1984*), typowe produkty faszyzmu, są odbiciem jego ekskluzywnego wykształcenia, jego służby w brytyjskiej policji kryminalnej, jego życia w dawnych warunkach społecznych”.

„Nie można pominąć mistrzowskiego stylu i formy poetyckiej Eliota, ale nie można również przymykać oczu na jego jawny antysemityzm, faworyzowanie faszyzmu, pogardę dla nędzy, ułomność serca niezdolnego do miłości i współczucia”.

Anthony de Mello: „Osoba w pełni życia, jest osobą pełną śmierci”.

Stephen Schwartz: „Powtarzanie przez Zachód, że islam potrzebuje reformy to wielka pomyłka. Islam nie potrzebuje reformy, ale [...] potrzebuje kontrreformacji. Katolicy sami sobie to kiedyś zrobili”.

Anonimowy mistyk uzbecki (XIII wiek): „Nie jestem ani z tego, ani z tamtego świata”.

Simone Weil: „Prawda jest po stronie śmierci”.

Żyłem w cieniu tej prawdy przez wiele lat, zanim udało mi się „przewartościować” tę genialną, zafascynowaną cierpieniem, Weil.

Franz Kafka: „Prawda jest bólem fizycznym”. Bezwzględnie, patrz Wisława Szymborska: tyle wiemy o sobie, na ile nas sprawdzono.

Józef Tischner: „Bóg objawia się w sumieniu. Inaczej byłby Diabłem”.

John Gray: „Postęp i masowy mord idą ręką w rękę”.

Poeta i pisarz bretoński Armand Robin: „Wszystko jest wolnością, wszystko jest tymczasowe – powiedział Jezus i otworzył niebo”.

Poeta żydowsko-francusko-bretoński Max Jacob: „Nie pomniejszaj się, a powiększaj: jesteś u siebie”. Okazało się, że nie był u siebie: policja francuska zabrała go jako Żyda do obozu przejściowego w Drancy koło Paryża: zmarł w opuszczeniu w przededniu wywózki do Auschwitz.

Filozof Kostas Axelos: „Cały świat jest wielkim pytaniem. Świat nie należy do nikogo. Jeżeli człowiek stwarza swoich bogów, to ci bogowie stwarzają człowieka (myślącego)”. Ten opiewał zasadę metafizyczno-kosmiczną TO; ciekawe czy Miłosz czytał jego dzieła pisane po francusku (patrz tom wierszy *To*). Ale niekoniecznie; Jaspers też opisywał podobnie Nieobjęte.

Michel Onfray: „Lepiej być niedoskonałym mędrcom, niż nieudanym świętym”.

Zapomniany poeta i eseista francuski z Bretanii Georges Perros:

„Gdyby Jezus Chrystus pisał, na pewno by pisał jak Franz Kafka”.

„Poezja jest wszędzie. Wszędzie poza językiem”.

„Poeta to ktoś, kto godzi się być niewolnikiem, uważającym na to, co go przekracza”.

„Zrymować Heideggera – to nic oryginalnego”.

„Jestem pewien, że Bóg istnieje. Co do wiary w niego, to już zupełnie inna sprawa”.

„Pisanie jest aktem religijnym poza jakąkolwiek religią”.

Wyznania patrycjusza Sandora Máraiego zawiodły mnie, rozczarowały, pomimo wielu pięknych opisów (szczególnie z dzieciństwa). Denerwował mnie rys karykaturalnie „wielkopański”, który na szczęście dla niego jako pisarza skończył się nieodwołalnie w 1945 lub tuż po, kiedy Armia Czerwona zajęła faszystowskie Węgry. Albo dopiero wtedy, kiedy wyemigrował z ojczyzny (Włochy, USA), co szalenie pogłębiło jego stosunek do świata i samego siebie (i zdramatyzowało). Skończyło się udawanie neurotycznego i hedonistycznego literata „wielkopańskiego mieszczaństwa”, a zaczął się dramat wygnańca, egzystencjalisty, moralisty.

Zabrałem się zaraz za jego wydane po francusku *Mémoires de Hongrie* (1972). Rok 1945 i kolejne trzy to próba zrozumienia wkraczających Rosjan/Sowietów, upadek państwa węgierskiego, okupacja, rosnący terror komunistyczny. Márai milczy jako publicysta, a publikowane powieści są miażdżone, co go zdumiewa, gdyż okazuje się, że krytyka faszyzmu jest niemiłe widziana; omawiane powieści mają wymowę „uniwersalnie antytotalitarną”, co zagraża nowemu reżimowi (np. krytyka Lukácsa). Zapisuje codzienne węgierskie życie po powojennej klęsce, opłakuje humanizm, oskarża Zachód o zdradę łańskiejskiego Wschodu, w końcu emigruje: dostaje paszport, bo komunistyczna władza chce się go pozbyć jako niewygodnego pisarza burżuazyjnego. Notuje: „Moją ojczyzną jest język”.

We wspomnieniach z młodości podróże były doświadczeniami edukacyjnymi, wyprawami inicjacyjnymi, nawet jeśli nieudanymi pod pewnymi aspektami. Młody Márai nie był wykorzeniony, chociaż przeczuwał – stąd rodząca się neuroza – że traci stopniowo swoją tożsamość „poziomą”. Jednak siła młodości oraz podążanie za porywami przyszłości w ostatecznym rachunku wygrywały. Równorzędna gra ze ślepym życiem, nawet kiedy Koszyce przypadły Czechosłowacji. Narodziny pisarskiego fachu, łatwe pisanie, godziwy zarobek, prestiż z tym związany – to się zaczęło mocno liczyć w jego biografii.

Powojenne lata to zbieranie doświadczeń egzystencjalno-eschatologicznych. Jest przed pięćdziesiątką. Klęska Węgier, które w 1922 roku zostały bezwzględnie potraktowane przez Zachód (okrojenie ojczyzny), a teraz kolejny upadek. Historia dotyka go namacalnie i jest osobiście przeżywana jako fatum. W tużpowojennych zapiskach tkwi mroczne poczucie skomplikowanej wyższości z tego powodu nad zgniłym Zachodem. Późne zapiski, a osobliwie te z emigracji, są dowodem wielkiego kunsztu pisarskiego i głębokiej introspekcji. Różnią się zdecydowanie od tych z młodości klasą spostrzeżeń, skalą świadomości i refleksją. Márai przestał nosić maskę „modnego literata” (węgierskiego Manna).

Jest bardziej przekonujący i wiarygodny, więcej w tych notatkach żarliwości, uczucia, pokory, cierpienia. Nad estetyzującym literatem góruje łaknący prawdy Człowiek.

Z tego co wiem, Márai w epoce faszyzujących Węgier przedwojennych był pisarzem wziętym i uznanym. Chciał podobno być tylko i aż dobrym/wybitnym pisarzem. Dobry pisarz to pisarz wolny: ani tendencyjny, ani zniewolony (przez ideologię czy rynek). Utalentowany pisarz mieszczański z konieczności „osobistych i dziejowych” staje się obrońcą godności człowieka-pisarza, co sugestywnie i wnikliwie obserwujemy we wspomnieniach. Ciekawi mnie jednak jego życie i wyznawane poglądy w okresie faszystowskim. Zdaje się, że nacjonalizm mu nie przeszkadzał, miło się mu żyło w pięknej stolicy: basen, masaż, auto, redakcja, kochanki. Nie rozumiał i nie cenił pisarstwa Kafki. Ubóstwiał Prousta. Podejrzliwie przyglądał się literaturze zaangażowanej (np. tej francuskiej z lat trzydziestych). Sporo miał racji, jednak estetyzowanie tego typu mnie wkurza. Ale muszę przyznać, że to właśnie rozmiłowanie w powołaniu pisarskim Máraiego doprowadziło go pod ciężarem Historii (a raczej wymusiło na nim) do zmiany postawy: stał się pisarzem losu tragicznego. Ale nie stał się mimo wszystko pisarzem na miarę Manna czy Musila.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2022 (2)

Poniedziałek, godz. 9.44. Nocne schodzenie do piwnicy dzieciństwa

Oni idą ku Światłości. Niech sobie idą. Mnie to nie dotyczy. Szukam Cienia, który przysłoni mi powieki. Oni idą Drogą. Ja siadam przy Drodze. Na skraju. Z kamykiem w palcach. Patrzę. Widzę, jak przechodzą. Droga jest dla nich. Nie dla mnie. Daj im, Boże, zdrowie, niech idą. Może dojdą. Ale mnie niech zostawią w spokoju. Tutaj. Na skraju Drogi. Z kamykiem w palcach.

Żadnej radości na myśl o Światłości. Prowadzono mnie tam i kazano klęczeć przed mężczyzną z raną w boku. – Masz go kochać – pohukiwał człowiek w czarnej sukni. Zmuszałem się, by kochać, lecz chociaż mocno chciałem kochać, nie kochałem. Jak kochać kogoś, kto chce, żebym rozmawiał z nim na kolanach?

Zapewniano, że radość czeka mnie ogromna. Oko nie widziało, ucho nie słyszało. Myśląc o tej radości, nie czułem żadnej radości. Więc to ma być

radość – pytałem – wpatrywać się w Światło bez końca? Ach, niech się wreszcie stanie ciemność. Radosna ulga dla oczu, zamkniętych na zawsze.

Niepokalane poczęcie? Więc moja matka była pokalana, bo mnie spłodziła z człowiekiem? Cóż to są za ludzie, w których głowach zrodziła się taka myśl.

Ich obraźliwa litość. Grożą: – Kto kroczy ku nicości, stanie się nicością. Oni nie staną się nicością, bo kroczą ku Światłości. Natarczywa chęć pociągnięcia za sobą. Nie mogą bez tego żyć. Pycha wiedzących. Musimy ci uratować, bracie zbłąkany, więc naprostujemy ci ścieżkę jak rękę wybitą ze stawu. Obietnica musi przyciągać. Wabić. Zachwycać. Dlaczego mnie nie przyciągnęła, nie przywabiła, nie zachwycała?

Jakaż to radość być ze Światłością na wieki! Tak oni mówią. Radość? Rozkosz? Ale jaka? Bez końca radować się byciem ze Światłością, która spaliła żywcem kilkudziesięciu gejów w mieście Sodoma?

Nieustanne zdziwienie. Że jednak się udało jakimś cudem, chociaż wcale nie musiało się udać. Ilu to już pomarło w wodzie, ogniu i powietrzu. Miliardy kości. Pokruszonych, rozmiękłych, złamanych. Pajęczyny, próchno, czarnoziem. Splątane korzenie. Gigantyczny, żyzny kompost, na którym rozrasta się świeża trawa. A tu ja – na przekór wszystkiemu. Żywy. Jak rak w mulistej rzece. Nieobecność jest piękniejsza niż cokolwiek?

Jeśli Światłość rzeczywiście chce, żeby ją chwalić, niewarta jest chwały. Prawdziwa Moc nie potrzebuje śpiewów i zgiętych kolan. Cieszy się życiem równoległym, które nie jest ani powyżej, ani poniżej. Dlaczego oni robią wszystko, by Go przesłonić swoimi wersetami? Jeśli On jest, na pewno jest inny niż mówią. Nie mieści się w żadnym piśmie. Jest spokojny, przyjazny i obojętny na wszelkie opowieści, które chcą Go złowić w siatkę słów.

Ma przede wszystkim kłopot ze sobą.

Jest zupełnie sam.

Jeśli jest wszechwiedzący i zna przyszłość, nie miał żadnych wątpliwości, że obudzi się dokładnie po trzech dniach. Więc umierał bez lęku i trwogi, wiedząc, że czeka Go tylko krótki pobyt w grobie? Żadnego strachu? Żadnego drżenia? Tylko pewność, że to tylko chwilowa, krótka przerwa w podróży? Trzy dni, trzy noce – wstaje, rozprostowuje kości, siada na krawędzi grobu, zgarnia białą szatę rozgrzewającymi się w porannym słońcu palcami, po czym wznosi się ku obłokom, gdzie czeka na niego wygodne miejsce, pełne światła i wszystkiego, co najlepsze. A my? Umierając, dzwonimy zębami, nawet jeśli nam mówią, że nie pożałujemy. Nie wiemy, nic. Tylko oczy pełne ciemności. Popiół na dnie źrenic.

Wieczna wina, że sprowadziłem ich na świat. Jak spłacić coś, co nie do spłacenia? Czy mi wybaczą? Niewybaczalne wisi nade mną jak słońce otwarte uderzeniem miecza.

Niepojęte. Być tak głęboko zagnieżdżony w braku sensu i odczuwać szczęście bez powodu. Sens nie jest nam potrzebny do niczego. Jego niedostatek jest mocno przereklamowany. Doskonale obywamy się bez niego. To tylko handlarze, którzy żyją ze sprzedaży sensu, wmawiają nam, że żyć bez niego się nie da. I straszą nas: jeśli nie uwierzysz w to, w co my wierzymy, przepadniesz. Szczęście nie potrzebuje żadnego dokarmiania słowami. A już najmniej sycenia podejrzaną nadzieją. Jest mocne, samowystarczalne, zjawia się jak letni deszcz. Słońce w jarzębinach nie zamierza przekonywać nikogo do swoich racji, chociaż ma mocne argumenty, bo bez trudu potrafi spalić nawet sosnowy las. Mrówka na żdźble trawy kołysz się jak most nad przepaścią. Kobieta, która kocha, dotyka włosów. Nic więcej? Nic.

Lęk przed bólem, który udaje, że jest nadzieją na zbawienie. Szczęście bezbolesności w wiecznej Światłości? Żałosna nadzieja. Strach przed wojną, ciemnością, ranami i głodem. Ci, którzy nadchodzą, niosą ze sobą poniżenie. Żeby żyć, trzeba klęczeć – przed nimi, albo przed innymi. Tego wymagają dzieci, które wcale nie pchają się na ten świat, chociaż jeszcze nie wiedzą, co je tutaj czeka. Przetrwać. Przetrwać jak najdłużej. W bezbolesności. Zpełnej, Czystej. Do końca. Jak najdłużej oddychać. Chwytać powietrze uchylonymi ustami. Dzień i noc łykać światło. Chłonać je. Oszukiwać się namiennie, że chodzi o coś zupełnie innego.

Podstawowe doświadczenie – bezsilności. Nie zatrzymasz tego, co nadchodzi. To się zbliża. Próbujesz budować zapory. Wznosisz mury. Zamykasz wrota na żelazną sztabę. A to i tak nadchodzi. Jest tuż pod oknami. Nie słyszysz kroków, nie słyszysz głosów, nie słyszysz grzmotów, ale to już jest. Nie spieszy się. Ma czas. – Gromadźcie zapasy – woła strach, który wie dużo więcej niż my. – Zabraknie wody, ognia i prądu. Będziecie żyć w ciemności. Na gruzach i pod gruzami. Ocali was tylko przypadek. Nic więcej.

Sens życia? Spłacać, wiecznie spłacać to, co nie do spłacenia.

Wtorek, godz. 15.41. Patriarcha Cyryl chce powtórzenia Cudu nad Augustowem, czyli rozmowa z księdzem Dawidem

Dzisiaj na ulicy Rakoczego spotkaliśmy księdza Dawida S. I od razu rozmowa, miła, burzliwa, bośmy się dawno nie widzieli. Pięknie! Ksiądz Dawid mocno oburzony, że patriarcha cerkwi moskiewskiej Cyryl wczoraj w moskiewskim Soborze

Chrystusa Zbawiciela uroczyście wręczył rosyjskiemu generałowi Zołotow ikonę Matki Boskiej Augustowskiej na znak, że popiera armię rosyjską w walce z Ukrainą.

Ikona już raz dokonała cudu w 1914 roku, kiedy to rosyjskim żołnierzom podczas bitwy z Niemcami ukazała się nad Augustowem Panienska Przenajświętsza i pomogła im zwyciężyć. Teraz – jak chce tego patriarcha Cyryl – cud ma się powtórzyć raz jeszcze i dlatego patriarcha Cyryl uroczyście wręczył ikonę generałowi Zołotow, żeby Panienska Przenajświętsza pomogła Rosji skutecznie napaść na Kijów. – Jak można robić takie rzeczy! – ksiądz Dawid nie może dojść do siebie z oburzenia. – To przecież skandal! Jak można! – Ale, ojcze Dawidzie – uspokajamy go. – Czy to jednak nie to samo? Tak jak myśmy modlili się do Najświętszej Panienski w 1920 roku o Cud nad Wisłą, tak oni teraz modlą się do Najświętszej Panienski o Cud nad Augustowem – Na co on się obrusza, machając rękami. – No, nie, nie, to nie to samo, tak nie można mówić, bo... – I nie wiedzieć czemu, nie dopowiada tego, co chciałby nam jeszcze dopowiedzieć. – Jak to nie to samo? – dziwimy się. – W 1920 roku Matka Boska ukazała się nad Wisłą i pomogła żołnierzom polskim zwyciężyć, a wcześniej, w 1914 roku, pokazała się żołnierzom rosyjskim nad Augustowem i też pomogła im zwyciężyć. Wygląda więc na to, że ona raz pomaga Ruskim, a raz Polakom, prawda? – Ksiądz Dawid, słuchając tego, co mówimy, wygląda na dotkniętego. – Tak nie można mówić – karci nas uprzejmie. – Patriarcha moskiewski twierdzi, że wojna Rosji z Ukrainą to jest wielka wojna dobra ze złem. I że armia rosyjska stoi po stronie dobra. Ale przecież ta armia robi takie straszne rzeczy na Ukrainie! Kto to widział? Przecież to Ukraina i Zachód stoją po stronie dobra.

Patrzymy uważnie na księdza Dawida. Zaraz, zaraz, czy my się czasem nie przesłyszeliśmy? – Ojcze Dawidzie – mówimy. – To zdaniem ojca Zachód stoi po stronie dobra? Tak? Przecież od dawna nasi polscy księża nauczają nas, że Zachód to jest cywilizacja śmierci, prawda? To jakże ta cywilizacja śmierci może być po stronie dobra? – To nie tak, moi drodzy – ksiądz Dawid znowu kręci głowę, trochę już zniecierpliwiony naszymi uwagami. – Teraz Zachód broni dobra, broni wolności... broni dobra... – powtarza stanowczo. – Dobra? Ale jakiego dobra? I jakiej wolności, proszę księdza? – zatrzymujemy się przed sklepem Maxa i Xaviera – Przecież wy, księża, od lat powtarzacie, że Zachód to jest cywilizacja śmierci, tęczowa zaraza, homoseksualizm, eutanazja i aborcja. Dokładnie zresztą to samo o Zachodzie mówi Putin. On ciągle powtarza, że musi bronić Rosji przed zgnilizną Zachodu, tak jak wy powtarzacie ciągle, że trzeba bronić Polski przed zgnilizną Zachodu. To jak to jest? Przed wybuchem wojny ukraińskiej, mówiliście, że Zachód jest zły, a teraz mówicie, że jest dobry. Więc co się takiego stało? Teraz się

wam coś przestawiło? Ale co się przestawiło i dlaczego? Niech nam ksiądz powie – to Zachód jest, zdaniem księdza, zgnilizną, czy nie jest? I czy my, Polacy, stoimy po stronie dobra czy zgnilizny?

Światła na pasach zmieniają się, stadko gołębi zrywa się z pobliskiej latarni, pod którą przechodzimy, stukają nasze kroki na betonowym chodniku, jezdnia asfaltowa ulicy Rakoczego jest mokra po deszczu, a ksiądz Dawid dodaje do tego z oburzeniem, że polskie feministki głośno domagają się, żeby Ukrainki, które uciekły z Ukrainy, miały w Polsce prawo do legalnej aborcji w publicznych szpitalach, bo takie prawo mają w pełni zagwarantowane na Ukrainie. – One domagają się – na Boga! – ksiądz Dawid załamuje ręce – żeby te biedne kobiety miały prawo do zabijania w Polsce własnych dzieci! I to kiedy! Podczas wojny! U nas, w Polsce! Co za upadek! Co za upadek! – powtarza z zafrasowaniem. – Zaraz, zaraz – powstrzymujemy księdza Dawida w pół kroku. – To znaczy, że Ukraina, która gwarantuje kobietom prawo do aborcji, to jest cywilizacja śmierci? – Ksiądz Dawid jest wyraźnie na nas rozgniewany, słysząc takie pytanie. – No, nie można tak mówić – karci nas swoim groźnym spojrzeniem spod nastroszonych brwi. – bo oni teraz mają wielką tragedię u siebie. – Tragedię? – dziwimy się. – To jak to jest właściwie, niech ksiądz nam objaśni? Podobno Putin od dawna stanowczo walczy z aborcją. Co niedzielę modli się w cerkwi do Pana Jezusa i przyjmuje Komunię świętą. Wprowadził też naukę religii do rosyjskich szkół. I bardzo dba o religijne wychowanie rosyjskich dzieci. To on stoi po stronie zła? Przecież broni cywilizacji życia przeciwko cywilizacji śmierci, którą jest Ukraina ze swoim prawem proaborcynym, prawda? To, co teraz powinna zrobić Matka Boska, do której modlą się Ukraińcy i Rosjanie? Wspierać rosyjską cywilizację życia czy raczej ukraińską cywilizację śmierci?

Ksiądz Dawid nie odpowiada nam na to pytanie, tylko z wyraźną dezaprobatą żegna się z nami mocnym uściskiem ciepłej, męskiej dłoni, poprawia kosmaty szalik pod szyją, wyciera nos w kraciatą chustkę, cicho mówi, że śpieszy się na plebanie, więc musi nas, niestety, na razie opuścić, po czym szybko rusza wzdłuż sklepu Maxa i Xaviera w stronę ulicy Marusarzówny, kręcąc przy tym głową jakby nareszcie się uwolnił od naprzykrzających się mu, niegrzecznych dzieci.

Piątek, godz. 21.30

Czego uczy mnie ta wojna? Boże drogi, ileż to już ja o takich wojnach słyszałem? Wieczna monotonia historii, w której nic się nie zmienia. Wojna chodzi sobie po świecie, raz zagląda do jednego kraju, raz do drugiego, ale nigdy nie zasypia.

Zawsze jest obecna, tylko zmienia sztandary. Wojna ukraińska trwa nieprzerwanie od ośmiu lat, ale nie ma niczego nudniejszego niż wojna, która trwa za długo. Monotonne przemówienia ZELEŃSKIEGO, który patetycznie powtarza w kółko to samo, biorą się ze strachu, że już za chwilę nikt nie będzie chciał go słuchać.

Ileż to już krajów na świecie płaciło żywą krwią za rozpychanie się mocarstw, które walczą o rozszerzenie swoich stref wpływów cudzymi rękami? Ileż to razy mocarstwa walczyły ze sobą kosztem mniejszych narodów, które miały nieszczęście żyć na ruchomej granicy między strefami wpływów? Czy to się kiedyś skończy? A niby dlaczego miałoby się skończyć? Wojna koreańska, wojna węgierska 1956, kryzys kubański, kryzys berliński, wojna w Wietnamie, wojna w Afganistanie, wojna w Czeczenii, wojna w Gruzji, wojna w Iraku, wojna w Syrii... I wszystkie te wojny – za mojego życia. Wszystkie w mojej pamięci. Jak ten guz nowotworowy, który przebudza się, narywa, wzbiera, a potem przysypia, żeby się znowu obudzić za jakiś czas.

Ci sami, którzy dzisiaj uparcie powtarzają „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, bez żadnych skrupułów porzucili sojuszniczą armię afgańską walczącą z talibami, która rozsypała się w jeden dzień na pył i proch... To samo Rosja, która porzuciła swoich sojuszników po przegranej wojnie w Afganistanie...

Piątek, godz. 9.58. Parę zbędnych słów

Nie ma na świecie państwa, które by nie miało poczucia zagrożenia ze strony sąsiadów. Świat stoi na tym, że wszyscy boją się wszystkich.

A nieśmiertelna zasada życia, która z tego wynika? Ach, dobry Boże, bardzo prosta! – Jeśli ja nie zdążę uderzyć w ciebie, ty uderzysz we mnie. Żeby więc samemu nie oberwać, musimy uderzyć w porę i to celnie. Tak sobie myśli jedna i druga strona. Zawsze i dokładnie tak samo. Jedna i druga. Żeby nie oberwać, trzeba uderzeniem wyprzedzić przeciwnika, bo jeśli nie zdążymy, on uderzy w nas.

Główna alternatywa? – Z kim się łączyć, żeby dobrze na tym wyjść, bo sami nie damy rady? Co będzie lepsze, być wasalem tych potężnych ze wschodu, czy wasalem tych potężnych z zachodu? – Przed takim oto dylematem stają narody średniej wielkości na całym świecie. Żadnym innym, tylko takim. Ale nasze, patriotyczne cietrzewie, tokujące pod krzyżem i orłem białym, plotą w natchnieniu, że mają jeszcze jakąś trzecią możliwość, rzecz jasna, dużo przyjemniejszą. I żeby wygrać kolejne wybory, karmią Polaków słodko-kwaśną baśnią – jakże by inaczej! – o dumnym „samostanowieniu”, wymachując dziarsko narodową chorągwią, co tylko rozśmiesza potężnych, którzy przyglądają się wszystkiemu

z wysoka. Pewien Prawicowy Wieszczy, zrobił nawet znaczną karierę literacką na trąbieniu o potęgę Wielkiej Samodzierżnej Polski Mocarstwowej, która – jak przekonywał – musi zatrzęść światem. Chciał też przy okazji wieszania „kolaborantów”, którzy chcą, żeby Polska była w Unii Europejskiej. Nic bardziej tragicznie zabawnego niż słabeusz, który wygraża silnym, dumnie wmawiając sobie, że jest im równy w prawie do istnienia.

Sobota, godz. 18.58. Jak ja – Stefan C. – finansuję wojnę Rosji z Ukrainą

Cóż, właśnie przed chwilą, podobnie jak miliony Polaków, ugotowałem sobie obiad w naszej kuchni na putinowskim gazie. Filecik z kurczaka, makaron włoski, kalafior, kartofelki. A że za gaz zapłaciłem, znaczy, że finansowo wspieram armię rosyjską w wojnie przeciwko Ukrainie. Bo czyż, gotując obiad na putinowskim gazie, nie daję forsę na putinowską maszynę wojenną? Na to wygląda. Polscy patrioci, zapewniają świat, że walczą z Rosją, a u siebie, po powrocie do domu, gotują sobie – zupełnie tak jak ja – obiad na putinowskim gazie, nie wspominając o tym nawet słowem.

– Ciekawe – mówię do K., gdy wstajemy od śniadania – ile milionów Polska płaci Putinowi codziennie za nieprzerwane dostawy ropy do polskich stacji benzynowych? Ale podli są tylko Niemcy! O, tak! Podły jest Zachód, bo ciągnie ropę z ruskiego cycka! Podli są wszyscy, tylko nie my, bo my przyjmujemy całym sercem miliony uchodźców z Ukrainy, równocześnie jak w zegarku płacąc grubą forszę za syberyjski gaz w naszych kuchniach?

Piątek, godz. 16.16. Czerwone jabłko na kobaltowym talerzu

Patrzmy w telewizor. Na ekranie wybuchy ognia, czarny dym i ruiny. Ukraina walczy.

Obieram jabłko. Jest piękne, czerwone, twarde. Kroję je na małe kawałki. Układam na chińskim półmisku malowanym w kobaltowe smoki. Bierzymy sobie po kawałku. Jemy.

– Słuchaj – mówi do mnie K. – To nieprzyzwoite. Tak siedzieć sobie przed telewizorem i patrzeć na to wszystko przy kolacji.

– Cały świat teraz to robi. Przy takich obrazkach milionom widzów kolacja lepiej smakuje.

– Co będzie dalej? – pyta K. – Jak to co? – zjadam kawałek jabłka. – Z Polską będzie to samo co z Ukrainą. Kiedy wschodnie moce zapukają do naszych drzwi, szef północnego paktu oświadczy, że bardzo protestuje, ale zachodnie myśliwce

nie mogą nam pomóc, bo jeśli pomogą, może wybuchnąć III wojna światowa, do czego nie można dopuścić. Wiesz, kiedy dzisiaj szedłem do sklepu po zakupy, widziałem niemal na żywo czarne, osmalone ogniem wyrwy w blokach na naszym osiedlu po uderzeniach pocisków. Takie same jak w telewizji. Czy ty wiesz, że od strony morza nasze osiedle widać najlepiej, bo nasz dom stoi na wzgórzu nad Gdańskiem? Wczoraj w internecie pokazali rosyjskie krążowniki na morzu pod Odessą. Pamiętam z dzieciństwa, jak ludzie w 1956 roku, kiedy czołgi sowieckie jechały na Waszawę, wychodzili na plażę w Jelitkowie, wypatrując na horyzoncie takich samych rosyjskich okrętów z Kaliningradu.

– Boże drogi – K. macha rękami. – Przestań mnie tak męczyć. Ja już nie mogę tego słuchać. – Ale wiesz – biorę na czubek noża kawałek jabłka – ja widzę już, jak nasze osiedle będzie wyglądało za jakiś czas. Ze wszystkimi szczegółami. Czyż balkon zostanie wyrwany eksplozją, w którą klatkę schodową trafi bomba, w jakim miejscu zostanie rozerwany dach supermarketu.

– Przestań. Ja nie mogę tego słuchać.

– Ale co ja mam robić, kiedy to wszystko widzę oczami duszy tak dokładnie jak w tej chwili widzę ciebie? Pisarze czasem tak mają. Może widzą więcej.

Takie to my sobie wieczorami prowadzimy rozmowy na naszej Morenie w wielki czas ukraińskiej wojny.

MAREK KĘDZIERSKI

Marginalia

Historia, dużą literą pisana, to proces udoskonalania społeczeństw – tak, wcale się nie przesłyszałeś, udoskonalania – choć do doskonałości bardzo nam daleko. Może nawet coraz dalej. Ponieważ coraz bardziej jesteśmy świadomi. Historia to droga ku nowoczesności i ewolucja w kierunku rozwoju. Bieg historii to powolne zmiany organizacji społecznej w różnych kulturach, na przestrzeni wieków, w przeciągu tysiącleci, rozwój ludzkości od niewolnictwa, przez struktury szczepowe, od średniowiecza do epoki przemysłu, a teraz do ery postprzemysłowej, to rozdziały w księdze historii, która właśnie się kończy. Koniec historii nie znaczy, że historia zatrzyma się w miejscu, ale że formy społecznego obcowania osiągną swą postać dojrzałą. Hegel był przekonany o logice historii, Marks oczywiście na tym koncepcie oparł się w swoim przewidywaniu przyszłości, twierdząc, że końcem

historii będzie komunizm, ponieważ to będzie... nie to, czym w końcu się okazał, tylko komunizm jako najwyższa forma ludzkiej organizacji, która rozwiąże wszelkie sprzeczności charakterystyczne dla wcześniejszych form organizacji społeczeństw. Ja nie wierzyłem, ja wierzyłem, że wystarczy poprzestać na liberalnej demokracji. I w 1989 roku powiedziałem: do tego nie dojdzie. Mamy szansę dotrzeć najwyżej do liberalnej demokracji w połączeniu z gospodarką rynkową – to wydawało mi się osiągalne, w skali światowej. I pożądane. Kiedy runął komunizm nie przewidywałem, że na pokojową, w miarę dostatnią egzystencję będzie stać wszystkich, wskazywałem jednak, że ludzie, którzy będą jeszcze dalecy od niej, od pokojowej egzystencji, znajdą motywację, zmobilizują się, by przyłączyć się do tego szerszego procesu. Zbiorową motywację, wolę, której efektem będą zmiany ich społeczeństwa. Zmiany na lepsze. Ludzie przecież nie chcą żyć w biednych krajach, słabo rozwiniętych, chcą żyć w Szwajcarii, w Kanadzie, w Wielkiej Brytanii, w społeczeństwie zamożnym, o wysokim poziomie edukacji, chcą być tam, gdzie będą mogli wychowywać i kształcić dzieci, mówiąc im, że nie potrzebują, tak jak na wielkich polaciach ubóstwa, martwić się o ich bezpieczeństwo. Dzieci. Dobrobyt jest zaraźliwy, nic nie stoi na przeszkodzie temu, by zawitał pod strzechy praktycznie w każdym punkcie naszego globu. Jeśli ludzie za tym się opowiedzą. To będzie ostatnia faza wojen i nieszczęść, do których pretekst łatwo znajdowali wszelkiej maści autokraci i dyktatorzy, utrzymujący się przy władzy dzięki wojnom. Aby wywołać wojnę, całkiem łatwo można posłużyć się religią, dobrem, rzekomym, narodu, tak zwanego narodu, obroną kultury, nawet języka, obroną moralności i wszelkiego rodzaju tożsamością narodową, religijną, seksualną, żoliborską i mokotowską. Sąsiad przeszkadza sąsiadowi, bo inaczej mówi, inaczej patrzy, inaczej gotuje, zadaje się z niewłaściwymi partnerami, wpuszcza obcego lub obcego nie wpuszcza. Historia ich nauczyła, matka historia, do swych ataków czerpią siły do agresji z historii. A przecież w Szwajcarii nie było wojny przez wieki, zagranica nie pali się do tego, by odgryźć kęs ziemi, w Szwajcarii konflikty rozwiązywane są spokojnie i pokojowo. Może Szwajcar z Zurychu nie zgadza się ze swoim z Zurychu lub z Gryzonii sąsiadem, może wrze i kipi w nim coś pod spodem, ale przecież prędzej czy później pewnie się uspokoi, władza, szkoła, sąsiedzi przemówią mu do rozsądku. To, co obserwowałem w, i po, 1989 roku, świadczyło o tym, że historia ludzkości, rozumiana jako ustawiczna walka między ideologiami, skończyć się miała wraz z upadkiem muru berlińskiego i końcem zimnej wojny. A świat zdecydował się, wybrał dla siebie globalny triumf liberalizmu politycznego i ekonomicznego. Końcowy moment ideologicznej ewolucji ludzkości, stanowiło, moim zdaniem, uniwersalne rozprzestrzenienie się modelu

zachodniego jako ostateczna forma zarządzania społeczeństwem, ludzkiej organizacji. To, że marksizm i faszyzm poniosły fiasko, nie były w stanie na trwale scalić społeczeństw, a nawet rozwiązywać tak zwane elementarne problemy życiowe własnego folku, po prostu swych ludzi wyżywić, było dla mnie wystarczającym dowodem wyższości opartego na racjonalnym liberalizmie modelu zachodniego. Taki był sens mojego twierdzenia o końcu historii.

„Mojego” twierdzenia? Ja to niby kto? – pytam bratanka, a on odpowiada: Ja to Francis Fukuyama, ja teraz referuję poglądy amerykańskiego teoretyka końca historii, który miał swoje piętnaście minut sławy w 1999 roku. Kiedy ja miałem lat dziesięć, dodaje bratanek. Mój bratanek Marginał, urodzony w roku owym, a więc dziś już niemal w wieku dantejskim, choć ja wciąż widzę w nim młokosa. Młokos Kuba, architekt, świeżo upieczony, architekt choć sam przyznaje, że najlepiej czuje się w skórze muzyka. Kuba, pasjonat improwizacji muzycznej, urodzony zaraz po czerwcowych wyborach.

Dziś jemu oddaję głos, wyjątkowo. Miałem pisać. To ja miałem zacząć marginalia od uwag na temat pewnych słów, nie jako językoznawca, lecz psycholog. A nawet psychiatra. Ale w obliczu tego, co się dzieje, w obecnej sytuacji, oddaję głos młodemu Marginałowi. Dziś udało się nam spotkać na dłużej, po wielu latach, mieliśmy pogadać o tym, co u niego, no i co u mnie, rozmawiać o architekturze, posłuchać muzyki, ale stało się inaczej, inny temat zdominował. Więc oddaję głos Kubie, ale Kuba referuje mi Fukuyamę, twierdzi, że oddałem głos Fukuyamie. I od Fukuyamy zaczynają się marginalia. Od końca historii.

Kubę spotykałem ostatnimi czasy sporadycznie i spontanicznie, na Dobrej, na Hożej, na Topiel, na tak zwanym mieście, od czasu do czasu, ale za każdym razem na krótką chwilę. Potem pędził do swoich konstrukcji betonowych i muzycznych. Zawsze miałem z nim dobry kontakt, od dawna jednak nie miałem z nim prawdziwego, kontaktu, ostatni raz chyba w 2006, a więc pół życia temu, jego życia. W 2006 roku zaprosił mnie na Smolną na spektakl *Ferdydurke*, w którym grał kilka ról. Licealiści dwoił się i troił, by zabawnie zagrać Gombrowicza. On też, licealista Kuba Marginał. Gombrowicza właściwie zagrała pani dyrektor, która po uroczystej przemowie nakazała jeszcze przed Gombrowiczem wprowadzić do Sali Zamoyskiego szkolną wartę honorową. Z pewnym niedowierzaniem patrzyłem na młodzież, wprowadzającą z korytarza do Sali Zamoyskiego, z nie miałym namaszczeniem, przy dźwiękach werbla, sztandar szkoły, z haftowanymi częściowo złotą nicią godłami tudzież inskrypcjami. Licealiści krokiem wojskowym z marszu wkroczyli do sali ze sztandarami na ciężkich drzewcach wbijających się w ich

młodziutkie ramiona, jak na paradzie wojskowej, może i parodii parady, po to, by potem szybko i wślizgnąć się w stroje uczniów profesora Pimki i zagrać licealistów, przedwojennych.

Teraz Kuba stoi przede mną i referuje Fukuyamę. Wujku, jaki koniec historii?! Spójrz, co się dzieje. Tu, na mojej ulicy, mieszka teraz setka Ukraińców. Żaden koniec historii. Tu, proszę państwa, jest nawrót i powrót historii. Wypchnięta drzwiami, wdziera się przez okna. Mówię o Zachodzie. Fukuyama mówi o Zachodzie, mówi bratanek, cytuję ja, wujek Marginał. U nas było inaczej, mówi bratanek. I jest inaczej. Nikt nie opowiadał się za jej końcem. *Au contraire!* Wujku, Historia jeszcze wyjdzie nam bokiem. To dopiero początek rozdziału. Nikt nie wie, czy ostatniego. Przede mną Kuba Marginał. Stoi i mówi.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (2)

Na niebie biel, skrawki błękitu i szarość lub odwrotnie, w innym układzie, rano i wieczorem dochodzą jeszcze czerwone lub pomarańczowe, złociste.

Po drugiej stronie przystań, gęszcz starych drzew, dalej resztki ruin i pojedyncze, jedno przy drugim.

Krzyki mew, plusk wody o falochron, rozkołysana powierzchnia, wiry, fale i wiatr.

Pierwszy, drugi i trzeci plan. Dążenia, motywacje i działania.

W nim, złączony w jedno, odnawiający się, z dnia na dzień, w trwaniu, które nie przemija.

Nienawidzący siebie, tego co z niego zostało, co nie chce iść razem z nim.

To co jest skryte i widoczne, wewnątrz i na zewnątrz, zdające sprawę.

Wypowiadane raz na zawsze, dla pożytku swojego i innych.

W prawości, nieprawości i znowu w prawości.

Uważaj na siebie!

Przez bramę, poza mury, na brzeg.

To co widzi za sobą i to co jest przed nim.
Nurt, blask słońca, promienie na szczytach wież.
Fundament i wznoszące się resztki, opoka i punkt wyjścia.
Pociągnięty w tę stronę i tam idący.
On i nie on, ja i on, nie ja.
Radosny, na ścieżce, wraz z innymi.
Upadając i cierpiąc, podnosząc się i znowu upadając.
Z iskrami w sercu, w głowie i w duchu.
Wstań i idź.
Do przodu.
Naprzód.
Do mety.
Dając już nie na zapowiedzi, ale raz po raz jasną odpowiedź.
Wiedząc, że kto ma, temu jest dodawane.
Słuchając głosu i mówiąc nim. Także przez znaki i miejsca. Z zapartym tchem, mając oczy szeroko otwarte. W czujności, wiedząc, że obok czai się ten, który na swoją modłę zmienia i przekształca.
Odwraca się i nie patrzy na niego. Tak w świetle dnia jak i nocnych widzeniach. Tylko w tym, który jest jeden.
Rozumiejąc co do niego mówi, także wewnątrz.
Wiele bowiem dzieje się poza nim i stwarza skutki.
Nie pozwala, żeby tamten w nim działał i lgnie do kogoś innego.
Reszta to plewy na klepisku, po których nie zostaje nawet ślad.
Nie miesza tego ze sobą, żeby nie było tylko częściowe, pilnuje i jest przygotowany.
Mijając złotych, srebrnych, miedzianych, drewnianych i kamiennych bożków i trzymając się od nich z daleka.
Z jasnością rozwiązując zawiłości.

Nie dzieląc się i nie rozmieniając na drobne.

Według, wytrwale i bez złudzeń.

Nie w szarpaninie, ale raczej w obojętności i pełnym oddaniu.

Lepiąc na podobieństwo.

W swoim rogu, z wysokości.

Wśród czystych jak blask słów.

Przeżywając, rozumiejąc i raz po raz owocując.

Zaniepokojony, a niekiedy w lęku i trwodze.

W kącie, wirze i rozdzielaniu jednego od drugiego.

Z uwagą na pułapki zastawiane zmyślnie i podstępnie.

Kierując się na światło i w nim, jak najlepiej.

W obecności. W środku. Tu i teraz. Przekraczając czas i przestrzeń. Ja, nie ja i tym bardziej ja. Dla samego siebie i innych. W jak najgorszym miejscu. Powołany i utajony, nie na próżno. Działający jego siłą, mówiący jego słowami i sobą, świecący jego światłem. W głowie i sercu, jego moc i przesłanie w tym co słyszy, nie mirażu czy urojeniu.

Droga i dążenie naprzód. Z nim i w nim. Słowa, głos i poruszenia serca.

W świetle, nawet gdy dzieje się w ciemności czy mroku.

Brama i ustawione w niej sidła.

Idą, przechodzą i słyszą głosy.

Czy mają otwarte oczy i uszy?

Kto ich prowadzi?

Co widzą, myślą i czują, w co lub w kogo wierzą?

Kim są? Co i kto nimi powoduje?

Od końca do końca widzenia, od końca do końca życia.

Zwlekając i bez zwłoki.

Z tym co główne, dziejące się w sercu i z tym co z niego wypływa i jest decydujące.

Nie jako odbicie, ale naśladowanie i poruszanie się własną drogą.
Wyrzekanie się siebie i wyrzekanie się innych.
Tak jak zaparcie się kogoś i zaparcie się siebie.
W porządku i nieporządku, w formie i chaosie, w promieniu i kłębowisku.
W błogosławionej litości i czułości.
Codziennie czekanie i ich ogrom z wszystkich miesięcy i lat.
Wypełniając się w kimś.
Wcielony, wywołany i wcielający się, wywołujący.
Na tyle wolny, na ile niebędący sobą.
Z tym co jest najważniejsze, wewnątrz siebie, i na zewnątrz.
Wtedy nie ma nic niemożliwego, jest olśnienie i moc.
Dar z wysoka obok, twarz, droga, głos.
I smutek, gdy nie dorasta się do niego, słabość, zniechęcenie i zsuwanie się.
Przeciwieństwo radości, w duchu.
Słowa do mnie i dążenie, żeby przyjmować je sercem.
Wtedy promieniowanie na zewnątrz i wielka radość.
Wiele razy na różne sposoby, w tym odbiciu i blasku.
Jakby jedno w drugim. Wewnątrz. I na zewnątrz.
Przedsionki i duch, który zostaje dany.
W stronę wyższego i najwyższego.
Odkrywany w sobie i wyprowadzany na zewnątrz, z pustki w pustkę.
Przez światłość, ciemność i w niej światłość.
Tak jak Betlejem i Golgota, pod tym samym niebem.
Pierwsza i ostatnia godzina, dwa bieguny.
W tym samym świetle.

Czerpiąc opiekę i błogosławieństwo, w dobrych i złych chwilach, nimi wzmocniony i opromieniony, jak w natchnieniu.

Sen we śnie czy jawa w prześwitach i błyskach.

Zakorzeniony w nich i w całkowitej wolności, w koleinach i daleko poza nimi.

Jak na początku, gdzie było światło, a w nim i z nim życie, z ciemności, która wydawała się nie do pokonania.

W łonie, jakby bez wyjścia i w świetlistej feerii, z tęczę.

W grzechu, z nasieniem dobra i zła i z nadzieją, że coś z niego będzie.

Już czekając, a nie szukając i dążąc.

Coraz bardziej wnikając w słowa i łącząc je z działaniem.

Raz po raz wstając i idąc w stronę światła zakrytego, ale wyraźnego.

Ciągle nie zdając sprawy z łaski.

W jego duchu lub dążąc, żeby być w jego duchu, w swoim ciełe.

Złączony z tymi, którzy są jak on lub chcą być jak on blisko światła nie świata.

Nakarmiony do syta, rozdający i zostawiający ułamki.

Zarzucający sieć i ciągle ją ulepszający.

W głębi, z głosem i bez głosu.

Z nadmiaru jednego lub drugiego albo braku, na zatracenie, nie na zatracenie, proszący i błagający.

Widząc miotających się i złorzeczących, którzy powinni mieć założone na pyski kagańce.

Bez obecności i miłosierdzia, bezużyteczni i martwi.

Niemający wiary, że ktoś przez nich mówi i nie mogą utracić ani jednego słowa.

Wybór i związane z nim konsekwencje.

Coś, co jest wyjątkowe i jedyne, a nie dziesiątą wodą po kieselu.

Przeniknięty, poznany i doświadczony, na wskroś.

Jak ten, który siedział wtedy na komorze celnej.

Poddany władzy, jaką daje miłość. Ale czy myśli o niej jak o władzy?

Nie tam gdzie panują demony. A może tym bardziej.

Wyrzekając się siebie, umiejęć powiedzieć: „dosyć!” i trwając w tym.

W posłuszeństwie i uległości, paśmie, które zawsze jest dobre i w oporze, gdy zjawia się zło.

Widząc i słysząc to samo co widzą i słyszą inni, ale z dwóch stron.

Gdy najmniejsze staje się największe, jednego opanowuje duch dobry a drugiego zły, jednego przenika światło a w drugim jest szarość i ciemność.

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem (5)

13

Od dzieciństwa towarzyszył mi język niemiecki. Mama, gdańszczanka – ceniąca sobie hanzeatycką tradycję i wyrastająca w wielojęzycznej, choć głównie niemiecko-polskiej przestrzeni Wolnego Miasta Gdańska – była po prostu dwujęzyczna, zaś ojciec, który po sąsiedzku, w Gdyni, nauki niemieckiego pobierał w szkole, zaś wyszlifował jego znajomość w czasie kilkuletniego pobytu w oficerskim obozie jenieckim, gdzie między innymi więzieni zajmowali się, choćby z nudów tylko, samokształceniem, także posługiwał się tą mową swobodnie. Oboje stworzyli sprawnie pracujący team translatorski, którego pracy efektem były przekłady takich utworów jak *Doktor Faustus* Tomasza Manna, *Śmierć Wergilego* Hermanna Brocha, *Młyn Lewina* Johanna Bobrowskiego czy *Gra szklanych paciorków* Hermanna Hessego, nie wspominając o wielu drobniejszych tłumaczeniach zarówno poezji i prozy, jak dramatu.

Osiedlili się niemal od razu po wojnie w Szczecinie, wówczas jeszcze po części zaludnionym przez zakorzenione w nim rodziny niemieckie nie decydujące się na opuszczenie miasta w nadziei, że jego niemiecki los nie został jeszcze ostatecznie przesądzony – po latach świadectwem literackim tego stanu rzeczy stanie się powieść Artura Daniela Liskowackiego *Eine kleine...* – i w związku z tym

język niemiecki słyszało się na ulicy czy w sklepie. Rodzice przy tym zatrudniali jako gosposie młode niemieckie dziewczyny nie znające polskiego, w związku z czym wraz z siostrą przysłuchiwałam się niezrozumiałym dla nas rozmowom. I wreszcie, chroniąc nas przed swymi małżeńskimi problemami, gdy dochodziło do kłótni czy awantur, oboje przechodzili na niemiecki, w związku z czym pierwszym słowem tego języka, jakie zapamiętałam, ledwo domyślając się jego znaczenia, było wypowiedziane przez ojca ze szczególnym naciskiem słowo *Quatsch* wyrażające tyle, co po polsku bzdura, brednie czy głupstwo. Natomiast na podejmowane przez mamę próby porozumiewania się ze mną w tej traktowanej jako wroga mowie reagowałam niemal histerycznie.

Sporo rozmów między rodzicami miało zresztą charakter roboczy, co powodowało, że niespodziewanie przechodzili z jednego języka na drugi, nagle i niespodziewanie, lecz przecież mając po temu istotne powody – szczególnie intensywnie działało się to w okresie pracy nad przekładem dzieła Manna, który zresztą szczególnie dla matki był postacią niemal kultową: do końca życia na jej biurku stała w skromnej oprawce fotografia pisarza, jemu zaś samemu poświęciła po latach wydaną pośmiertnie książkę biograficzną *Czarodziej*. Tymczasem po przeprowadzeniu się do Warszawy w roku 1956 coraz częściej gościliśmy w domu przyjeżdżających do Polski dziennikarzy i pisarzy niemieckich i choć nie były to wizyty częste – ale wreszcie możliwe po okresie kompletnie izolującego nas od Zachodu zamordyzmu poprzednich lat – to przecież przez nastoletniego już chłopaka rejestrowane właśnie ze względu na obcą mowę, wobec której odczuwał jakiś zimny dystans, gdy zaś słyszał ją poza domem – w kawiarni czy na ulicy – reagował jeśli nie lękiem, to w każdym razie niechęcią. W szkole średniej, wobec błyskawicznego obsadzenia klasy z angielskim i mając do wyboru między niemieckim i łaciną, wybrał tą ostatnią.

Po latach jednak niemiecki upominał się o siebie. Przełomowe znaczenie miał rok 1968, gdy po „wydarzeniach marcowych” rodzice, i tak już zmęczeni życiem w „naszym obozie”, skorzystali z okazji i wybrali życie poza krajem, osiedlając się ostatecznie w Berlinie Zachodnim. Przez lata miałem z nimi dość skąpe kontakty w czasie – póki i to nie zostało mi uniemożliwione – krótkich wypadów do NRD, gdzie w stolicy przez parę godzin mogliśmy wspólnie pospacerować, by zakończyć wędrówkę przy stacji metra Friedrichstrasse, gdzie znajdowało się przejście na drugą stronę muru. Dopiero po śmierci ojca w roku 1985 „zdobyłem” paszport pozwalający mi na dłuższy pobyt poza Polską, w efekcie zaś, zważywszy

na śmiertelną chorobę matki, zdecydowałem się zostać w Berlinie, by pomóc jej w zmaganiu się z umieraniem. Siłą rzeczy musiałem zacząć się z ludźmi i instytucjami porozumiewać i powoleńku rozbudowywałem swój słownik, aż w końcu osiągnąłem poziom pozwalający mi się względnie swobodnie porozumiewać.

Mama umarła w roku 1989, kilka miesięcy przed zakończeniem w Warszawie rozmów Okrągłego Stołu. To był już okres, w którym można się było względnie swobodnie – no bo przecież poza Berlinem Zachodnim, który miał odrębny status polityczny – poruszać po Europie, nie trzeba było po powrocie zdawać paszportu, by się on ponownie ubiegać. Ponieważ zaś w Berlin wrosłem, nie ciągnęło mnie do natychmiastowego powrotu do kraju – w Berlinie byłem jako tako finansowo ustabilizowany, w Warszawie zaś pracy nie miałem. Skorzystałem z propozycji objęcia kierownictwa działem literackim polskiego Instytutu Kultury, co stało się momentem przełomowym w moim opanowywaniu języka niemieckiego.

Zadecydował przypadek. Postanowiliśmy zorganizować spotkanie jubileuszowe z wybitnym tłumaczem polskiej literatury, ale też interesującym poetą Henrykiem Bereską. Nie mieliśmy atoli tłumaczeń jego wierszy, postanowiłem zatem sam podjąć się przekładu, również przez pamięć o tym, że był Henryk, jeszcze od czasów warszawskich, gdy przyjeżdżał do Polski, zaprzyjaźniony z moimi rodzicami – okazało się, że nie mając szansy, by się spotykać, mieszkali, przedzieleni murem, oddaleni od siebie o jakieś dziesięć minut spokojnego spaceru. Nie bez tremy zatem zaprezentowałem w trakcie imprezy owoc mych wysiłków i – o dziwo – zostały one przez autora prezentowanych utworów przyjęte z zadowoleniem, co znalazło wyraz w przedłużeniu wieczoru już poza Instytutem i zadzierzgnięciu niezwykle sympatycznej relacji, za sprawą której sporo się dowiedziałem o życiu w strefie sowieckiej, ale też zachęcony zostałem do dalszych poczynañ translatorskich.

Niespodziewanie dostałem w tym czasie zaproszenie od profesora Erazma Kuźmy kierującego polonistyką Uniwersytetu Szczecińskiego – było to już w roku 1992. Zacząłem się poruszać na trasie Berlin–Szczecin–Warszawa–Szczecin–Berlin. Obok pracy na uczelni sporo – niezależnie od mych literackich zajęć – pisałem o sprawach niemieckich, głównie dla paryskiej „Kultury”, co sprawiło, że bywam traktowany jako znawca tej problematyki, co jest jednak sporą przesadą, choć bez wątplenia zdołałem przez lata zgromadzić na ten temat dość wiedzy, by pokusić się o napisanie książki poświęconej literaturze niemieckiej od jej początków do końca wojny trzydziestoletniej. O ile jednak jeszcze w latach dziewięćdziesiątych

ubiegłego stulecia mogłem sobie pozwalać na komentowanie aktualnych wydarzeń w relacjach polsko-niemieckich, o tyle obecnie nie śledzę ich już z równą pilnością. Staram się natomiast – po amatorsku, przyznaję – tłumaczyć poezję, głównie *con amore*, ale też nie unikając publikacji.

I oto ostatnio wydawca zaproponował mi zredagowanie przetłumaczonych przez mego ojca wierszy Hermanna Brocha inkrustujących jego powieść *Niewinni* wydaną w przekładzie Wandy Jedlickiej w roku 1961 i obecnie wznawianą. I choć nie lubię tego rodzaju pracy, zgodziłem się, co sprawiło, iż wykryłem, że wiersze te zostały ocenzone i zmuszony zostałem tym samym do „dotłumaczenia” brakujących fragmentów, które zapewne ojciec wówczas przełożył, lecz ślad po tej pracy nie pozostał. Trzeba jednak przyznać, że peerelowski cenzor gruszek w popiele nie zasypywał i wykazał się iście czekistowską czujnością, czego dowodem następujący fragment z cyklu *Głosy 1933*:

„Lecz rewolucje, buntury natury przeciw wynaturzeniu, przeciw upiorności i radykalnym zakazom, lecz także przeciw wielorakim przeświadczeniom, które z pomocą mrocznie gniewnych płomieni terroru oraz przymusowego nawracania bez reszty wypalić chciały, te rewolucje same będą upiorne, gdyż każdy terror nowe kołtuństwo przywołuje na scenę, wzywając macherów rewolucji, rewolucyjnych kołtunów, wirtuozyjnych fachowców terroru, wiecznie zdradliwych gwałcicieli wszelkiej sprawiedliwości: O, biada, biada!

O, rewolucyjna sprawiedliwości! Z rewolucji uczynią kołtuni demoniczną imitację, zbójcko morderczą, a mimo to jeszcze gorszą, gdyż jej brak dogmatów jest nagą siłą; nie chodzi tu więcej o nawracanie lub przymus nawracania, lecz już tylko o wszelką utratę czci, o technicznie doskonały instrument terroru jako taki, o obóz koncentracyjny i o laboratoryjną izbę tortur, w której do najwyższego prawa podniesione jest bezprawie, w której prawdą staje się upiorne kłamstwo, po prostu abstrakcyjne zniewolenie wszystkiego, obce ludzkości”.

14

Lata temu na łamach krakowskiego dwutygodnika „Student” ogłosiłem artykuł zatytułowany *Jesteśmy winni* – wszyscy, a na myśli miałem odpowiedzialność każdego członka społeczności za zgodę, świadomą bądź nieświadomą, na odmowę aktywnego uczestnictwa w życiu społeczności, a tym samym za powstające w niej wynaturzenia, z totalitaryzmem włącznie. Za punkt odniesienia miałem chyba wówczas wiersz Wiktora Woroszyńskiego *Państwa faszystowskie*, ale też

masę innych lektur oraz toczonych podówczas w gronie przyjaciół dyskusji. To było w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, w chwili, gdy – wówczas młodzi ludzie – leczyliśmy się z razów, jakie zadała nam komunistyczna władza w czasie wydarzeń roku 1968 oraz z szoku, jakim stało się krwawe stłumienie robotniczego buntu w grudniu 1970 roku. Poczuciu bezradności i bezsilności towarzyszyło mi wtedy przekonanie, że nie ma wyjścia ze społecznej apatii towarzyszącej narastaniu przemocy wobec wszelkich przejawów opozycji i choć nie była to jeszcze przemoc brutalna, a nawet mogło się niektórym wydawać, że w kręgach władzy istnieją środowiska jeśli nie wprost opornym sprzyjające, to w każdym razie skłonne do pozostawiania im jakichś nisz i marginesów pozwalających na – tak czy inaczej: koncesjonowany – wyraz buntu (w końcu cenzura, nie bez ingerencji, ale jednak „puściła” mój tekst w „Studencie”), jednak mało kto w środowisku, w którym się wówczas obracałem, skłonny był wierzyć w możliwość odmiany naszego losu. Raczej bliższa nam była postawa bohatera zablokowanego przez cenzurę poematu Stanisława Barańczaka *Sztuczne oddychanie*, owego „obywatela NN” decydującego się „popęłnić głupstwo”:

Z perspektywy ulicy wygląda to chyba
dość zagadkowo: osobnik wychodzący
na zewnętrzny parapet okna, przymyka
je za sobą, jak gdyby zamierzał
odgrodzić sobie powrót do wnętrza pokoju.
[...] Zaraz skoczy. Zaraz
rozkrzyżuje go beton chodnika. Tłum gapiów
gęstnieje, słysząc histeryczne piski.
Zaraz skoczy.

Nie skacze.
Maca dłonią poza
sobą, otwiera okno na powrót, niezgrabnie,
na drżących nogach zsuwa się do środka.
Zamyka okno i wybucha płaczem.
Pada na łóżko szlochając. Rozkłada
bezwładnie ręce. Leży
rozkrzyżowany.
Szlocha.

Wielu spośród nas miało wrażenie, że złapanie oddechu, nie mówiąc już o swobodnym oddychaniu, jest w tej przestrzeni niemożliwe. Tytuł poematu Staszka – krążącego w maszynopisie i zapewne nie zgłaszanego przez autora do oficjalnej publikacji – oddawał dość precyzyjnie klimat życia publicznego, kolejne zaś utwory, które się nań składają, bezlitośnie odsłaniają mechanizmy w owym życiu funkcjonujące, przede wszystkim zaś lęk przed próbą uwolnienia się z owej obezwładniającej, lepkiej mazi, w jakiej byliśmy zanurzeni.

Doskonale też pamiętam jedną z dyskusji, której uczestnicy, relacjonując swe odczucia z lektury tego utworu, podnosili, że jego wadą podstawową jest brak choćby promienia nadziei. Ale też nie bardzo wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych, można było odnaleźć choćby przebląski światła w gęstniejącym mroku. Owszem – to nie była brutalna przemoc, represje, jakie dotyczyły tych, którzy ośmielali się podnieść głowę, raczej nie zagrażały życiu, choć też trudno by było powiedzieć, że mogliśmy się czuć bezpiecznie – od czasu do czasu kogoś jednak „nieznani sprawcy” pobili, kogoś wyrzucano z pracy, ale, jak to się wtedy mówiło, „jakoś się żyło”, o czym mówi wiersz *N.N. rozmyśla o dalszych perspektywach*:

Jeszcze nie jest tak źle; jeszcze można wybierać
każdego ranka
pomiędzy brunatną koszulą a czerwonym krawatem,
jeszcze nie jest tak źle,
można się jeszcze ubrać w co kto lubi; [...]
Jeszcze nie jest tak ciemno; słońce całkiem nieźle
przenika przez ten klosz,
i nawet sporo w nim zostało powietrza...

Odmiana stanowiąca ostrożną zapowiedź odwrócenia biegu spraw pojawiła się w roku 1976, a jej znakiem było utworzenie Komitetu Obrony Robotników, pojawienie się pism „drugiego obiegu” sprzyjających budzeniu się zdolności społecznej samoorganizacji.

Wyzwoliła się jakaś nowa energia i nikomu z nas już raczej nie przychodziło do głowy „popelnianie głupstw”. Przeciwnie – nieżyjący już, podobnie jak Barańczak, przyjaciele, Jacek Bierezin, Witek Sułkowski i Tadeusz Walendowski założyli w Łodzi nieregularny kwartalnik literacki „Puls”: dziś pamięć o tym wpisana jest w doroczny festiwal Puls Literatury oraz nagrody literackie sygnowane nazwiskami Bierezina i Sułkowskiego. W kraju ukazało się dwanaście numerów, ostatni

zaś, trzynasty, został przed kolportażem skonfiskowany w trakcie wprowadzania stanu wojennego. Po pewnym czasie redakcja wznowiła pracę, ale już w Londynie, zaś szefem pisma, a także wydawnictwa Puls (Puls Publications) został Jan Chodakowski.

Pierwszy numer „Pulsu” ukazał się w roku 1977, samo zaś pismo było drugim po „Zapisie” „podziemnym” periodykiem literackim – warto może przypomnieć, że podziemna była technika (zdobywanie papieru, farb drukarskich, matryc, dojść do powielaczy, sam druk, po części też kolportaż), natomiast skład redakcji był jawny (w każdym numerze redaktorzy podawali swe nazwiska, adresy i numery telefonów). Z biegiem czasu tych pism oraz innych inicjatyw kulturalnych funkcjonujących poza przestrzenią oficjalnego życia lub na jego obrzeżach przybywało, czemu towarzyszyły mniej lub bardziej uciążliwe represje (krótkotrwałe na ogół aresztowania, wyrzucanie z pracy, odmowy paszportów, różne formy nękania), ale z tym można było żyć, a nawet się do tego przyzwyczaić, wkalkulować w bieg życiowych zdarzeń na zasadzie „sorry, ale taki mamy klimat”.

15

To było bodaj w połowie 1982 roku. Zostaliśmy z poetą Antonim Pawlakiem zaproszeni na spotkanie autorskie w jednym z wrocławskich kościołów. Podobnych spotkań było w tym czasie sporo – kościoły, wobec braku możliwości organizowania życia kulturalnego w przestrzeniach oficjalnych, w których zresztą zapewne większość z nas (myślę o artystach czynnych w ruchu odmowy współdziałania z reżimem) nie chciałyby występować, stały się miejscem spotkań z publicznością. Na ogół odbywało się to w salach katechetycznych gromadzących ludzi związanych z daną parafią. Jakies honoraria przy okazji się zdarzały, choć w tej chwili już nie pamiętam czy były to pieniądze kościelne, czy raczej pochodzące, a tak chyba najczęściej bywało, ze zrzutek publiczności – nie miało to w końcu większego znaczenia, byliśmy głodni takich występów, w trakcie których, pomijając działalność szpicli, którzy mieli meldować władzom o naszych nieprawomyślnych poczynaniach i wypowiedziach, nawiązywały się żywe relacje z ludźmi, którzy wszak na co dzień ze sztuką, w tym z poezją, na ogół kontaktu nie mieli. W okolicznościach stanowojennych jednak za sprawą takich „wieczorów autorskich”, stanowiących doskonały pretekst do zgromadzenia się w większej grupie, tworzyła się możliwość praktykowania Solidarności, czyli tych więzi międzyludzkich, których symbolem stał się powstały w czasie strajków roku 1980 „związek

zawodowy" będący, o czym wszyscy wiedzieli, choć prawie nikt tego wprost tak nie nazywał, ośrodkiem oporu społeczeństwa wobec komunistycznej opresji.

Zostaliśmy z Antonim przyjęci z honorami, zaś samo spotkanie poprzedziła jeszcze skrócona msza na zapleczu, gdyż ksiądz, jak się okazało, jeszcze tego dnia nie miał okazji wypełnienia swych powinności. Jak zwykle przy zmawianiu modlitwy pominąłem słowa „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, co kapłan skwitował później pełną wyrozumienia naganą stwierdzając, że nie wykazuję się chrześcijańskim miłosierdziem. Miłosierdzie miłosierdziem, odparłem, lecz dla mnie ważniejszy jest zakon, prawo. A tak w ogóle, dodałem, chyba naprawdę nie jestem dobrym chrześcijaninem.

– A czemuż to? – spytał ksiądz.

– A to dlatego, że nie umiem się zgodzić ze słowami hierarchów kościoła – odparłem i dodałem, że chodzi mi o słowa prymasa, który wezwał do modlitw w intencji internowanych, stwierdzając przy okazji, że jest wśród nich „wielu niewinnych”.

– A to rzeczywiście dowodzi, że nie jest pan dobrym chrześcijaninem – usłyszałem. – Gdyby pan nim był, wiedziałby pan, że Bóg i w ten sposób nas doświadcza.

Po tej wymianie zdań zostaliśmy wyprowadzeni na „scenę”. Nie była to jednak sala katechetyczna, lecz wnętrze świątyni szczelnie wypełnionej wiernymi. Zrobiła się niesłychanie podniosła atmosfera, tym bardziej że, jak się okazało, mieliśmy czytać wiersze „od ołtarza”. Przedtem jednak, poprosił ksiądz, niech ktoś z panów coś powie do ludzi, tak z serca. Antoni, dobrze wychowany i szanujący hierarchię, uznał, że tym, który się do naszych gości zwróci, mam być ja. Przyznam, że chyba nigdy przedtem nie byłem tak onieśmielony. Nie bardzo też wiedziałem, co powiedzieć, niemniej jak trzeba, to trzeba – zacząłem mówić powoli, starając się z napływających zdań budować mniej lub bardziej składną narrację, w której coś było i o roli poezji w życiu narodu, zwłaszcza w chwilach trudnych, w obliczu przeżyć bolesnych. Gdy skończyłem, ujrzałem przed sobą las podniesionych do góry dłoni z palcami ułożonymi w kształt „nie istniejącej w naszym alfabecie”, jak to powiedział kiedyś generał Jaruzelski, litery V i zdałem sobie sprawę z tego, że ci ludzie nie przyszli tu dla naszych wierszy, lecz właśnie po to, by wykonać ten jednoczący ich wszystkich gest.

Potem oczywiście przyszły nasze wiersze i brawa, na koniec zaś, w zgranej paczce znajomych biesiadowaliśmy. W trakcie toczonych rozmów poeta Jarosław Broda ogłosił:

– Spóźniłem się na spotkanie i gdy wchodziłem do kościoła, słysząc wygłoszane z namaszczeniem słowa, sądziłem, że to ksiądz przemawia i ze zdumieniem ujrzałem, że to Szarug.

Jarek albowiem przyszedł słuchać naszych wierszy.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (66)

Bez tytułu i daty (LVI)

31 stycznia 2022 roku, środek zimy, ale dzień nieco odwilżowy, wietrzny. Dwie pary siwych wron zainteresowały się starym gniazdem na konarze topoli, niejako konkurując ze sobą w zaciekawieniu. W zeszłym roku w tym gnieździe odchowwały się młode. Późną wiosną i latem nie widzę gniazda, osłaniają je liście.

Zastanawiam się, co gorsze (albo co lepsze): choroba czy samotność?

Lubię rzeczy używane. Takie, które służyły i się przysłużyły. W porysowaniu, odkształceniu, zacerowaniu ich moc. Czy garnek z urwanym uchem jest gorszy od garnka bez urwanego ucha? Istota sprawy nie w wartościach materialnych, a w emocjach i skojarzeniach, jakie przedmioty budzą, w ich historii. Ze smutkiem i zdziwieniem widzę, co znajduje miejsce na śmietniku. To dlatego piszę na odwrocie ulotek?

Rzeczy trwalsze od ludzi, uczucia mocniejsze niż rzeczy.

Nie wszystko da się wyprzeć z pamięci, niektóre fakty gnieźdzą się w niej jak robaki.

Na ogród kwiatowy mówiliśmy pieszczotliwie ogródek. Bo ogród to było co innego. Znajdował się za stodołą, czyli od południowej strony, i za zachodnią stroną obejścia, na dwóch każdego roku różniących się powierzchnią zagonach.

Rosły w nim warzywa i truskawki, zdarzało się, że babcia wysiewała rządęk prosa przeznaczonego na pędzle. Gdy nie miała prosa ze swojej uprawy, gotowe pędzle kupowała w dzień targowy mama lub Marysia. Ale mowa o ogródku. Nieduży, bardziej kwadratowy niż prostokątny, mieścił się między północnym krańcem domu a drogą. Przy drodze, w bezpośredniej bliskości ogródka stała ogrodzona płotkiem ze sztachet figura, to znaczy krzyż, obok rósł starszy ode mnie kasztanowiec i brzoza, którą w dzieciństwie posadził młodszy brat mamy, Lutek. Jeszcze kilka rachitycznych drzewek wiśniowych i zagubiony w chaszczach krzew białej porzeczki, który plonował nie więcej niż garścią owoców. Dom i ogródek dzielił szeroki na kilka metrów pas gruntu niepielęgowanego, powiedziałbym niczyjego. Gdy byłem mały, rosła na nim trawa. Z czasem pas stał się niedostępny, zarosły go zdziczałe maliny, pokrzywa. Ogródkiem zajmowała się babcia i Marysia. Wiosną oczyszczały go z chwastów, motykami – mówiliśmy na nie motyczki – spulchniały rabaty, wytyczały ścieżki. Nim babcia z Marysią weszły z motyczkami do ogródka, już kwitły narcyzy. Rosły w równo oddalonych od siebie kępach wzdłuż obu stron ścieżki, a przy nich, w drobniejszych kępach, szafirki. Narcyzy i szafirki rozpoczynały sezon kwiatów. Potem wysypywały się inne kolory, kształty i zapachy. Majowe i czerwcowe piwonie, bratki, łubin, krzew purpurowej róży, goździki, asparagus, białe i fioletowe floksy. Łubin – biały, żółty, różowy, niebieski, o kolorach „pośrednich”, będących wynikiem krzyżowania się odmian – rósł tam, gdzie chciał, sam wybierał dla siebie miejsce w ogródku i poza ogródkiem. Po sadzonki łubinu przychodziły sąsiadki. A w Boże Ciało o płatki na procesję prosiły dziewczynki, babcia pozwalała zrywać płatki bez ograniczeń. Żal mi było kwiatów, ale mój sprzeciw nie miał znaczenia. Floksy rosły w kępach na zachodnim i wschodnim krańcu ogródka. Miały mdławy, intensywny zapach, babcia wstawiała je do flakonów w obu pokojach i do słoików w kapliczce na krzyżu obok glinianej figury Matki Boskiej. Kwiaty w ogródku rosły i przekwitały, a z nimi i my. Coraz starszej babci musiało starczyć sił na gospodarskie obowiązki. Ogródek dziczał jak maliny za ścianą domu. Ścieżki zarastały chwastami. Daremnie szukając ocalenia, ponad lebiodę i perz na długich łodygach wspinały się rozczochrane, czerwone głowy piwonii. Ich krótkotrwały żywot mogło przedłużyć tylko nasze spojrzenie. Pośród jaskrów i krwawnika nierówno walczyły o życie goździki. Powój dusił floksy i purpurową różę. Ogródek umierał, rodziło się dzikie królestwo.

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (11)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Na początku był sen, rozwijający jakby tę samą, niby dobrze już mi znaną sekwencję zdarzeń, której przebieg znałem z poprzednich, bardzo podobnych snów. Te śnione w różnym czasie sny, były właściwie za każdym razem jednym snem w odcinkach, tyle że zabierając mnie w podróż nad ranem, najczęściej po godzinach klasycznej bezsenności, porywały za każdym razem w inne obszary, nieznane z fizycznego doświadczenia, czy inaczej: nieznane dotykowi. Ten też nie był wywiedziony z lektury, czy cudzej opowieści, był raczej solidnie ufundowany na obserwacji. I nie, nie śniła się tym razem zima, lecz modelowy i nienaganny zmierzch albo dogasający zachód słońca – drżący w ciemno-miodowym przygaszeniu, mocny w zielonych błękitach, akcentowany nieodpartą czerwienią; zrodzony, nie stworzony, dla fotografa. Stałem w tym śnie i czekałem na właściwy moment, by nacisnąć migawkę. Czy właściwy moment to moment wieczny? Czy moment decydujący, który przestał istnieć? Tego nie rozstrzygnę. Na pewno nie teraz – cały pogrążony we śnie, w którym czekam cierpliwie, choć tym razem jest trochę inaczej, coś się zmieniło, bo rozpoznaję, gdzie jestem... Stoję mianowicie przed taflą nieruchomej wody, na której gładkiej toni siadają owady i w której odbijają się przelatujące jaskółki. Woda jest ciemno-turkusowo-szara i oddziela mnie od imponującego bryłą budynku Muzeum Nauki w Walencji. Po najdłuższej chwili w tym idealnym układzie najbardziej koniecznych elementów pojawia się pożądaný ruch – przechodzić, niezbędny, aby fotografia była potem godna pamiętania na długo. Ale trzeba najpierw tego przechodnia zatrzymać w bursztynie tej jedynej, niepowtarzalnej i jednej pięćsetnej sekundy – dziś nie będzie to trudne: światło jest wprawdzie przygaszone, lecz wystarczająco mocne, przysło-na odpowiednio przymknięta. Rozpoznaję, że to mężczyzna. Idzie, chwając się lekko w kapeluszu z szerokim rondem po przeciwnej stronie, tworzącej niemal poziomy horyzont, oddzielony basenem od miejsca, w którym jestem. Jest to-readorem. Ma butelkę w ręku. Zbliża się do najlepszego kompozycyjnie punktu; jeszcze chwila, moment, błysk słońca na szkle, niepełna sekunda – i świat nabierze sensu, jeszcze krok, dwa – już! I w tym momencie, decydującym o przeznaczeniu, losie, żywocie wiecznym, naciskam spust migawki; raz, drugi, trzeci, ale ona

nie działa, zepsuła się, padła. Zatem moja najważniejsza w życiu fotografia nie powstanie – wiem jednak, że byłem blisko; i mam też takie przeświadczenie, że najważniejszych w życiu fotografii nie udaje się zrobić, tak jak nie daje się napisać najważniejszych wierszy, co przecież nie znaczy, że nie istnieją. Przeciwnie. Są. I to one są w sztuce najważniejsze, ale też – trzeba sobie na nie zasłużyć: myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Staram się i dziś wyjść im naprzeciw, pisząc niniejszy tekst na jawie, która nade mną i moją *pismo-myślą* – pomimo, że rozpisana na fiszkach – panuje, popychając moje zdania według własnej wizji lokalnej lub nie mojego uznania. Bowiem nie okłamuję tutaj nikogo poza sobą, kiedy piszę prawdę, że w 1952 roku, na szesnaście lat przed urodzeniem, stałem w lecie za Robertem Frankiem na plaży w Walencji, nie wiedząc jeszcze, że będzie mi później cały czas, przeszły i teraźniejszy, chodziło w życiu o cały świat, wyśniony i żywy. Tak. Cały. Kolorowy, jak to pocziwe osiedle, na których się wychowałem; pijany lub głośny, jak idąca ulicą orkiestra dęta – albo całkiem niemy, jak ten chłopczyk z otwartą buzią na brzegu morza, siedzący w pielusze na drewnianym kucyku, który go wciągnął do grobu.

Nie tak znowu dawno temu, bo przecież miało to miejsce zaledwie sześćdziesiąt cztery lata temu (proszę mi wybaczyć słabość, polegającą na chwaleniu się tutaj umiejętnościami obliczeniowymi mojego zakurzonego kalkulatora), wiosną 1958 roku, Mao Zedong, obdarzony ograniczoną czasowo, chociaż pełną, skuteczną tudzież nieprzereklamowaną nieśmiertelnością, jako najważniejszym oraz niepodlegającym dyskusji atrybutem władzy doczesnej i zwierzchniej, przewodniczący Komitetu Politycznego KPCh, po ukończeniu lektury trzynastego (i ostatniego) rozdziału traktatu Sun Tzu, wypowiedział wojnę wróblom. Śmiertelną. Wedle przewodniczącego wróble na dachu uznano za szkodniki niszczące uprawy i postanowiono zgładzić, lekceważąc fakty dokonane – bowiem im mniej ich było, tym więcej namnażało się w Republice Ludowej owadów, które – żadna to tajemnica – były przyczyną zagłady upraw, krwawych żniw, śmierci milionów ludzi. Ale oto kalkulator znowu interweniuje i wie dzie na pokuszenie („jaki kraj, tacy terroryści”), będąc nie tyle prymitywną, co konserwatywną odmianą sztucznej inteligencji, prenoachidzką *artificial intelligence*. „Kiz dziadzi?” – pyta stary mistrz, bo nie zaznał spokoju w grobie. Bo kalkulator przypomina, złośliwie wtrącając się do tekstu, ikoniczne oblicze Mao, tym razem reprodukowane na plakatach, murach, podkoszulkach, replikowane w szarej strefie od Sartra do Foucaulta, od inżyniera dusz do studenta na ulicy i w parku, i przypomina najpiękniejsze hasło, głodne świata, chwalebne i poetyckie, które dziesięć lat po

wybuchu ptasiej wojny w Chinach smarowane było farbami na murach Sorbony i w sercu Nanterre, a które przypomniał mi bez udziału woli przyjaciel, odzyskany po latach – jak ja urodzony w 1968. Biegłem z nim bez ruchu przez ciemny wstęg do najciemniejszego snu w kowidowej mgłę naszej biednej epoki, *movens sine motu*, chociaż po innej stronie muru, usiłując, jak on, nie wpaść pod ciężarówkę z gruzem, zwożonym z okopów Świętej Trójcy do planowanego muzeum. Kiedy on, w słusznej sprawie, wdrapywał się na rusztowanie i rzucał kamienie, ja, podziwiając jego intuicję oraz zdeterminowanie, połykałem w bezpiecznej odległości słodki na dystans popiół z wierszy, bo „niewolnicy wszędzie i zawsze niewolnikami będą – daj im skrzydła u ramion, a zamiatać pójda ulice skrzydłami”. Tak. Każda metafora załamuje się w eschatologicznym śledztwie, ale byliśmy realistami i żądaliśmy, na różne sposoby, niemożliwego, co nie znaczy, że wyrażam na pograniczu tej jawy i tego snu pośmiertną zgodę na odmienianą dzisiaj przez wszystkie przypadki „tolerancję represywną”, przeciwnie, choć przyznaję się bez śladu pałki na grzbiecie, że niektóre z opowiadań Cortazara (wraz z jedną powieścią) nadal się bronią w pięknie. Lecz przede wszystkim pisze mi się o tym dlatego, że czuję, iż pismo zaraz nadawać będzie w zepsutym odbiorniku radiowym mojej enuncjacji pieśń, która nie zdąży ujść cało – o Szanghaju, prezydencie w Paryżu i drobnym pikusiu, *excusez-moi, s’il vous plaît* – homo deusie z dna eugenicznego szamba. A zatem – czytelniku, do dzieła!

Słyszę w sobie dziwny śpiew,
To tak śpiewa nasza krew.
Chamska, dzika i śmierdząca,
Ale za to tak gorąca,
Że jej wszystko, ach, przebaczą,
Jeszcze po niej, ach, zapłaczą!

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Szewcy

Wczorajszy szum tła, uporczywy i monotonny, zamienił się przez prawie trzy ostatnie lata od początku świata według eschatonu Klausa Schwaba, najbardziej wpływowego psychopaty pod słońcem, w dzisiejsze wycie syren alarmowych. Wyją te syreny, aż pękają szyby i lecą na ulice, pękają bębny, odpadają z nami z gry, jak sprawdzone wartości, lecą nam na głowy lawiny informacji i dezinformacji, faktów, głębokich, płytkich czy zwykłych *fake’ów*, biegną nam po plecach jak dreszcze stada w owczych skórach i mnożą się nam na trzeźwym widzie czaszki

i piszczecie, świecą jasną cholerą w postpeerelowskie oczy, jak elokwentnie uładzone myśli formułowane przez zbaraniałych mędrców, okręcających się dla bezpieczeństwa drutem kolczastym pod napięciem. A przecież wieszcz uczuła: plwajcie na trolli i stąpajcie do głębi! Pewnie i on chciał nam wcisnąć kit i wydrukowaną na drukarce lipę. Dobrze, ale czy Państwo wiecie, że naukowcy właśnie odkryli mikroplastik w płucach i jelitach (ludzkich)? To postęp, niewątpliwie! – do-tąd był tylko w skrzelach (rybich)! Zgadnijcie, skąd się tam wziął w ciebie z ducha? Spadł z księżycy, jak ciasny but siedmiomilowy? Otóż tak! – brawo! Górą maseczki! Mają Państwo w nagrodę ruski gaz w palniku, wykupiony na kartki kredytowe zdobyte pod Berlinem! Ostrzegam, zmieniamy tonację, będziemy nadawać na innej fali, poważnie, bo nie wypada błaznować na pogrzebie. Spora orkiestra dęta, jak po huraganie w Nowym Orleanie, idzie ulicą. Słysząc ten żałobny jazz i pod moimi oknami, gdy w chwili nieobecnej połyskuje żółto-granatowe niebo, zwiastując opad czarnego śniegu na Wielkanoc. Ludzie nam umierają. Serca pękają. Przedszkolaki chorują na wątrobę i mają zawały. Raka ci u nas, panie, jak na zawołanie – w bród, można przed wyborem grymasić. A wylewy? A owrzodzenia? A mgliste zwidy na balu w operze pt. *Bild Back Better*, odbywającej się na elizejskim przedpolu? (Jest taka metoda: „tańca i młota”, wymyślona na tylnym siedzeniu ekologicznego auta, które jeździ w kółko, jak fryga na krew niewiniątek wydrapujących pazurami lit i kobalt ze skały, bo obniżyć trzeba temperaturę gorączkującej planecie). Koincydencje czasowe ustępują pola ponadczasowym powikłaniom. Spoglądam na to ze spokojem, niczym truposz, rozważający zgodną z aktualną koniunkturą tożsamość płciową i dzielę się swoją radością z szafy: „mam wegański pasztet”! A wszystko to (bo mamy winnego) sprawił Mark Timothy Pittmann – *US District Judge of Northern Texas*. Bo nakazał firmie Pfizer 6 stycznia 2022 (bez kalkulatora) opublikowanie danych przesłanych uprzednio do amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków (FDA), a dotyczących najlepszego eliksiru na COVID-19 w przyspieszonym trybie, ponieważ dane, obejmujące czterysta pięćdziesiąt jeden tysięcy stron (strach się nie bać) dokumentacji, zostałyby bez tej interwencji ujawnione w tempie nie większym niż po pięćset miesięcznie, co zajęłoby siedemdziesiąt pięć lat, więc zdążylibyśmy zapomnieć o sprawie, Budyniu, który robił trala la la, Ani z Krakowa, Wojtku z Czernichowa, z którym siedziałem przez pomyłkę w ławce – a tak sędzia się odważył (będziemy pamiętać ten wykon!) i nakazał wydawać Pfizerowi po pięćdziesiąt pięć tysięcy

stron miesięcznie. Dwie transze ujrzały już światło dzienne. Wiedzieć albo nie wiedzieć – oto dziś pytanie. Ale to jeszcze nie koniec pieśni. *Ce n'est pas fini*.

„Biontech [firma należąca do koncernu Pfizer – A.Sz.] musiał przyznać przed Amerykańską Komisją Papierów Wartościowych i Giełd (SEC), że skuteczność jego obecnej szczepionki na koronawirusa może nie być wystarczająca do stałego zatwierdzenia przez organy regulacyjne: »Możemy nie być w stanie wykazać wystarczającej skuteczności lub bezpieczeństwa naszej szczepionki COVID-19 i/ lub preparatów specyficznych dla wariantów, żeby uzyskać stałą zgodę organów regulacyjnych USA, Wielkiej Brytanii, UE, lub innych państw, w których szczepionka została dopuszczona do użytku w nagłych wypadkach, lub w których wydano warunkowe pozwolenie na dopuszczenie jej do obrotu«”.

Dennis Austinat, *Biontech: skończona impreza? wallstreet:online, 20.04.2022*

Bo mamy do czynienia z ewidentnym przyspieszeniem o charakterze strategicznym. Bo jest tak, jakby ktoś się napiął, zaparł, nie wypiął i przy tym – nie pękał, ażeby jak najszybciej dopiąć swego; albo jakby ten *clown world* (taki *terminus technicus* – wiecie?) był bezustannie popychanym w złym kierunku – ale już nie przez oślepiętego Cyklopa, którego pozytywny heros wystrychnął na dudka, a kabałiści zaprosili do okrągłego stołu na obrady połączone z libacją... Bo wprowadzić można się w tym jakoś z biedą połapać, ale napisać o wszystkim, co się dzieje na linii frontu, poruszającej się ruchem wahadła albo jak dobrze naostrzona kosa we wprawnych rękach, już gorzej. Palenie albo zdrowie – wybór jest indywidualny, zważywszy, że nie chodzi o palenie, ani zdrowie, chociaż to temat dominujący w narracji. Jego ochronie służyć ma *Międzynarodowy Traktat Antypandemiczny*, nad którym wyłożone prace już trwają. Spokojnie. Bo już niedługo szef Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), Tedros Adhanom Ghebreyesus – nieocenione są jego zasługi dla ojczystej Etiopii – dobrą nowinę ogłosi. Bo serce rośnie, kiedy się go widzi uśmiechniętego, jak z wdziękiem promuje najnowsze dzieło Billa Gatesa, trzymając je jak niemowlę na kolanach – *How to Prevent the Next Pandemic*. Powtórkę z rozrywki mamy więc zaklepaną. I chwała Bogu! Bo już myślałam, że tylko Ursula von der Leyen, nasza umiłowana pani, nie mająca osobistych kontaktów z Albertem Bourlą z Pfizera, która dzielnie żadnej płynącej z najczystsze go miłosierdzia wymiany smsów za plecami opinii publicznej o miliardowych kontraktach na eksperymentalne preparaty genowe, których, mimo że KE od niej tego zażądała, nie ujawniała (i słusznie, czas się zmienić i co innego ważne, zaś kto czyni

dobro, nie powinien się afiszować), ma nas w opiece. Więc ona nas, jak matka rodzona, niedawno ostrzegła, że nie, to nie *fini*, że nowa formuła i inna definicja, że zhora wraca, ona widziała, że idzie, a z nią na jesień średniowiecza: *lock-down*, maska, wymaz, głód, respirator, Łysenko, Kill Bill, spocony jak szczur teść, ksiądz, zaklejony grubas i zakorkowana kioskarka. I zaśpiewała donośnie, jak na stan wojenny Siekiera: „idzie wojna, idzie wojna, idzie krwawa rzeź, robol gwałci krokodyla, kozę gryzie pies”. Bo to nie przelewki, kiedy ona, Ursula słowo daje. Ale na szczęście widać, że w Białym Domu protagonista w łagodnym mundurze (niebieska koszula, czerwony krawat) rozwija relację USA do traktatu WHO. To Ashish Jha, doradca prezydenta Bidena do walki na śmierć i życie z oficjalnie uznaną odmianą grypy, mówi na konferencji prasowej, że „Ameryka odda swoją suwerenność narodową i pozwoli Światowej Organizacji Zdrowia zmienić konstytucję na czas przyszłej pandemii”. Dla dobra świata! Rewelacja! Prawie tej samej wagi, jak fakt, że minister obrony USA, Afroamerykanin Lloyd Austin, przesiadywał latami w radzie nadzorczej koncernu zbrojeniowego Raytheon... Bo Europę porwaną przez Zeusa czeka za chwilę ta sama mitologia. Na szczęście! Jakże pokrzepiająca to niewiedza! Bo WHO jest sponsorowane w głównej mierze przez Xi Jinpinga, kartele farmaceutyczne oraz Fundację Melindy i Billa, a ci wiedzą, co czynią, w przeciwieństwie do ludzkiej masy upadłościowej, poruszającej się po bezdrożach mylnych błędów i wpychającej wielbłądy z waty w ucho igielne, bo przecież się nie dowiemy, czy aby mamuty nie wyginęły na katar.

Chińczycy pokazują nam dobrze, jak z podniesioną przyłbicą stanąć na wysokości zadania. W Szanghaju drony kontrolują mieszkańców, czy nie wychodzą na balkon; trzy razy w tygodniu ponad dwudziestu jeden milionom ludzi wsadzany jest patyk w nosogardziel na świadectwo; jeśli dron cię na balkonie przyłapie, to automatycznie namierza z rysów twojej twarzy, jaki masz numer konta; i nie dość, że od razu potrąca ci mandat, to jeszcze dostajesz punkty ujemne w tzw. punktacji społecznej (której żądamy w Europie, ażeby wreszcie zapanował tutaj ład i porządek – projekt pilotażowy właśnie wystartował w Bolonii) za braki w subordynacji i nie będziesz mógł sobie kupić przez miesiąc upragnionej miski ryżu, której moc sprawczą wynoszą pod niebiosa w innych, wydawałoby się, odmiennych kulturowo kręgach przy lampce – a bo ja wiem? – *Château Pétrus* podczas podwieczorków przy mikrofonie. Bo testy PCR wykonuje się w Szanghaju także martwym rybom i kurom, zanim trafią do zupy, mało tego, osobom z pozytywnym testem odbiera się koty i psy, które wsadzane są do worków, jak śmieci,

aby w ten prosty sposób wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu. Dzieci odbierają rodzicom i patrolują ulice roboty-psy. Dystopia? Otóż nie – teoria spiskowa. Prerażeni skaczą z okien, odczłowieczeni wyją po klitkach mieszkalnych, jak opętane, hakowalne zwierzęta w klatkach, ale poza małymi wyjątkami, robią najgrzeczniej pod siebie, co też się im odgórnie nakazuje, radzi z porcji zgniłej kolacji dostarczanej przez administratorów tego oświatowego programu. *Trailer* tego chińskiego syndromu obejrzelśmy już na początku roku w Kanadzie pachnącej żywicią, chociaż raczej przychyliam się tu do opinii przedmówców, że był to jedynie początek końca drugiego aktu identycznego przedstawienia w teatrze *The New Globe* – i to w czterech aktach pt. Αποκάλυψη. Jakby ktoś nie jarzył, bał się zajarzyć albo dawno nie był na spektaklu, to (w kolejności) akty zatytułowane są tak:

ZARAZA – WOJNA – GŁÓD – ŚMIERĆ.

Śmiało! Bo przecież ten jeden jedyny procent populacji, który ma nas wszystkich w kieszeni i chce mieć każdego z osobna, niestrudzenie dąży do opatentowania naszej formy fatum, czyli DNA. Chętnie posiłkuje się, robiąc nam przyszłość, hollywoodzkimi produkcjami, jak *Twelve Monkeys*, *Minority Report* czy *In Time* (przykłady z brzegu) i czyta, ano tak, czyta po łebkach i czyta wnikliwie, teksty kanoniczne dla naszej (łacińskiej) kultury, wprowadzając je wedle własnego widzimisię w nagie, z dnia na dzień coraz mniej już nasze życie. Bo tutaj nikt się z niczym nie kryje! Wszystko jest jawne, dlatego trudno uwierzyć, kiedy się samemu nie zna melodii, boi własnego cienia i odrzuca fakt, że najciemniej jest pod latarnią. No bo jaka jest Twoja, czytelniku, pierwsza reakcja, kiedy dowiadujesz się ode mnie, że profesor Klaus Schwab, z którym Henry Kissinger zakładał pięćdziesiąt lat temu (z kalkulatorem) *World Economic Forum*, podczas ostatniego *World Government Summit* w Dubaju (trzydzieści dni temu), wszystko wie: że będzie *clash* mocarstw; że będą zerwane łańcuchy dostaw (proszę spojrzeć np. na zdjęcia satelitarne portu w Szanghaju); że idzie kolejna zaraza, a z nią wielki kryzys i wielki kryzys żywnościowy (spokojnie, wedle Rajiva Shaha, prezydenta *The Rockefeller Foundation*, mamy jeszcze sześć miesięcy luzu) – taki wspierany cybernetycznie (*major cyberattack* to konik Klausa – uwaga: aluzja!) współczesny Голодомор (gdyż wojna i sankcje, bo ceny ropy, ptasia grypa, bo wywoływane niedobory nawozów, bo Wielka Brytania i Stany już opłacają rolników za nieprodukowanie żywności, a Kanada produkowanie zbóż uznaje za stojącą w sprzeczności z klimatyczną agendą, ponieważ pożary w fabrykach przetwórstwa produktów

rolnych... no, to jaka jest Twoja reakcja na to, najdroższy czytelniku, że miesiąc temu mówił ci o czipowaniu ludzi (ulubiony *sujet* Schwaba) dla ich dobra z tej samej ambony w Dubaju (podczas *World Government Summit*), albo gdy w tym samym miejscu mowa była o tym, że likwidacja gotówki to konieczność dziejowa, w ramach której będziesz płacił za ogórki, jeśli te będą, buraki, wegańskie mięso, ono będzie na trzysta procent normy, i deputat białkowy plus pod postacią jadalnych glizd (wkrótce na Ryneczku Lidla – zapraszam na stronę *World Economic Forum*), cyfrową walutą kontrolowaną przez światowy bank centralny – wydzielaną ci na podstawie dowodu osobistego z QR kodem i balansowaną twoją postawą społeczną (omawiała to dr Pippa Malgrem – jeśli nie wiesz, kim była i jest, sprawdź). No więc – jak reagujesz? Jak oceniasz? Poeci to świry? ale temu to już odbiło na maksa? Bo nie zweryfikuje ci tego Twoja „Trybuna ludu”, w której się nie podaje, że Justine Trudeau, premier Kanady, dzięki któremu prezydent Wołodymyr Zełenski, z czym się nie kryje, w ogóle postanowił wejść w politykę, jego nauczyciel, mistrz oraz przyjaciel, zamroził konta bankowe uczestników tudzież osób wspierających ogólnokrajowy Protest Kierowców Ciężarówek w styczniu, który się odbywał przeciwko obowiązkowi wakcynacji? Protest był imponujący, ogromny, ale informowały o nim uczciwie jedynie media niezależne. (Przed samym zamrożeniem kont, składki wpłacone na wsparcie protestujących, również zostały przywłaszczone przez państwo – w ramach lekcji poglądowej do pierwszego przykazania z tablicy *Agendy 2030*, przypomnę: „Nie będziesz posiadał niczego i będziesz szczęśliwy”). Odbiło się to wszystko, to rzecz oczywista, jak fakt, że mówimy prozą, w ramach obrony imponderabiliów. W tych samych ramach, wybrany na prezydenta Francji (zaledwie tydzień temu, tym razem również: bez kalkulatora, na powtórnią pięcioletnią kadencję) Emmanuel (*attention*: imię nacechowane semantycznie!) Macron zaraz po wyborach, w pierwszym niejako odruchu wdzięczności za ich wynik, wprowadził wolnym obywatelom République française digitalowe dowody osobiste, *identification numérique*... Francuzi, naród rewolt, ba, rewolucji, który stworzył niebywałą kulturę, już nawet nie próbuje bronić bagietki, wina, sera i sałaty – od razu chce wpaść w otwarte ramiona (bracia! kochani, nareszcie!) filantropów z platformy Metavers, będącej własnością praktykującego dobro pod każdą postacią wiecznego studenta albo brata łąty – Marc’a Zuckerberga? Bo tzw. platformy społecznościowe to niezwykle istotny tudzież niezbywalny element, na którym wspiera się IV Rewolucja Przemysłowa (z dużej litery, a jak?) – tak kluczowy, jak inteligentny pył na butach w drodze do celu,

którym był, jest i będzie internet w charakterze nowego nieba, łączący ciała w komunii, może nawet: dusze. (Ale mu odważyło!) Bo wszystkie drogi prowadzą do Davos, gdzie ludzie dobrej woli mają prowizoryczne biuro prasowe przyszłego *World Government*, w którym akredytuje się *Global Young Leaders* – i nie tylko, ważne, że są sanitarystami, jak Draghi, Macron, Trudeau, Baerbock, Lindner, Scholz czy moja ulubiona Jacinda z Nowej Zelandii. Ba, sama przewodnicząca Komisji Europejskiej jest po dobrej stronie wolnych ludzi: „Panie i panowie! Konieczność globalnej współpracy, a także to przyspieszenie zmian będą motorem Wielkiego Resetu. Postrzegam to jako bezprecedensową szansę” – zapewniła w Davos (znów: bez kalkulatora) w 2021. Jak to działa? Ano hula, na całego! We Francji zniesiono obowiązek noszenia masek chirurgicznych po bulwarach, ale dalej zdecydowana większość nosi je z dumą na twarzach. Podobnie w Niemczech, choć tu obowiązują inne normy. Bo doszło wreszcie do ludzi, że te rozkładające się 400 lat symbole osobowości i wolności jednostki chronią wszystkich przed zarazą, bez wyjątku i bez żadnego dowodu naukowego, że chronią – nie tylko ciężarnych mężczyzn przed klimatycznymi zmianami.

„Najlepszą metodą wszczepiania jakiejś idei w duszę tłumu jest twierdzenie, wolne od wszelkiego rozumowania, pozbawione wszelkich dowodów i nie liczące się nawet ze znaną tłumowi rzeczywistością. Im myśl zawarta w stwierdzeniu jest bardziej zwięzła, im bardziej pozbawiona pozorów uzasadnienia dowodu, tym większy zdobędzie autorytet, tym silniej oddziała na uczucia tłumu. Tą drogą postępowały wszelkie religie i kodeksy. Wartość twierdzenia zna dobrze każdy mąż stanu powołany do obrony pewnych spraw i każdy przemysłowiec reklamujący swe towary.

Twierdzenie dopiero wtedy wywrze pożądany wpływ, kiedy będzie ustawicznie powtarzane w tej samej formie. Napoleon mówił, że jest tylko jedna dobra figura retoryczna: powtarzanie.

Dzięki powtarzaniu wypowiediane poglądy przenikają do duszy tłumu, a w końcu, czy są rozumiane, czy nie, zostają uznane za prawdę nie podlegającą dyskusji. Jeżeli dostrzegamy, jaki wpływ ma powtarzanie na ludzi wykształconych, to jasno sobie zdamy sprawę z tego wpływu na tłum. Dzieje się tak dlatego, że metodą ciągłego powtarzania dany pogląd wrasta głęboko w te sfery nieświadomości, w których powstają motywy naszego postępowania. Po pewnym czasie zaczynamy wierzyć w ustawicznie powtarzane zdanie, bez względu na to, czy wypowiedział je człowiek świątły czy głupi. [...]

Skoro pewne twierdzenie powtórzono odpowiednią ilość razy, zwłaszcza gdy to powtarzanie zyskuje zgodę większości zainteresowanych, wówczas powstaje tak zwana opinia publiczna, pojawia się potężny mechanizm zaraźliwości. Idee, uczucia, wierzenia, poglądy, itd., nurtujące tłum, mają taką zaraźliwą moc, jak najbardziej zaraźliwe bakterie. Zjawisko to obserwujemy już u zwierząt, gdy są w gromadzie. Kiedy jeden koń zaczyna w stajni gryźć żłób, wszystkie inne zaczynają czynić to samo, a niepokój, jaki ogarnia kilka owiec, szybko opanowuje całe stado. To samo odnosi się i do tłumy ludzkiego, w którym wszystkie uczucia stają się bardzo szybko zaraźliwe; na tej podstawie tłumaczymy nagłe wybuchy paniki, powstające często bez żadnego powodu. Zaburzenia psychiczne, takie jak obłąd, też są zaraźliwe. Wiadomo przecież każdemu, że lekarze chorób nerwowych bardzo często zapadają na nerwy. Stwierdzono też niedawno, że niektóre choroby psychiczne, np. lęk przestrzeni, przenoszą się z człowieka na zwierzę.

Aby zaraźliwość opanowała gromadę, niekonieczne jest przebywanie jednostek w jednym i tym samym miejscu. Zaraźliwość działa też na odległość, np. wtedy, kiedy ludzie pod wrażeniem jakiegoś wydarzenia zaczynają zwracać swoje umysły w jednym kierunku”.

Gustaw Le Bon, *Psychologia tłumu*, przełożył Bolesław Kaprocki

Jesteśmy zwarc i gotowi przyjąć każde obezwładniające uderzenie. Ale nie śmiesz nas, jak nie śmieszyły programy i filmy Monty Pythona, że to Amerykanie zaszli najdalej w realizacji orwellowskiego scenariusza, powołując dnia 22 kwietnia 2022 w ramach Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Radę do Spraw Dezinformacji (*Desinformation Governance Board*), czyli, mówiąc językiem autora *Folwarku zwierzęcego* – Ministerstwo Prawdy. W jakim celu? Jasnym, rzecz oczywista i jasna. Widać to dobrze na przykładzie już choćby tej jednej wypowiedzi Niny Jankowicz, dyrektorki wykonawczej tej nowo powołanej instytucji: „wyśmiewanie w sieci wiceprezydentki Kamali Harris jest zagrożeniem dla demokracji oraz bezpieczeństwa narodowego”. Jak się domyślam, pojęcie dezinformacji jest w ujęciu urzędu tworem semantycznie otwartym, dynamicznym, bez definicji i podlegającym zewnętrznym fluktuacjom. Nina Jankowicz liczy sobie (na pewno bez kalkulatora) trzydzieści trzy lata i jest uznaną na międzynarodowej arenie specjalistką od dezinformacji w jakże złowrogim i subwersywnym, szczególnie dla wolności słowa, necie. Była doradczynią Ministerstwa Spraw Zagranicznych Ukrainy, którą to funkcję sprawowała nie tak dawno temu jako stypendystka prestiżowego

programu *Fulbright Public Policy*. Nie każdy tak ma! Zabłysnęła jednak najjaśniej całkiem niedawno – i to nie publikując książkę *How to Be a Woman Online*, która właśnie się ukazała, lecz za sprawą brawurowego występu w smartfonie na platformie TikTok, czyli: tym serwisie społecznościowym skoncentrowanym na wideo, którego właścicielem jest firma ByteDance Ltd. („proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”) z Chińskiej Republiki Ludowej, który poszedł w świat i gdzie z kempową brawurą odśpiewała swoje (urzędowe) i dezinformacyjne *credo* na nutę z filmu muzycznego pt. *Mary Poppins*. (Bo *we can!*). Czy Ministerstwo Prawdy otwarto na oścież w odpowiedzi na zakup Twittera przez Elona Muska, który zaczął uczyć *humanoidy* poematu Maxa Ehrmanna? А чёрт его знает! (Yes, *we can!*). W każdym razie, słuchając, jak podskakuje żwawymi rymami głos dzierżącej ciężką teczkę z prawdą Niny na broodwayowskiej nucie („*Information laudering is really quite ferocious / It’s when a huckster takes some lies and makes them sound precocious*”), pozostaje mieć nadzieję, że to część perfidnego planu, bo jeśli spontan, to gorzej.

Zamiast wiatru i gwiazd

Gdy mam przed sobą na biurku *Wiersze zebrane* Zbigniewa Herberta, przychodzi mi na myśl *Drewniana kostka* z tomu *Studium przedmiotu*, którą opisać można tylko z zewnątrz, więc jesteśmy „skazani na wieczną niewiedzę o jej istocie. Nawet jeśli ją szybko przepołowić, natychmiast jej wnętrze staje się ścianą i następuje błyskawiczna przemiana tajemnicy w skórę. Dlatego niepodobna stworzyć psychologii kamiennej kuli, sztaby żelaznej, drewnianego sześcianu”. Niepodobna też stworzyć psychologii Herbertowskiej poezji. Toteż moja lektura *Wierszy zebranych* Herberta to – mówiąc słowami poety – cichy płacz na dwoje oczu. Jak bowiem zmieścić w sześciu tysiącach znaków wszechświat poetycki Herberta, gdy o każdym jego wierszu można napisać esej, a i tak byłby to esej o ścianie? Jak pisać recenzję o poezji, która doczekała się bezliku analiz i stanowi niezbywalną część polskiej tradycji literackiej? Należy skupić się na tym, co czyni tę książkę wyjątkową, wiedząc, iż ton wierszy Herberta i brzmienie narzędzi filologicznych użytych przez Ryszarda Krynickiego składają się na fascynujący koncert na lirę i *viola*

d’amore, tworzą dyskretny dialog na dwa oddechy.

Pełny tytuł książki brzmi *Wiersze zebrane. Wydanie nowe*, stanowi bowiem nową, nieco zmodyfikowaną wersję z roku 2008. Ryszard Krynicki w nocie *Od wydawcy* pisze, iż w tym wydaniu starał się przede wszystkim poprawić dostrzeżone błędy druku w oparciu o autografy poety, czyli nie tylko rękopisy, ale też korygowane przez Herberta maszynopisy oraz wydruki komputerowe. Miarę edytorskiej odpowiedzialności i godnej podziwu sumienności najlepiej obrazuje cytat z noty Krynickiego: „Czasami potrzebowałem wielu lat, żeby odważyć się na wprowadzenie nawet drobnej korekty do kanonicznych już tekstów, jak na przykład robię to teraz w wierszu *Do Marka Aurelego*, jednym z wielu szczególnie dla mnie ważnych utworów Zbigniewa Herberta”. Owo wieloletnie wahanie dotyczyło słów: „i znów” – czy mają stać na początku następnego wersu, jak się przyjęło, czy też powinny się znaleźć na końcu wersu wcześniejszego, jak podpowiadała Krynickiemu edytorska intuicja? Jej potwierdzenie znalazł edytor w wydanych przez Barbarę Toruńczyk listach Herberta i Henryka Elzenberga, któremu poeta wysłał

ten wiersz, a potem w rękopisach w archiwum. Ale nawet mając tak niezbite dowody słuszności edytorskich racji, Krynicki zwlekał z wprowadzeniem tej poprawki aż do nowej edycji *Wierszy zebranych* – sześćdziesiąt pięć lat po ukazaniu się pierwszego wydania tomu *Struna światła*.

Dla tak zwanego zwykłego czytelnika tego typu rozterki edytorskie mogą się zdawać przesadne lub niepotrzebne, bo czy odgrywa jakąś rolę w interpretacji wiersza różnica między „cóż nam – na wietrze drzeć / i znów w popioły chuchać mącić eter” (dawna wersja) a „cóż nam – na wietrze drzeć i znów / w popioły chuchać mącić eter”? Sens się nie zmienia, ulega zmianie melodia wiersza, jego rytm, silniej zostaje zaakcentowane wyrażenie przyimkowe „w popioły”. Ale bywa, że dwa słowa naprowadzają egzegetę na właściwy trop interpretacyjny. Píše o tym dobitnie Jan Błoński w szkicu *Tradycja, ironia i głębsze znaczenie*, analizując wiersz *Pięciu* z tomu *Hermes, pies i gwiazda*. Warto przytoczyć ten utwór, by tym bardziej docenić spostrzegawczość krytyka:

o czym mówiło pięciu
w nocy przed egzekucją

o snach proroczych
o przygodzie w burdelu
o częściach samochodu
o morskiej podróży
o tym że jak miał piki
nie trzeba było zaczynać
o tym że wódka najlepsza
po winie boli głowa
o dziewczynach
owocach
o życiu

a zatem można
używać w poezji imion greckich
pasterzy
można kusić się o utrwalenie barwy
porannego nieba
pisać o miłości
a także
ze śmiertelną powagą
ofiarować zdradzonemu światu
różę

Owo „a zatem” stanowi – zdaniem Błońskiego – punkt, w którym powojenna poezja polska zmienia tonację z katastroficzną – znaczonej nazwiskami Baczyńskiego, Różewicza i Borowskiego – na pogodzoną z obrotami losu, nawiązującą do tradycji śródziemnomorskiej i jej klasycznych rekwizytów.

Wróćmy jeszcze do zacytowanych linijek z wiersza *Do Marka Aurelego*. Krynicki w przypisie informuje, że w wersji wysłanej Elzenbergowi linijka trzynasta brzmiała: „cóż nam – na wietrze mrzeć i znów”, czyli zamiast obecnego „drzeć” stało „mrzeć”. Podobnie było w brulionie, gdzie słowo „mrzeć” zostało nadpisane nad przekreślonym słowem „drzeć”, które to słowo zostało przywrócone w wersji ostatecznej. „Porównanie wersji z Nt. 32 [Notatnikiem 32] – oddaję głos Krynickiemu – z wersją wysłaną Elzenbergowi może sugerować, że w czasie przepisywania na maszynie wersy trzynasty i czternasty zostały zapisane pomyłkowo”. W nowym wydaniu *Wierszy zebranych* mamy rzecz jasna zapis właściwy.

Skoro tak dużo mówię o samej edytorskiej stronie wiersza *Do Marka Aurelego*, jednego z najważniejszych, najpiękniejszych polskich wierszy nie tylko dla

Ryszarda Krynickiego, nie mogę pominąć opinii o tym utworze Kazimierza Wyki, który w artykule *Składniki świetlnej struny* ogłoszonym w 1956 roku na łamach „Życia Literackiego” (nr 42) napisał: „Przecież to Jastrun. Bardzo czysty Jastrun z ostatnich lat przedwojennych, autor *Dziejów nieostygłych* oraz *Strumienia i milczenia*. Identyczny jest sylabotoniczny, w danym wypadku jambiczny tok wersetu, wydłużony o jedną sylabę w wierszach o rymach żeńskich, również identyczne katastroficzne obrazowanie: obce niebo, ciemny lęk, kruchy ląd, żywiołów nurt, chuchać w popioły – i tak dalej”. Zdumiewa bezradność wybitnego krytyka wobec wybitnego wiersza.

Gdyby mi przyszło powiedzieć dzisiaj, gdy na ołtarze wynosi się żołnierską zwięźłość, jak jednym zdaniem zdefiniować poezję Herberta, wziąłbym wers z wiersza *Napis*: „we mnie jest płomień który myśli”. To zdanie trójkąt, zdanie rozpięte na trzech wierzchołkach, którymi są poeta, płomień i myśl. Tylko w duszy poety zachodzi proces alchemiczny, wskutek którego płomień rodzi myśl, innymi słowy: ogień zamienia się w lód. Poeta dokonuje niemożliwego: jedna przeciwieństwa, dlatego *Napis* kończy się strzelistą apoteozą wszystkich poetów: „gdy wyschnie źródło gwiazd / będziemy świecić nocom // gdy skamienieje wiatr / będziemy wzruszać powietrze”. A może wyschło już źródło gwiazd i skamieniał wiatr, lecz o tym nie wiemy, bo istnieją wiersze Zbigniewa Herberta?

Robert Papieski

Zbigniew Herbert, *Wiersze zabrane*. Wydanie nowe, opracowanie edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2021

Być, jak to łatwo powiedzieć

Jedną z częstych form aktywności historyków literatury jest poszukiwanie tzw. autorów zapoznanych. Figura zapoznania może mieć różne postaci, obejmując pisarzy niedocenionych w swoim czasie i zupełnie zapomnianych, lecz także takich, których ranga była niegdyś wysoka, ale spadła za sprawą dekonstrukcji, spowodowanej zmianą gustów, zwrotem w metodologii czy transformacją kulturową. Jeszcze innym przypadkiem są przeciwnie temu modelowi dzieje recepcji twórców, którzy, nieodkryci za życia przez współczesnych, wyrastają po latach, dekadach, a nawet wiekach na ważnych protagonistów lub wręcz koryfeuszy minionych epok. Wreszcie, są również liczne przykłady sukcesu powtórnego bądź spóźnionego debiutantów. Ci pierwsi wdzierają się na literacki Olimp po porzuceniu zdezaktualizowanej konwencji bądź doktryny, ci drudzy zaczynają tworzyć w dojrzałym lub schyłkowym okresie życia, albo piszą przez całe lata do szuflady, dla garstki znajomych czy tylko dla lokalnego środowiska, by dzięki sprzyjającym splotom okoliczności objawić się w glorii na głównej scenie literackiej.

Ów ostatni paradygmat najbardziej chyba pasuje do przypadku Janusza Szubera. Ten, urodzony w 1947 roku, a więc pokoleniowo należący do Nowej Fali autor stał się znany i bardzo szybko także uznany dopiero pod koniec ubiegłego wieku, kiedy dobiegał już pięćdziesiątki. Złożyło się na to kilka czynników. Po pierwsze, sanockie gniazdo rodowe,

miejsce urodzenia, dzieciństwa i licealnej młodości Szubera: odległe od kulturalnych centrów, jak Warszawa czy Kraków, choć przecież niebędące bynajmniej jakimś literackim „niemiejscem”, by przypomnieć pierwszego renesansowego humanistę w Polsce, arcybiskupa i wziętego poetę, Grzegorza z Sanoka, zawałanego adwersarza Sienkiewiczowskiej prozy i austriackiego szpiega, Zygmunta Kaczkowskiego, czy jednego z najwybitniejszych dramaturgów współczesnych i przewodniego gorszyciela normatywnej obyczajowości, Mariana Pankowskiego. Wszyscy oni jednak z Sanoka wyjeżdżali do większych ośrodków w kraju czy za granicą. Janusz Szuber po krótkim pobycie w Warszawie – gdzie dał się poznać jako pilny student polonistyki i dobrze zapowiadający się poeta – do rodzinnego miasta powrócił. Powrócił doń z powodu nagłego rzutu nieuleczalnej i bolesnej choroby, która powodowała pogłębiającą się niepełnosprawność.

I tak owa opowieść w planie ogólnoliterackim mogłaby się zakończyć, zwłaszcza że przez ponad ćwierć wieku Szuber niczego nie opublikował, a i pierwsze tomiki z połowy lat dziewięćdziesiątych ogłosił lokalnie i własnym sumptem. Jednak poprzez łańcuch życzliwych ludzi, krewnych (kuzynki i ciotki), kolegi z rocznika na studiach (Antoniego Libery) oraz jego znajomych po piórze (Stanisława Barańczaka, Wilhelma Dichtera, Pawła Huellego, Bronisława Maja) tak się na szczęście nie stało. Wiersze z legendarnego już dziś korpusu pięciu pierwszych tomików Szubera zyskały entuzjastyczne opinie Zbigniewa Herberta oraz Czesława Miłosza, a ogłoszony w 1999 roku w renomowanym

Wydawnictwie Znak wybór poezji z lat 1968–1997, zatytułowany *O chłopcu mieszkającym powidła*, okazał się prawdziwym przełomem, po którym posypały się najwyższe nagrody literackie, świetne recenzje wpływowych krytyków, artykuły uznanych badaczy, przekłady i publikacje w międzynarodowych antologiach, jak też wieczory autorskie w prestiżowych miejscach. Los dzieła sanockiego poety całkowicie się odmienił, co niestety nie mogło dotyczyć, traumatycznej wskutek choroby, egzystencji. Szubera czekało dwadzieścia lat gruntującego się uznania artystycznego i tyleż samo czasu zmagania z fizycznym cierpieniem. Zmarł 1 listopada 2020 roku.

Wybór wierszy z lat 1969–2020, *Próbuję być*, ogłoszony w minionym roku przez PIW, rodzi nieodparte pytanie o perspektywę tej zamkniętej już twórczości. Jak odbiorcy, krytycy, badacze – ci dzisiejsi oraz ci przyszli – będą podchodzić do spuścizny Janusza Szubera wraz z oddalaniem się momentu odejścia autora? Czy będzie się ją za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat wybierać z księgarskich ofert, wypożyczać w bibliotekach, jak również umieszczać pośród najważniejszych osiągnięć liryki polskiej XX i XXI wieku? Z pewnością są to – jak by powiedział Herbert – „sowie zagadki”. Pożyjemy, zobaczymy, to odpowiemy przenikliwie z perspektywy pójdzki Minerwy, ale co możemy dziś przewidzieć? Sporządzanie korporacyjnej analizy silnych i słabych stron, szans i zagrożeń – nie jest jeszcze powszechnie stosowane wobec poezji. Zresztą, żaden punkt nie byłby w takiej analizie dostatecznie jasnym prognostykiem.

Weźmy kwestię tradycji: Szuber pisał (przynajmniej do chwili debiutu, a chyba

nawet do końca XX wieku) w ustanowionej przez T.S. Eliota, formule modernistycznego klasycyzmu. Zarazem przepuszczał ów ryt przez pryzmat ponowoczesnej (współbieżnej z duchem czasu lub wynikającej z osobistych dyspozycji) ironii. Jego wiersze mają dyskursywny charakter, zaznacza się w nich wyrazisty tok narracji. Jednocześnie nie sposób odmówić im opisowej soczystości, wdzięcznego wykorzystania detali, bibelotów, szpargałów. Można by rzec, iż jest to najlepsza droga do powszechnej i długotrwałej akceptacji – tak idącej po linii Herberta, jak i Miłosza. Więcej nawet – lokującej się zarówno w ciągu estetyki Nowej Fali, jak też nurtu poezji pokoleń urodzonych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. To jednak, co jawi się jako przepis na sukces, jest również źródłem zagrożenia. Antenaci są potężni, a ludzie szukający oryginalności – już to jako czytelnicy, już to jako twórcy – niekoniecznie lubią przebywać w cieniu gigantów. Najwięcej problemów zapowiadają tu bliskie koneksje z Herbertem. Opisana w korespondencji i poezji Szubera, przywoływana później w niezliczonych opracowaniach, nominacja na oficera Brygady Huzarów Śmierci, której autor *Rovigo* mienił się, a nawet pieczętował dowódcą-pułkownikiem, rzuca długi i – mimo żartobliwego dystansu – groteskowy cień.

Miał zatem absolutną rację Marian Pankowski, gdy radził sanockiemu krajnowi wybór bezpiecznego antenata, najlepiej – trochę dworując, a trochę z dworu szydząc – Lukrecjusza, który wszak głęboko się namyślał nad naturą rzeczy i naturą w ogóle, wykazując się przy tym prowokacyjnym sceptycyzmem. Zdaje się, że sam Szuber wyczuwał pułapkę Herbertowskiej

pieczęci, zastawioną przez mentora wraz z pierwszym listem. Po śmierci Herberta uciekał z niej we wszystkie strony historii literatury, nawiązując, formalnie bądź konceptualnie, to do Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego lub księdza Józefa Baki, to zaś do Kazimierza Wierzyńskiego albo Mirona Białoszewskiego. Niemniej nie uwolniło to sztuki poetyckiej Szubera, nie przywróciło jej niezwyklej oryginalności, którą widać w legendarnym „pięcioksięgu”: wolnym od oglądania się na panujące koniunktury tudzież koterie literacko-wydawnicze; pozbawionym czołobitnych adresów i aluzji, związanych z ważnymi, a żyjącymi osobistościami. Liryka z tego czasu – niby nie tak odmienna od późniejszej – wydaje się, mimo braku profesjonalnego doświadczenia autora w publikowaniu i zarządzaniu recepcją, lepiej opracowana formalnie i bardziej zwarta kompozycyjnie, świeższa i – najzwyczajniej – ciekawsza. Paratekstowa dedykacja jest pięknym podziękowaniem czy wyrazem uznania, ale w pozytywnej konwencji przekreśla to, co mogło być w wierszu nieoczekiwane, zaskakujące, kontrowersyjne. Na zwarcie zaś w przywołaniach Janusz Szuber na ogół się nie decyduje, chyba że bezpieczne – z dawno nieżyjącym wieszczem romantycznym.

Wybitność poezji Janusza Szubera nie podlega jednak dyskusji w przynajmniej dwóch aspektach. Pierwszym z nich jest sposób i rozmach przedstawienia rodzinnego miasta i szerzej ziemi sanockiej. To naprawdę dzieło niezwykle, zbudowane w kilkudziesięciu wierszach w różnych rejestrach stylu, w rozmaitych płaszczyznach czasowych i przestrzennych, ukazujące etniczne, językowe, religijne,

urbanistyczne bogactwo kulturowego współlistnienia Polaków, Niemców, Rusinów i Żydów. Przekłęte przez historię dwóch wojen światowych, unicestwione przez hitlerowską okupację i holocaust, a później przez powojenne wypędzenia i przesiedlenia, związane z sowiecką instalacją nowego, homogenicznego narodowo państwa. Szuber korzysta w tych utworach z brawurowo transparentnych kadrów, przebijających spod siebie, niczym w średniowiecznym palimpseście lub w eksperymentalnej fotografii: Rzeczpospolita szlachecka, epoka CK Monarchii, schyłek „pięknej epoki” i I wojna światowa – zapisane w metrykach czy innych szpargałach, przypominane przez rupiecie, uwiecznione na urzędowych lub rodzinnych fotografiach; dalej, historia dziadków, rodziców, okolicy, naznaczonej po II wojnie „łunami w Bieszczadach”; wreszcie, wspomnienia własne, wryte na zawsze w pamięci i rozcinające ją na dwie połowy – przed chorobą i po jej nadejściu.

Janusz Szuber jest wirtuozem ekfrazy, zwłaszcza gdy przedmiotem przekładu wizualnej materii na liryczny opis jest stary artefakt czy fotografia, ale też współczesny obraz, miedzioryt, instalacja. Niekiedy prawie obok siebie funkcjonują w tomiku deskrypcje ikon świętych i dzieł plastycznych o zgoła nieświątobliwym charakterze, ba, drażniących wręcz swoją perwersyjną erotyką. Szuber kapitalnie również zestawia z cytatów literackich, a nawet z fragmentów pism i dokumentów z różnych epok, imponująco długie, zaskakująco logiczne, a przy tym świetnie zrytmizowane centony poświęcone ziemi sanockiej. Jego pierwsze zbiorki są po Bachtinowsku wręcz polifoniczne

i stanowią niezrównaną propozycję czegoś, co chciałoby się nazwać – na wzór zwrotów metodologicznych w nauce – nowym regionalizmem w poezji. Jakkolwiek może to zabrzmieć banalnie, ale Sanok został dzięki Szuberowi istotnie uhonorowany w poetyckim imaginarium polskich miast. I to przecież wcale nie tych największych czy najznaczniejszych. W dodatku jest to dzieło niewątpliwie doskonale artystycznie, wielowymiarowe historycznie, a nade wszystko atrakcyjne i frapujące.

Jest jeszcze drugi aspekt znaczenia i wagi spuścizny Szubera, a mianowicie sposób, w jaki rozważa on kwestię granic indywidualnej tożsamości. Nie chodzi tutaj bynajmniej o jakąś tożsamość etniczną czy konfesyjną autora utworów. Nie idzie również o tożsamość literacką konstruktu, jakim jest podmiot jego wierszy. Pytanie dotyczy tożsamości fizyczno-mentalnej dorosłego człowieka z nim samym jako młodzieńcem czy jako dzieckiem. Zadawali je przed Szuberem wielcy poeci, zresztą, któż tego pytania sam sobie nie zadawał, patrząc na swoje fotografie z dawnych lat lub czytając zapiski, znalezione w zapomnianej szufladzie: czy to też ja, ten sam ja? Czy zrozumiałbym siebie tamtego, czy on zrozumiałby mnie? Znamy wiele lekcji poetyckich na ten temat, na czele z wersją kobieco-dziewczęcą pióra Wisławy Szymborskiej. Ale Szuber, doświadczony zupełnie inną cezurą aniżeli przeżycie wojenne czy polityczny szok, cezurą egzystencjalną w najbardziej osobistym, intymnym wymiarze degradującej choroby, podsuwa też zupełnie inne odpowiedzi:

Który z nas prawdziwszy? Kto komu
ma wybaczyć?

Chyba ty mnie, bo zawiodłem jed-
nak twoje oczekiwania.

Więc kiedy mnie wyminiesz zajęty
obręczą,

Nawet nie będę próbował zatrzy-
mać cię w biegu.

(*Entelechia*)

Może więc jest tak właśnie, jak sugere-
ruje Janusz Szuber. Dorosłając i starzejąc
się, nawet jeśli los oszczędzi nam ciężkiej
choroby, oddalamy się od naszej dziecięco-
ści i młodości. W istocie stajemy się innymi
ludźmi, którzy w sytuacji spotkania nigdy
by się nie zrozumieli. Lecz wraz z wiekiem
nie jesteśmy coraz bardziej sobą. Przeciwnie,
jesteśmy sobą coraz mniej. A w dodat-
ku prawdziwsi też już byliśmy.

Piotr Łuszczkiewicz

Janusz Szuber, *Próbuję być: wybór wierszy z lat
1969–2020*, wybór i posłowie Antoni Libera,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa
2021

Księga istnienia

Dorobek translatorski Krystyny Rodowskiej jest ogromny, głównie poetycki, ale także prozatorski. W jej tłumaczeniu mamy po polsku na przykład świetnie oddane *Ceremonie żałobne* Jeana Geneta, nową wersję pierwszego tomu cyklu Prousta, który nazywa się teraz *W poszukiwaniu utraconego czasu* (a nie *straconego*, jak zdecydował Boy) i niektóre tomy Borgesa. Już przegląd prozy pokazuje, że Rodowska tłumaczy zarówno z francuskiego,

jak hiszpańskiego, co w tej chwili raczej wyjątkowe – od momentu powstania iberystyki jako odrębnego kierunku kończy się albo studia iberystyczne, albo romanistyczne ze specjalnością z języka francuskiego, choć oczywiście oba języki są romańskie. W czasie uniwersyteckiej edukacji Krystyny Rodowskiej wszystko było mniej zdefiniowane i płynęły z tego pewne pożytki: na specjalności francuskiej spotkała profesor Halinę Suwałę, która pokazała studentce ścieżkę dalszego rozwoju, jaką jest tłumaczenie. Pamięci Haliny Suwały zadedykowała Rodowska swój zbiór. I jeszcze na początku drogi przez pewien czas Krystyna Rodowska kształciła swój głos, miała zostać śpiewaczką, ale tak się nie stało. Wartość wrażliwości i kultury muzycznej dla osoby posługującej się słowem jest oczywista, zwłaszcza jeśli jest to słowo poetyckie, ale także w prozie, do której po prostu trzeba mieć ucho, które słyszy intonację.

Pojawienie się dobrego tłumacza w małym stopniu jest wynikiem kształcenia. Za tę tezę pewnie kilka uniwersyteckich pań profesor się na mnie obrazi. Nie chcę bynajmniej dyskredytować ich pracy i zabiegów, które doprowadziły do tego, że także w Polsce translatoologia stała się specjalnością uprawianą na uniwersytetach, a obejmującą badania nad przekładami. Przekłady są jednak różne, te literackie stanowią niewielki fragment rozległej dziedziny, posługującej się badaniami komparatystycznymi i kulturoznawstwem. To dobrze, że w trakcie studiów uniwersyteckich zwraca się uwagę na przekłady, ale mówienie o nich ani nie jest tożsame z kształceniem literackim w tym kierunku, ani nie gwarantuje

efektu: dobry tłumacz literacki musi wychować się sam.

Tłumacz, zajmujący się głównie poezją to w ogóle zjawisko samo w sobie. Krystyna Rodowska uprawia poezję, debiutowała wierszami ogłoszonymi w prasie w 1966, a pierwszy własny zbiór wierszy wydała w roku 1968, a w 2019 roku ukazał się w Państwowym Instytucie Wydawniczym autorski przekrojowy wybór poezji, zatytułowany *Nic prócz O*. To ważne, umiejętność uzyskania efektu poetyckiego we własnym języku jest bowiem kluczowa przy tłumaczeniu wierszy. To dar słowa, który można rozwijać – u Rodowskiej tak się szczęśliwie złożyło, że obie ścieżki, własnej twórczości i twórczości tłumaczeniowej rozwijały się przez wiele lat równolegle. Nie dziwi też tytuł najnowszej antologii *Cudze moje. Wybrane przekłady poetyckie*, bo nie sposób rozstrzygnąć, czy słowa tłumaczonego wiersza są własne, czy wciąż pozostają cudze. Jeśli zostały oswojone, znajdują się pomiędzy.

Sięgając po tę antologię, wiedziałam, że przekłady Rodowskiej pojawiły się wcześniej (ale wciąż niedawno!) w *Antologii poezji francuskiej* Jerzego Lisowskiego, ale przede wszystkim pamiętałam o dwóch autorskich antologiach poetyckich: francuskiej i obejmującej twórców Ameryki Łacińskiej. Francuska, zatytułowana *Na szali znaków* ukazała się w 2007 roku, a w 2011 *Umocznij wargi w kamieniu*, jako pierwsza tak obszerna w Polsce prezentacja hiszpańskojęzycznych twórców nowego kontynentu. Prawdę mówiąc, znając obie antologie, będące dziełami reprezentatywnymi i obszernymi, spodziewałam się po nowej antologii pewnych „dopowiedzeń”, ciągów dalszych,

a może nawet wyboru tekstów po prostu odrzuconych z pierwszej lub drugiej księgi. Tłumaczka miała do tego prawo, tak przecież bywa, że tłumaczy się trochę szerzej, aby potem skomponować kanoniczny wybór, odrzucając mniej czytelne albo mniej typowe dla autorów teksty. Tymczasem *Cudze moje* to samodzielna księga o zadziwiających właściwościach. Gdyby to miało jakąś moc perswazyjną, poleciłabym chętnie *Cudze moje* wszystkim, nawet tym, którzy niekoniecznie lubią poezję, właśnie w tym szczególnym czasie, w jakim teraz żyjemy: pod presją kolejnych wiadomości „z frontu”. Krystyna Rodowska, urodzona we Lwowie, miałaby szczególne prawo do przeżywania tragizmu: jej wczesnej biografii nie ominęła historia, w dzieciństwie była blisko bratobójczych konfliktów i zdarzeń, które pochłonęły wiele istnień ludzkich.

Ta książka to antidotum. Nie mówi o czasie tragicznym, mówi – wielogłosowo – o chwale istnienia, o kwiatach i korzeniach. Zaczyna się od przywołania we wstępie pierwszego poetyckiego tłumaczenia, jakiego dokonała autorka. Było ono niezwykle, bo dotyczyło prekolumbijskich *Hymnów* Netzahualcoyotla, króla i poety, z terenów dzisiejszego Meksyku. Co oczywiste, Netzahualcoyotl nie pisał po hiszpańsku, tylko w języku nayaatl. Przy tłumaczeniu wykorzystano pośrednik – wersję hiszpańską, dokonaną przez specjalistów po długich studiach nad kulturą pierwszych narodów Ameryki. Jeden z profesorów proponował zresztą Rodowską na podjęcie studiów nad językiem nayaatl; gdyby tak się stało, mielibyśmy może w Polsce unikalną specjalistkę od epoki przedkolumbijskiej,

ale... chyba sprawy potoczyły się z wielu względów dużo korzystniej. Wynikiem tej przygody jest pojawianie się po polsku zadziwiającego tekstu, który drukowany był do tej pory przed wielu laty w prasie, więc dostępny częściowo, zapomniany. To poemat metafizyczny, mówiący o relacji między człowiekiem a Bogiem, o zależności trwania życia na świecie od nieustannie podtrzymywanego aktu kreacji. Ten akt kiedyś może zostać cofnięty, ale na razie kwiaty są wyrazem jego trwania. Prekolumbijski Król Dawid nie daje obrazu Apokalipsy, ale mówi o ciemności, „czarnym inkauscie”, którym Bóg może zalać świat. Zdumiewająco świeżo przedstawiają się metafory i obrazy, którymi poeta wyraża ostrożną pochwałę świata, trwającego w chwiejnej równowadze.

To zasadniczy rys zbioru – afirmacja. W naszej kulturze, w poezji polskiej po II wojnie wyrażanie afirmacji zostało zawieszane, wiersze powinny zachowywać świadomość tragizmu a jeśli mówią o niemożliwości (życia, trwania, szczęścia) – uznaje się je za głębokie. W *Cudze własne* z poezji francuskiej, przez kraje frankofońskie po Hiszpanię i hiszpańskojęzyczną Amerykę przesuwają się świetliste pasmo pochwały, która nie spłaszcza, nie powoduje – czego my się obawiamy – akceptacji dla zła, ale umożliwia widzenie spraw życia wielowymiarowo, w ich wspinałości, powadze, a także w nieustannym zagrożeniu. Jest ich w tej książce tak wiele, że staje się ona swoistą „księgą istnienia”, pisaną od poety języka nayałł po czasy współczesne.

Zadawałam sobie wielokrotnie pytanie, czy istnieje na świecie jedna, uniwersalna poezja, czy też każdy język ma własną. Ta druga odpowiedź jest łatwiejsza

teoretycznie, poezja przecież dzieje się w języku, musi wyrażać się przez słowa i działać zgodnie z jego rytmami. Jest tu zresztą pewna tradycja XX wieku, zgodnie z którą poezja to nawet „język w języku”. A jednak ta pierwsza możliwość pokazuje uniwersalność myślenia wierszami, dzięki której działa tłumacz poezji. Poezja jest jakimś językiem wspólnym ludzkości, skoro da się zachować poetyckość wiersów mimo pośrednictwa trzeciego języka i mimo upływu czasu i oddalenia w przestrzeni. Być może więc tłumaczenie poezji jest jakąś misją, za którą stoi piękna utopia o jedności świata.

Tłumacz poezji to ktoś, kto sam znajduje sobie teksty. Na ich dobór w antologiach, skomponowanych przez Krystynę Rodowską,łożyło się na pewno trochę szczęśliwych przypadków, które jednak trzeba było wcześniej sprowokować. Wyjazdy do Ameryki Południowej, udział w festiwalach poetyckich procentowały – na horyzoncie tłumaczki, wśród jej znajomych pojawiali się kolejni autorzy. Pochwalić też trzeba prezentujące poetów noty do antologii – nie są obciążone zbyt wieloma szczegółami, zawierają po prostu informacje istotne, pomocne w lekturze. Książce przydałaby się z pewnością jeszcze żywa pagina, ułatwiająca jej wertowanie i powracanie do zamieszczonych w niej tekstów. To jednak uwaga do wydawcy.

Czy doczekamy się jeszcze książki zbierającej rozproszone po różnych piśmach szkice krytyczne Rodowskiej? Czas pokaże. Na razie jest co chwalić.

Anna Nasiłowska

Krystyna Rodowska, *Cudze moje. Wybrane przekłady poetyckie*, Wydawnictwo Oficyna, Łódź 2021

Rozdwojenie

Cień śmierci, który ciągnie się za poezją Bogusława Kierca od dawna, z tomiku na tomik robi się coraz dłuższy. Ogromnieje. Więcej tego cienia niż samej poezji? W odniesieniu do *Atrakcji i nieszczęść dla chwilowo żywych*, ostatniej książki autora, zoilowski ton wydaje się nie na miejscu. Kierc nie korzysta z praw, jakie daje poezji starość, nie szuka pretekstu do rozluźnienia wewnątrztekstowych wiązań. Utwory składające się na najnowszy zbiór poety to precyzyjnie skonstruowane cacka. Formalna precyzja poszczególnych wierszy, ich widoczny gołym okiem artyzm, okazują się (jednak!) zwodnicze. Tak jak zwodnicze – powtórzę myśl, którą sformułowałem na marginesie *Osy*, poprzedniego tomiku Kierca, jest osadzenie tej twórczości w sztywnych ramach liryki epicedialnej. Tradycji wierszy do trumny. Dlaczego? Ta mocna poetycka tożsamość skrywa w sobie bowiem trudne do przecoczenia rozdwojenie.

Poeta przywołuje, rzecz jasna, rozmaite konwencje pisania o odchodzeniu.

Cała środkowa część zbioru, zatytułowana *Czytania*, to seans literackich duchów. Szymborska, Różewicz, Przyboś. Poszczególne atrybucje i tropy, raz podane w formie dosłownego cytatu lub parafrazy, kiedy indziej oznaczone inicjałem, czytelną autorską sygnaturą, nie mają jednak charakteru prostej repetycji. Nie dążą do imitacji cudzej poetyki, są raczej materialnym śladem przeżycia. Spotkania z innym poetyckim Ja, które staje się udziałem poety i czytelnika w jednej osobie. Rodzajem lektury ucieleśnionej. Starzy mistrzowie stają się dla Kierca przewodnikami po własnym umieraniu. Pozwalają zastępczo zmierzyć się z tym, co nieuniknione, ale też – nie zapominajmy o żałobnej ramie, w którą wpisuje swoje wiersze poeta-aktor – wypróbować różne kostiumy, przed i pośmiertne maski.

Na taki tryb lektury, równocześnie osadzony w poetyckiej tradycji i łagodnie zdystansowany wobec figury autorytetu, przede wszystkim własnego, wskazują też – pośrednio – autoironiczne wtręty, którymi podmiot tych wierszy, „nierychliwy dziad”, opatruje swoje uwagi. Mniej tu

natomiast, co ciekawe, akcentów jednoznacznie humorystycznych, ludycznej zabawy rymem i rytmem, która w przeszłości nadawała formalnym poszukiwaniom Kierca rys nieco groteskowy. Sowizdrzałski. Nie powód to, rzecz jasna, by lekceważyć autorską klasyfikację genologiczną. Przeciwnie, przywołana w podtytule triada, epifanie – satyry – satyriazy, wskazuje na tematyczną rozpiętość zbioru, ale i, co już mniej oczywiste, rządzącą jego układem logikę profanacji. Ściągania wysokich poetyckich rejestrów ku dolinom ciała.

Czym jest satyra wie, z grubsza przynajmniej, każdy czytelnik poezji. Satyriaza? W tym miejscu z pomocą przychodzą nie słowniki terminów literackich, te katalogi umarłych form, a wstydliwie chowana pod łóżkiem encyklopedia seksu. „Stany umysłowego podniecenia, przy których chorobliwie wzmożony popęd płciowy [...] główny objaw cierpienia stanowi, nazywano satyriazą (u mężczyzn), nimfomanią (u kobiety)” – objaśniał ojciec współczesnej patologii seksualnej, Richard von Kraft-Ebbing. Pokrewieństwo kreacji podmiotu z mitologicznym satyrem, lubieżnym pół człkiem, pół capem, jest więc zamierzone. Wynika z samej konstrukcji poetyckiego Ja, w którym pierwiastek boski splata się z cielesnym. Trudno o większą obscenę. Bohater Kierca chętnie oddaje się więc rozmaitym „wypaczeniom płciowego uczynku”, jak powiada autor *Psychopathia Sexualis*, ale i innym, nie tylko fizycznym aberracjom, za każdym razem dziwiąc się niezmiernie, że w starym piecu wciąż bucha diabelski ogień. Zdziwienie to szybko ustępuje jednak żalowi. Że bucha za krótko. Że częściej tylko się tli.

Chorobliwie wzmożony popęd jako źródło udręki wędrującego ciała? A może to samo ciało, atrybut satyra-dziada, okazuje się udręką? Niepotrzebnym dodatkiem do roli, jaką szykuje dla człowieka przyszłość? Pierwsza część zbioru, opatrzona, choć nie wprost!, cytatem z pism mistycznych Słowackiego, zdaje się potwierdzać taki właśnie, „odcielesny” – czy raczej odcieleśniony – kierunek lektury. Odwraca uwagę od spraw płci ku innym rozkoszom. Tym nadziemskim, zaświatowym. Czy przez to większym?

Ważniejszy od przebijających tu i ówdzie akcentów zwątpienia, może nie tak jaskrawych jak w poprzednich tomach, wydaje się sposób konceptualizacji wiary.

[...] I nawet wtedy, gdy czuję, że
zwietrzał
rzeźwy aromat wiary, ten trykot jak
ulał
pasuje na mnie; dalej mógłbym się
tancerzem
wiary nazywać, gdyby gibkość mo-
jej wiary
była na miarę chęcenia, ale już nie
wierzę
tak jak chcę, nie dlatego, że jestem
za stary

na ten trykot obcisłej Obecności, ale
nie potrafię w nim tańczyć, bo się
zaniedbałem
w codziennych lekcjach [...]

Wiara jako *techné*? Jeszcze jedna odmiana artystycznego rzemiosła? Trykot to przecież kostium, kolejny – po przebraniach chłopca, odmienia czy starca, w który podmiot – baletnik – wpasowuje

coraz mniej skłonne do podrygów ciała. Między zapamiętaniem tancerza a modlitewnym uniesieniem *homo religiosus* nie ma *de facto* istotnej różnicy. Prawdziwa linia podziału przebiega gdzie indziej.

Kostiumowi tancerza poeta przeciwstawia bowiem nie zgrzebną suknię pątnika, ale brak kostiumu. Własną nagość. Tej kluczowej dla tomu opozycji, ogrywanej (i odkrywanej) na wielu poziomach – religijnym, erotycznym, fizjologicznym etc., odpowiada różnica między życiem wyposażonym w mocną kulturową jakość – tożsamość, a egzystencją czystą. Pozbawioną podpór i rusztowań, jakie dają kultura, nauka czy religia. Słowa konotujące obnażenie, obsceniczne wystawienie własnej słabości (słabizny?) na widok publiczny, przewijają się na kartach tomu wielokrotnie, nierzadko na przestrzeni kilku-kilkunastu wierszy. Spajają zbiór swoistym refrenem powtórzeń i autocytatów. Gest obnażenia do końca zachowuje przy tym swój fizyczny – seksualny – wymiar. Nagi jest nie tylko chłopiec – zarazem obiekt erotycznych poszukiwań i kolejne *alter ego* podmiotu. Nagi jest także Zbawiciel, który oddaje się grzesznikowi w dwuznacznym akcie komunii.

Kolejne wcielenia poetyckiego Ja nie pozwalają przecież uciec przed ostateczną syntezą z tym, co nietożsame. Wielkim Nic śmierci. Przynoszą jednak gorzką samowiedzę. Świadomość, że „będąc na tym, bywamy już na tamtym świecie”. Codziennie po trochu doświadczamy wieczności.

Konrad Zych

Bogusław Kierc, *Atrakcje i nieszcześcia dla chwilowo żywych (epifanie, satyry i satyriazy)*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

Język – narząd, który wzmocniła pandemia

Jak pisał Wergiliusz: „Jeśli zaś kiedyś zapagniesz odemknąć pszczelne komory, / Miód podbierając, to wpierw zaczerpnij wody ustami, / Wypłucz je, w rękę miej żar i kłębiący się dym rozpościeraj”. Wybieranie miodu z ula urasta w tym opisie do czynności nieledwie magicznej, a pszczelarz zamienia się w czarodzieja, odczyniającego zaklęcia za pomocą dymu i wody. Przepaść, dzieląca słowa autora *Georgik* od najnowszego tomu wierszy Tomasza Różyckiego *Ręka pszczelarza*, jest zaledwie odległością przecznicy; Wergiliusz i Różycki podają sobie w tym tomie ręce. Ale podają je sobie za pośrednictwem fundamentalnej pracy antropologa Claude’a Lévi Straussa *Od miodu do popiołów*, która rozpoczyna się apologią miodu, pokarmu bogów i zmarłych. Miód – jedno z najstarszych francuskich słów – to płyn święty i ogniotrwały, symbol wieczności i języka zaświatów. Wszystko, co najprzyjemniejsze, kojarzy się z miodem. Tytoń, drugi bohater książki Lévi Straussa, wydaje się być przeciwieństwem miodu. Jest nie tylko gorzki, ale też występuje poza kuchnią. Jest antykulinarny. Wspominam o tej opozycji, ponieważ staje się ona ważna nie tylko dla antropologii, ale również dla poezji, a różnica między słodkim a gorzkim, zarówno w jednym, jak i w drugim obszarze, pozostaje pozorna. Sięgająca po miód ręka pszczelarza musi trzymać żarzące się węgle, ukrywać się w dymie. Jego swąd łączy się z kleistą cieczą wytwarzaną przez pszczoły.

Dialektyka słodkiego i gorzkiego przenika wszystkie najnowsze wiersze Różyckiego. Są to przede wszystkim wiersze – jak wiele poprzednich utworów poety – głęboko osadzone w tradycji, kunsztowne, tworzące intertekstualne wirale. Nielatwo uwolnić się od wrażenia, że tworzą one także obszerny, ponad osiemdziesięciostronicowy cykl, tym bardziej, że większość z nich to sonety francuskie. Ten niespotykany w poezji polskiej przykład reżimu stroficznego, który poeta narzucił sobie w okresie pandemii, spędzonym – jak wynika z noty na okładce – w Berlinie, przynosi niezwykle efekt. Na naszych oczach ożywa, rozwija się, a później dogasa dziennik samotnego pobytu w zamknięciu, które zamienia się w systematyczną i wytężoną pracę artystyczną. Przerywają ją wycieczki po mieście, zwiedzanie dzielnic rozrywki i pamięci, spotkania z wizytówkami Berlina. *Ręka pszczelarza* nie jest jednak całością mozaikową i w niczym nie przypomina turystycznego przewodnika. W ogóle tom Różyckiego nie jest w niczym podobny do żadnego znanego mi tomu wierszy, choć przecież mieni się najróżniejszymi barwami tradycji. Poeta staje się w nim zwinnym pszczelarzem, uciekającym z ręką miodu od ognia pszczół; bruchomówcą, równocześnie mówiącym dwoma językami – ludzi i zwierząt; artystą, który skleja swoje wiersze niczym plastry miodu z obcych słów, czyniąc je jednak całością nadzwyczaj oryginalną, finezyjnie dopracowaną i na niespotykaną dziś skalę wirtuozowską.

Wirtuozeria Różyckiego odnosi się w najnowszym tomie do pracy koncepcyjnej. Kilkadziesiąt sonetów udaje się mu

przemienić w wielowątkową opowieść bez konieczności ostatecznej rozgrywki. Czytelnik pozostaje z wrażeniem, że kilka poziomów gry, w której uczestniczył, nie przenika się ze sobą tak, jak Lévi Strausowski gorzkie i słodkie, które nie tworzą antynomicznej pary.

Pierwszy z porządków dotyczy pandemii. Podmiot wierszy instaluje się w berlińskim odosobnieniu, by prowadzić widmowe życie w otoczeniu architektury i książek; jego Benjaminowski los flaneura, stąpającego z lekkością anioła po ruinach historii, ustępuje jednak prędko odysei, a podmiot staje się nieznudzonym obrońcą tradycji. Świadczą o tym już same tytuły poszczególnych części: *Nekyja*, *Kirke*, *Nefretete*, *Medea*, *Menady*, *Kerkyra*, *Morze Jońskie* czy *Gryf*. Różycki dzięki uległości wobec form pamięci o sposobach na chorowanie w zamknięciu właściwie czyni to, o czym można jedynie było marzyć w chwili wybuchu epidemii COVID-19 – poważnie traktuje dawną literaturę i czyni z niej scenariusz przetrwania. Okazuje się on na tyle skuteczny, by podmiot Różyckiego mógł samotność przetrwać, i jednocześnie na tyle elastyczny, aby za jego pomocą poeta wypowiedział historię choroby ludzkości do żadnej wcześniejszej pandemii niepodobnej.

Jest to – jako się rzekło – historia samotności i tym pandemia COVID-19 różni się od wszystkich poprzednich pandemii. Podmiot *Ręki pszczelarza* spędza ją pośród widm-słów, które pod wpływem jego woli i nadziei ożywają, stając się pół ludzkimi, pół zwierzęcymi bytami; tym samym Różycki włącza się w nieustający dialog o nieludzkim, postkoinicznym języku poezji, ale nie poszukuje w niej

zookrytyki czy zoofilologii, ale własnych, bestiariuszowych „dziwactw” i form ludzkiego istnienia na pograniczu roślin czy zwierząt.

Największym wyzwaniem stają się dla niego jednak autonomiczne, żywe słowa. Jak w wierszu *Nekyja*, odwołującym się do Homeryckiej tradycji rozmowy w podziemiach z duchami, w którym słowa zostają porównane do roju mrówek, zmieniających się w wielkie, czarne furto żerujące na cukrze. Czy jak w *Gorzkim napoju* – jednym z najważniejszych w tym tomie wierszy – gdzie litery jak ptaki czy owady:

zbiegają się, jeśli rzucisz im okruch,
jeśli uronisz dla nich chociaż kroplę

tęgo gorzkiego płynu, co je wabi,
tak jak osy wpadające do szklanki
jedna po drugiej i krążące na dnie
jak mali uchodźcy w Morzu
Śródziemnym

„Gorzki napój” z tego wiersza urasta do rangi symbolu partnerującego miodowi, jednak w przeciwieństwie do słodczy staje się goryczą nieokreśloną, czymś pomiędzy absyntem a czarną zółcią, co przemienione w sztukę odzyskuje moc, ale musi być dławione słodkim naparem z lipy, słodczą mleczą czy cukru. W *Racheli* gorzki smak oznacza zarówno pierwszy seks, jak i młodzieńcze, niedosiężne marzenie („To opowieść o chłopcu, co zapragnął / najbardziej gorzkiego ze wszystkich pokarmów”). Najbardziej gorzkie i pożądane okazuje się jednak pisanie – litery zbiegają się podczas tego procesu ku płynącemu z pióra gorzkiemu

smutkowi, porządkując go za pomocą codziennych, trywialnych form („małosolne”) i form wyszukanych, skonfrontowanych z parafrazami („chleb rzucony cieniem” z wiersza to reminiscencja tytułu powieści *Chleb rzucony umarłym* Bogdana Wojdowskiego).

Porządku uchodźczy, pandemiczny, turystyczny, a nawet rytualno-mortalny spotykają się w sonecie *Śpiewająca skrzynka* wieńczącym książkę. Przypomina on mowę pośmiertną rozszarpanych przez menady kawałków ciała Orfeusza, które płynąc rzeką, nie przestają nucić. Pokawałkowane, nieżywe ciało podmiotu, mówiąc, żyje wyłącznie za sprawą języka. To on pośród martwych przedmiotów, tradycji, figur, martwoty polskich emigrantów w Berlinie i ich karykaturalnego polskiego ducha ocala poetę. Sta-je się jedynym lekarstwem na rozpad, postępujący niczym najcięższa depresja od młodości, by w pewnym momencie przejąć odpowiedzialność za człowieka i mówić sam za siebie. „Śpiewające fragmenty poematu”, jakim w istocie są wieńce sonetów Różyckiego, śpiewają o zwycięstwie języka nad kwarantanną, nad covidem. Język – jedyny organ, którego nie zgruchotała pandemia – w samotności otrzymał swoje własne życie. Z wiersza *Kwarantanna*:

Tyle dni zamknięty sam z literami!
W tyłu pozycjach przecież
spółkowały,
że mógłbyś już zlepić z nich
golema,
żeby na siebie wzięła tę część
istnienia.

Niewątpliwie książka Tomasza Różyckiego jest dziełem pandemii, na co wskazują liczne fragmenty jej treści. Jednak przede wszystkim jest to najwybitniejsza książka poetycka, jaka powstała w języku polskim pod wpływem pandemii COVID-19. Skomponowana z finezją godną mistrzów poezji. Diagnozując język jako organ, który wyszedł z choroby wzmocniony, Różycki nie tylko przywraca sens zdarzeniom, które go nigdy nie miały, ale próbuje je racjonalnie poukładać. Jedynie dzięki jasnemu układowi znaczeń, dzięki układowi „znamion gramatycznych” i kamieni, można pojąć to, co nie chce do nas mówić inaczej.

Marta Tomczok

Tomasz Różycki, *Ręka pszczelarza*, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2022

Inny wymiar

Najnowszy tomik Krzysztofa Siwczyska trudno się czyta, a z pewnością jeszcze trudniej się go pisało. Jest to bowiem książka o umieraniu. O umieraniu ojca, choć tego możemy się domyślić jedynie po męskoosobowych formach czasowników, bo słowo „ojciec” nie pada ani razu, natomiast parokrotnie pojawiają się słowa: dziecko i syn. Bo syn jest tu w pewnym sensie ważniejszy. On zostaje. Zostaje – obciążony na zawsze umieraniem ojca, który odchodzi w inny wymiar. Jest to tym smutniejsze i dramatyczniejsze, że ów syn nie wierzy w żadną formę życia po życiu: „Dwa na półtora na pół / Innego nie ma / Wymiaru” (*Krematoria I*). Co więcej

to samo przekonanie wkłada w usta ojca: „Dwa na półtora na pół / Innego nie ma dla mnie wymiaru / Kary” (*Krematoria II*). I sądzę, że nie jest to kara za życie, tylko kara za śmierć, a właściwie za śmiertelność. Bo rodzice oszukują dzieci. Rodzą je świadome jedynie życia, tego upajającego cudu, świadomość śmierci – śmiertelności – przychodzi później (prędzej czy później) i jest to wstrząsające odkrycie, które całkowicie zmienia postrzeganie życia. Odkrycie śmiertelności to zarazem odkrycie niewybaczalnej zdrady rodziców, a kulminacją tej zdrady jest śmierć rodzica/ów, wobec której wszelkie formy eskapizmu przestają być skuteczne. Krzysztof Siwczyk odrzuca eskapizm niejako *a priori*, podchodzi do umierania czysto cielesnie, chemicznie, przywołując odleżyny, żółć, podkłady higieniczne, spękane wargi, cewnik, martwicę i wznowę, „metafizyka” potraktowana ironicznie pojawia się jedynie w drwiącej konstatacji na temat ojca: „Wiecznie na nie” (*Metafizyk*).

Część pierwsza *Krematoria I* to poetyckie sprawozdanie z odchodzenia ojca przedstawione z punktu widzenia syna, który obserwuje powolną degradację ciała i ducha (pamięci) ojca. Notuje, nie bez gorzkości, szpitalne czy też hospicyjne rytuały: „Ruch ręką / Zmiana / Prześciernadła / Do zsypu” (*Gibki*), „Znowu woła // A mówione było / Powtarzane tyle razy / Ile można prosić” (*Cierpliwość*), „Zasłony do połowy / Ciemni żeby móc widzieć / Nad parapetem co się dziś święci / Na Krematorii” (*Tymczasem*). Ów podwójny tytuł tomiku nie oznacza bowiem krematoriów w liczbie mnogiej, lecz ponurą krainę – symbolizowaną przez widoczny

na okładce sypiący popiołem wulkan – do której ostatecznie zmierza każdy z nas, by „Zatknąć białą flagę / Na Krematorii” (*Na odchodnym*), natomiast umierający mają już niejako okno z bezpośrednim na nią widokiem.

Obserwacje poety nie ograniczają się do przedśmiertnej cielesności, stara się on uchwycić, przytrzymać, wydrzeć od ojca ostatnie drgnienia jego pamięci, fragmenty rozmów, prześliski nadziei, „choć swojej młodości / Już nie umie spa- miętać / Jak drzewiej bywało / Głuche zostało drewno” (*Komety II*). Jedyną obro- ną przed nieuchronnością śmierci ojca (śmierci w ogóle?) zdaje się przewrotny czarny humor, jak choćby w wierszu *Po- dróżni*: „Przybyli w pokoju / Telewizor / Transystor / Trans”, czy w wierszu *Numi- zmatyk*: „Żeby nie wyć / Trzeba fałszować”.

Druga część tomu, *Krematoria II* za- wiera tylko jeden wiersz, w którym zmie- nia się punkt widzenia. Tutaj to ojciec zabiera – że się tak wyrażę – głos przed odejściem. W tym ostatnim wierszu po- jawiają się przetworzone migawki nie- których poprzednich, z pierwszej części, jakby przelatywały ojcu przed oczami w jego ostatnich chwilach, a całe jego życie zamyka się w bolesnym wyznaniu: „Kiedy odmykam oczy / Najpierw jestem dzieckiem / Potem od razu ciężarem”. Ko- niec wiersza (a tym samym całego tomi- ku) jest jeszcze bardziej dramatyczny:

Czego się nie robi
Synowi nas polecaj
Spalić

[...]

Po wlewie ląduję na Krematorii
Wołam w niebogłosy wiem
Nie ja jeden.

Te wstrząsające wersy stanowią do- bitny dowód na to, że poezja potrafi za jednym zamachem wpędzić nas w roz- pacz i z niej wydobyć, sama będąc – na- wet wbrew woli autora – czystą metafizy- ką, dzięki czemu przenosi nas znienacka w inny wymiar. Poezja pozwala nam na- brać dystansu wobec najbardziej ponurej rzeczywistości, a obecny w niej zawsze element tajemnicy, niedopowiedzenia, pomaga nam zachować choć odrobinę nadziei: te strzępki modlitwy wplecione w monolog wewnętrzny umierającego ojca zdają się niejako rzucać wyzwanie nieuniknionemu i przynoszą pociechę, niechby nawet złudną, ojcu, synowi i czytelnikom.

Katarzyna Bieńkowska

Krzysztof Siwczyk, *Krematoria I/ Krematoria II*,
Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–
Syrakuzy 2021

Rozumieć siebie i nasz czas

„Powiedzmy sobie szczerze: Irene- usz Kania nie powinien istnieć w przyro- dzie. A jednak istnieje. Jest wybrykiem natury, błędem w systemie, wyłomem w taksonomii”.

Tak rozpoczyna postłowie do *Dłu- gu metafizycznego* Dariusz Czaja, któ- rego nazwisko widnieje na stronie metrykalnej tomu jako sprawującego

„redakcję merytoryczną”, czyli – jak można się domyślać – również inicjatora tego wydawnictwa.

Wszystko, co pisze Ireneusz Kania, jest przesycone wiedzą i znaczeniem, a tym samym wypowiedziane w sposób precyzyjny i harmonijny. Erudycja tego autora jest niezwykła, a jego dyscyplina słowa wymaga od czytelnika wielkiej uwagi. Czytałem więc powoli, po jednym eseju, bywało, że kilkakrotnie – zacząłem od tekstów o Czesławie Miłoszu, od *O radości obcowania z tajemnicą*, następnie przeczytałem *Komentarze do „Traktatu teologicznego”*. Nie jestem pewien, czy spotkałem się wcześniej z tak dociekliwą, a zarazem naturalnie konsekwentną lekturą tego utworu, o którym Kania pisze, iż „jest w istocie a n t y t r a k t a t e m teologicznym, gdyż jego finał to wyraz głębokiego rozzaczarowania wszelkimi teologicznymi systemami”.

Szkic *O radości obcowania z tajemnicą* jest wspomnieniem napisanym wkrótce po śmierci poety, który z Ireneuszem Kanią lubił rozmawiać „o paru wspólnych fascynacjach: buddyzmem, Kabałą, Swedenborgiem, gnostycyzmem, problematyką zła i cierpienia”. Jednak w tym wspomnieniu nadzwyczaj zwięzłym, co dla niego znamienne, autor *Ścieżki nocy* wyłożył fundamentalne składniki twórczości i osoby Miłosza: „Zamierzyłem sobie te refleksje jako zupełnie osobiste, subiektywne, więc powiem wprost: dla mnie Czesław Miłosz, poeta, jeden z największych, jakich wydał nasz język, był nade wszystko mistykiem i kontemplatykiem, kimś, kto niestrudzenie szuka prawdy o świecie. Wiersz, esej, powieść były w jego rękach tylko czułymi instrumentami, które

przykładał do witalnie ważnych splotów nerwowych rzeczywistości, aby wsłuchiwać się w jej głuche, ukryte tętna. Interesowało Go wyłącznie to, co istotne [...]”.

Choć kolejność tematów *Długu metafizycznego* jest nieco inna, autorowi książki najbliższa jest literatura, o czym świadczy jego niezwykły dorobek piśmienniczy. Obejmuje ponad sto pozycji książkowych. Hasło Wikipedii, niezwykle krótkie – „polski tłumacz, poliglota. Przetłumaczył kilkadziesiąt książek z kilkunastu języków, przede wszystkim romańskich i azjatyckich” – wylicza następnie sto trzy tytuły.

Dodajmy do tego spisu, prócz *Długu metafizycznego*, pierwszy pełny przekład *Greka Zorby* (2021). A także pełną i dwujęzyczną edycję poezji Konstandinosa Kawafisa, *Wiersze wszystkie. Apanta Poietica* (2019). Przywiązanie i upodobanie do literatury potwierdza umieszczona w *Długu metafizycznym* deklaracja: „Najdoskonalszym [...] tworem człowieka jest ten językowy – literatura, niezastąpiona jako źródło, narzędzie i medium jego autoidentyfikacji i samowiedzy”.

Języków, z których tłumaczy Ireneusz Kania, jest ponad dwadzieścia. Gdy mowa o nowożytnych, w jego bibliografii widnieją tłumaczenia nie tylko z języków romańskich, także z angielskiego, niemieckiego, szwedzkiego czy rosyjskiego. Wartość jego pracy uhonorował już w 1995 roku polski PEN Club, w marcu obecnego roku docenił pisarza Kraków – jego drugie, po Wieluniu, rodzinne miasto – przyznając mu Nagrodę im. Kazimierza Wyki. Rumunia odznaczyła Ireneusza Kanię krzyżem oficerskim Orderu Zasługi Kulturalnej. Z rumuńskiego tłumacz ma

w swym dorobku dziewięć książek Emila Ciorana, wśród nich *Listy do kraju*, *Okno na Nic*, ostatnio *Zeszyty 1957–1971* (II wydanie) oraz *Zmierzch wszelkiej myśli*. Mircea Eliadego przekładał wielokrotnie, nie tylko z francuskiego, również z ojczystego języka tego autora.

Pytany przed kilkoma laty o początki zainteresowania odległymi tradycjami duchowymi opowiedział, że w wieku młodzieńczym uświadomił sobie, iż to, co go „naprawdę pasjonuje, to inne światy duchowe, [że] chce do nich wejść”: „Najpierw od strony języków. Muszę nauczyć się języków, żeby czytać wielkie teksty, o których tu i ówdzie słyszałem. Żeby poznać je w oryginale”.

To było w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. W roku 1999 otrzymał Nagrodę Krakowskiej Książki Miesiąca za przekład zbioru *Muttāvali. Wypisy z ksiąg starobuddyjskich*.

*

Buddyzm, judaizm, chrześcijaństwo; religie i mądrość naturalna – to zasadnicze tematy *Długu metafizycznego*, podobnie jak całego dzieła Ireneusza Kani. Ta problematyka otwiera i wypełnia książkę. Około dwudziestu szkiców składających się na książkę tworzy wybór tekstów publikowanych w ostatnich trzydziestu latach między innymi w „Więzi”, „Znaku”, „Kontrapunkcie”, „Dekadzie Literackiej”, „Kwartalniku Artystycznym”, a także jako posłowania do dzieł tłumaczonych przez autora *Długu*. Tom zawiera ponadto teksty kilku niezmiernie interesujących rozmów.

Po esencjonalnym eseju-wprowadzeniu *Nauka w konflikcie z religią. Garść uwag o buddyjskiej mądrości* następuje pasjonujący cykl wykładów *Wokół interpretacji kilku pojęć buddyzmu. Z warsztatu tłumacza*. Zgodnie z anonsem, tłumacz skupia uwagę odbiorcy na wybranych pojęciach buddyjskich; nie musimy dodawać, że kluczowych. Wykład jest zarazem stopniowym zapoznawaniem słuchacza – i czytelnika – z warsztatem tłumacza. „W swoich wywodach – powiada na wstępie wykładowca – prawie nieodmiennie wychodził będę od materiału filologicznego i od prób objaśniania go. Celem objaśnienia jest stworzenie przesłanek do interpretacji. Celem interpretacji jest uchwycenie sensu”.

Tyle tłumacz, to jest, chciałem powiedzieć, uczony. Popatrzmy dalej, jak dzieli się swoim wyjątkowym doświadczeniem: „W istocie praca tłumacza jest niemal tym samym, co praca egzegety; w każdym razie są to zajęcia bardzo podobne i pokrewne: jeden i drugi objaśnia słowa, pojęcia, teksty, szuka ich sensu i interpretuje. Egzegeza i przekład są formami tłumaczenia z jednego języka na inny, czy raczej z idiomu na idiom”.

Wyjaśniwszy założenia metody i podstawowe pojęcia, Ireneusz Kania przechodzi stopniowo do „szerszego tła problemu”. Warto zatem zwrócić uwagę na ostatnie słowa cytatu, w których jest mowa o „idiomie”: „komunikując się z kimś innym – czytamy nieco dalej – nawet w tym samym co on języku, musimy jego indywidualny idiom przekładać na własny, interpretować wypowiedź rozmówcy”.

Podczas lektury *Długu metafizycznego* niejednokrotnie przychodził mi na myśl Ryszard Kapuściński, który widział swoją pracę reportera jako zadanie, wręcz misję „tłumacza kultur” – tak ją określał. Trwająca kilkadziesiąt lat praca Ireneusza Kani „jako tłumacza i komentatora wielkich tekstów orientalnych – hebrajskich, sanskryckich, palijskich i tybetańskich” (to jego słowa) jest właśnie niczym innym jak tłumaczeniem kultur, o których wciąż mamy nikłe pojęcie, którym przez to grozi zagłada zwana niepamięcią, zaś nam postępujące zubożenie intelektualne.

Nie przekładem jest zatem praca wprowadzania dziedzictwa językowego innych kultur do polszczyzny, ale tłumaczeniem, czyli także objaśnianiem. Widzenie świata, zarówno zbiorowe, jak indywidualne, zakodowane jest w języku, który stanowi „archetyp wszelkiego ładu (Logos)”.

*

Dla Ireneusza Kani – jak wspomniałem – „Najdoskonalszym [...] tworem człowieka jest ten językowy – literatura, niezastąpiona jako źródło, narzędzie i medium jego autoidentyfikacji i samowiedzy. Literatura ludzka jest jedna – kontynuuje pisarz – poszczególne, narodowe, mają się do niej tak jak kawałki roztrzaskanego lustra do wielkiego boskiego Lustra Bytu, w którym *in illo tempore* przeglądał się człowiek. [...] Tym, kto mozołnie ma na powrót sklejać rozbite Lustro, jest właśnie tłumacz”.

Autor tego wyznania wiary i miłości opowiadał kiedyś o eseju nieznanego u nas filozofa greckiego, który w latach

2002–2003 przewidział kryzys ekonomiczny i społeczny, jaki ogarnął Grecję kilka lat później. Dziś nie pamiętam, niestety, nazwiska tego myśliciela. Esej traktował o zależności między językiem a demokracją. Kryzys wziął się z niechęci do przyjęcia uniwersalnych reguł i z przywiązania do tradycji indywidualizmu. Język grecki, twierdził filozof, podobnie jak – na przykład – języki słowiańskie, a odwrotnie niż choćby romańskie, strukturalnie nie jest stworzony dla demokracji. Skąd taki wniosek? Współczesna greka – stwierdzał – nie przestrzega jednolitych zasad i daje niepisane przyzwolenie na indywidualistyczną anarchię. Nawet spis reguł gramatycznych, choćby reguły składni, pomija się, traktując je nieświadomie jako zewnętrzny i zbędny rygor. Grecy nie chcą demokracji – referował dalej filozof swoje obserwacje – „zapomnieliśmy Solona, zapomnieliśmy Platona, pragniemy być wolni od zewnętrznych reguł, niepodlegli”.

Ireneusz Kania objaśnia – choćby w szkicu *Jaki język, taki świat* – iż struktura myślenia tworzy strukturę egzystencji, indywidualnej i zbiorowej. Sądzę, że przekonał się o tym każdy, kto próbował wytłumaczyć dziecku zasady polskiej pisowni, deklinacji (np. liczebników), czy składni. Języki słowiańskie są względnie mało skodyfikowane. Pamiętamy, jak w *Rodzinnej Europie* Czesław Miłosz sugestywnie zwracał uwagę na nasz narodowy „brak formy – zewnętrznej i wewnętrznej”, w innym miejscu dydaktycznie pocieszając, że już „sama dyscyplina zasługuje na pochwałę”.

Temu groźnemu brakowi – nie tylko formy, ale wręcz języka – poświęca

Ireneusz Kania wiele stałej uwagi, również w najnowszej publikacji. Dramatycznie brzmią konstatacje krótkiego eseju *Skleić rozbite lustro*, w którym uważny obserwator życia społecznego diagnozuje daleko posuniętą degradację komunikacji językowej. „Osoby z takim językowym wyposażeniem [ubogim, nieporadnym] nie są zdolne do nawiązania kontaktu z wielką tradycją europejskiej kultury”. Czyli: jesteśmy świadkami zerwania kulturowej ciągłości, pierwszy raz od wczesnego średniowiecza. „Zerwanie – czytamy dalej – prawie nigdy nie jest kompletne, ale zwykle wystarcza do tego, byśmy przestali – w całości albo w poważnej części – rozumieć duchowy dorobek przeszłych pokoleń. W efekcie przestajemy rozumieć samych siebie i nasz czas”. (jw.)

*

Ireneusz Kania jest konsekwentnym filozofem, który poznał Biblię i kabałę, wczytał się w pisma Greków, Arabów, Hindusów i Tybetańczyków minionych trzech tysiącleci, widzi więc jasno, że świat znajduje się w końcu cyklu dziejowego: „żyjemy w »czasach ostatnich« – pisze – czyli w takich, w których nieodwołalnie, albo na długie wieki, umierają dotychczasowe wartości, postawy, formacje kulturowe, wreszcie pojęcia [...]”. I dalej: „Obecny kulturalny regres na olbrzymią skalę (agresywne wypieranie »kultury wysokiej«) w połączeniu z ciągłym doskonaleniem socjotechnik sprawiają, że przyszła epoka będzie stać pod znakiem »człowieka masowego« (w rozumieniu Ortegi y Gasseta oraz Nietzschego), sterowanego przez oligarchie. Oznacza to

zmierzch personalizmu i indywidualizmu jako wartości”.

Autor stawiał tę diagnozę w roku 1994 (*Czy żyjemy w czasach ostatnich?*). Nie lubimy czytać podobnych prognoz ani rozmawiać o takiej przyszłości. Zresztą niezauważalnie staliśmy się „ludźmi masowymi” i wymościłiśmy sobie w tej schyłkowej epoce w miarę wygodne nyże – że użyję przydatnego terminu eksponowanego z upodobaniem przez Tadeusza Konwickiego. Autor *Małej apokalipsy* był zresztą przenikliwym obserwatorem tego procesu, stopniowo i skutecznie przyspieszającego i wzmacniającego się od końca drugiej wojny światowej. Nieustająca ironia tego pisarza miała nam jedynie przypominać zmysły i amortyzować ocieranie się o ostre kanty nowego świata.

Zastanawiałem się, jak pisać o *Długu metafizycznym* w sytuacji, która, z początkiem roku, nagle stała się nieprzewidywalna. Jak spokojnie komentować książkę filozoficzną wobec fundamentalnej zmiany perspektywy: kulturę europejską, zarówno starożytną, jak nowożytną, konstytuowała idea *Non omnis moriar*. Tworzone przez wieki poetyckie adresy do potomnych są cenne, stworzyły podstawę ponadczasowych wartości, ich mądrość jest niezbędna. Pewni tego byli starożytni myśliciele, poeci renesansu i romantycy. I jeszcze pisarze międzywojennego dwudziestolecia, lecz od lat czterdziestych ubiegłego wieku wiara ta traciła oparcie. Wspominam o tym, bowiem nie mogę udawać, że lektura *Długu...* ma miejsce w wieży z kości słoniowej czy na bezludnej wyspie bez Internetu. Kontekst, jak wiemy, wzmacnia znaczenia. Ponownie jest bardzo obecny.

Ireneusz Kania zwraca się do współczesnych. Jego wnioski z analizy uniwersalnych tekstów literackich i dzisiejszych tekstów kultury są jednoznaczne. Autor formułuje je delikatnie, dla złagodzenia kategoryczności stosuje tryb warunkowy: jeśli się nie zdobędziemy na myślenie o przyszłości, nie zrobimy tego i tamtego, jeżeli się nie postaramy choć trochę odsunąć tego, co nieuniknione, to ono nadejdzie bardzo szybko.

Dług metafizyczny to tytuł rozmowy, którą z tłumaczem w 2015 roku przeprowadził Mateusz Burzyk. Ten dialog stał się puentą książki i użyczył jej tytułu. We wszystkich kulturach i religiach podstawą tego długu była świadomość zobowiązania wobec poprzednich oraz następnych pokoleń. „Trzeba też pamiętać – mówił rozmówca redaktorowi „Znaku” – że w starożytnych kulturach prawdziwym podmiotem życia, obowiązków i jego imperatywów nie była jednostka, ale przede wszystkim wspólnota”.

„Dług metafizyczny” to zatem wspólny oraz osobisty dług humanistyczny, po prostu ludzki – obowiązek dbałości o duchowy depozyt. Należy go przekazać – w dobrym stanie – nie tylko dzieciom i wnukom, ale także szóstemu, siódmemu i kolejnym pokoleniom. Takiej świadomości jeszcze się nie dopracowaliśmy. A raczej już ją utraciliśmy.

Nie spłacimy „długu metafizycznego”. Teksty tłumacza i myśliciela, znawcy wielkich uniwersalnych kultur, powstawały w minionych trzech dekadach. Wnioski z tych lektur oraz z przenikliwej „lektury” wszelkiego rodzaju głosów i „tekstów” rzeczywistości nakazywały autorowi „tłumaczyć” możliwie cierpliwie

i jasno, iż „Generalną dominantą epoki nadchodzącej będzie rozpaczliwa walka ludzkości o przetrwanie i walka grup ludzkich między sobą o dostęp do dóbr elementarnych (ziemia, woda, przestrzeń życiowa). [...] Taka bądź inna ewolucja sytuacji świata i tak nie ma większego znaczenia wobec faktu, że najprawdopodobniej w ciągu 100–200 lat czeka go – zgodnie z zapowiedziami Biblii, stoików i Hindusów – »ogień z nieba«, *ekpyrosis*, *mahapralaja*, czyli spopielenie w totalnym »pożarze« (promienie rentgenowskie i nadfioletowe), kończącym nasz cykl dziejowy (*kalijugę*)” (szkic z roku 1994).

Darem takich ludzi – a zarazem ogromnym obciążeniem – jest rozumienie natury człowieka oraz świata i dostrzeganie sytuacji, w jakiej się znajduje. Dlatego konstatacje Ireneusza Kania brzmią jak przepowiednie Kasandry. Niezmiennie podziwiam jego pracę i mądrość. Jest genialnym tłumaczem, filozofem, myślicielem, cierpliwym nauczycielem. Jednak najlepszą jego charakterystyką będzie parafraza zdań o pewnej postaci, wyjętych z omawianej tu książki:

Ireneusz Kania jest „nade wszystko mistykiem i kontemplatykiem, kimś, kto niestrudzenie szuka prawdy o świecie. Starożytne traktaty i poematy, wiersze, proza, eseje, rozprawy filozoficzne są w jego rękach tylko czułymi instrumentami, które przykłada do witalnie ważnych splotów nerwowych rzeczywistości”.

Andrzej Zawada

Ireneusz Kania, *Dług metafizyczny. Eseje i rozmowy*, wybór tekstów i posłowie: Dariusz Czaja, seria Tempus Fugit, Wydawnictwo Pasaż, Kraków 2021

Zapis okoliczności i czuła pamięć o najbliższych osobach

Pamiętam, jak przed laty zachwyliła mnie książka Aleksandra Fiuta *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*. Teraz ten znakomity badacz literatury oferuje nam studium *Wypchany niedźwiedź?*. To zaledwie pięćdziesiąt dwie strony, więc rzecz jest objętościowo nieduża, ale bez wątplenia warta lektury. To książeczka ważna i mądra, potrzebna i błyskotliwa, interesująca i pożyteczna. Lubię takie prace – lapidarne, oszczędne, skondensowane, a przy tym – trafiające w sedno, objaśniające zawile kwestie w sposób wzorcowy, skupione na istocie problemu. Sprawa niebagatelna – rozprawa jest pięknie opublikowana, przez Wydawnictwo Austeria z Krakowa: ascetyczna okładka, na której widnieje czarnym kolorem imię i nazwisko autora, niebieskim zaś – tytuł, poniżej znak graficzny oficyny, a pod nim – fragment tekstu Aleksandra Fiuta, odręcznym pismem, tą samą barwą, co tytuł, to trzydzieści sześć linijek ze stronic 50–51. Na tylnej stronie okładki zamieszczono informację o materii studium: „Niepublikowane materiały archiwalne Czesława Miłosza, bogate, obszerne i zróżnicowane, poza wszystkim raz jeszcze świadczą wymownie o rozlicznych uzdolnieniach poety oraz jego umiejętności występowania ze swobodą w wielorakich rolach, a także biegłego i swobodnego uprawiania rozmaitych gatunków. Mnie najbardziej zafrapowały trzy utwory, w których toczący pośmiertną grę z czytelnikiem poeta przesuw

figury czytelniczej percepcji i wyobraźni w taki sposób, by pośrednio albo wprost wskazać na możliwości odmiennego, zgodnego z jego intencjami odczytania przynajmniej niektórych jego utworów. Pierwszy z tych tekstów, *Historia londyńska*, powstał w 1946 roku w stolicy Wielkiej Brytanii, gdzie Miłosz zatrzymał się w drodze do Stanów Zjednoczonych; drugi *O Herbercie* oraz trzeci, pod znamennym tytułem *Nie powinienem był* – zostały napisane w Krakowie, pod sam koniec życia poety”. I rzeczywiście – wybitny badacz literatury interpretuje te trzy dyskursy, przygląda im się z uwagą, snuje głębokie refleksje, rozmyśla intensywnie, w skupieniu i kontemplacji. Dodajmy – odczytuje znakomicie, pokazując, jak można tę przygodę z autorem *Esse* kontynuować, nieustannie przyglądać się temu zadziwiającemu światu twórczości litewskiego emigranta, wydobywać na światło dzienne coraz to nowe, inne aspekty *nieobjętego* dzieła Czesława Miłosza.

Lektura tekstu *Historia londyńska* pozwoliła Fiutowi na wydobyć niezmiennej ważnej kwestii, obecnej w poezji autora *Miasta bez imienia* – namysłu nad ludzką obojętnością. Rzecz dotyczy przede wszystkim okresu drugiej wojny światowej, ale można, oczywiście, tę problematykę przenieść do czasów nam współczesnych. Szczególnie dramatycznie widać to w chwili, kiedy te słowa piszę – pod koniec kwietnia 2022 roku wciąż Rosjanie mordują w haniebnych atakach Ukraińców. Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego proponuje, by poprzez *Historię londyńską* przeczytać na nowo choćby *Głosy biednych ludzi* oraz *Pieśni Adriana Zielińskiego*. W istocie – to rewelacyjny pomysł, ponieważ dzięki temu

archiwalnemu materiałowi możemy ponownie zastanawiać się nad tymi wstrząsającymi wierszami, próbować zrozumieć doświadczenia Miłosza, jego trudny i bolesny los, labirynt życia, a przede wszystkim – wewnętrzne rany, niepokoje, pełne cierpienia wybory, wiele wątpliwości i lęku autora *Na brzegu rzeki*. Znana to wszak prawda – iż każdy przeczytany przez nas tekst konstruuje wciąż na nowo architekturę, budowlę, świat naszego ducha dzięki poznanym księgom, przypomina to sięgającą chmur wieżę, która złożona jest z cząstek elementarnych – cegieł, każda z nich to jedno dzieło. Aleksander Fiut zdaje nam relację właśnie z tego rodzaju kompozycji niezwyklej, kunsztownej materii budowli, wytworzonej dzięki poznaniu archiwaliów autora *To*. Zaprasza nas do tej gorzkiej wieży, skąd roztacza się ponury widok na pożąłę, spowodowaną ręką człowieka – „pyszałką”, czyniącego jedynie krzywdę i poniżenie swoim siostrą i braciom oraz Matce Ziemi.

Drugi interpretowany przez krakowskiego badacza literatury tekst Miłosza to szkic *O Herbercie*, w którym autor *Dalszych okolic* analizuje postawę warszawskiego poety i eseisty wobec niego, manifestując się w wierszach *Chodasiewicz i Do Czesława Miłosza*. Emigrant z Litwy zastanawia się również nad wyborami politycznymi autora *Studium przedmiotu*. Miłosz czuł się dotknięty oskarżeniami Herberta, chciał z nimi polemizować, ale uważał, że nie może dodatkowo ranić ciężko chorego poety. Ten szkic autora *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* jest, moim zdaniem, niezwykle interesującym materiałem badawczym, ponieważ ukazuje różne ludzkie „struktury aksjologiczne”, *habitusy*

artystów sztuki słowa, ich poglądy polityczne, a przez to – egzystencjalne. Aleksander Fiut świetnie interpretuje dyskurs polskiego noblisty, podsumowując trafnie: „Ostatecznie ich [Miłosza i Herberta – dopisek mój, P.T.] rozrachunki, rozplątanie tego węzła – urażonych ambicji, ranliwej pamięci, dobrych i złych intencji, utraconej przyjaźni – pozostawił [Miłosz – dopisek mój, P.T.] przyszłym czytelnikom [...]”. Dodajmy – ten spór dwóch poetów jest ciekawym przypadkiem antropologicznym czy – psychologicznym, to dwa stanowiska polityczne, światopoglądowe, stanowiące zapis doświadczeń człowieka w strasznym XX wieku. Zbigniew Herbert zmarł w roku 1998, nie doczekawszy początku nowego stulecia, starszy odeń trzynaście lat Czesław Miłosz przeżył go o sześć lat. W szkicu autora *Orfeusza i Eurydyki* pojawia się wątek tożsamości, przypomina mi się więc taki oto fragment liryku *Fotografia* Herberta: „Z tym chłopcem nieruchomym jak strzała Eleaty / chłopcem wśród traw wysokich nie mam nic wspólnego / poza datą narodzin linią papilarną”. Pytanie o tożsamość to jedna z najbardziej istotnych kwestii dzieła Czesława Miłosza.

Z tą sprawą związana jest problematyka wyborów życiowych – dotyczy tego trzeci tekst autora *Drugiej przestrzeni*, o którym pisze Aleksander Fiut. Badacz literatury nazywa ów zapis poety „osobliwym rozrachunkiem”, spójrzmy zatem, czego on dotyczy: „Jak skrupulatnie wylicza Miłosz, nie powinien: [...] pisać książek na tematy polityczne, [...] służyć w dyplomacji Polski Ludowej [...], zrywać z Polską [...], układać antologii polskiej poezji we własnym przekładzie

na angielski oraz pisać podręcznika historii literatury polskiej dla amerykańskich studentów, wreszcie [...] studiować prawa [...]" Aleksander Fiut po kolei rozważa tych sześć kwestii, komentuje je, ukazuje ich skutki. Powraca więc sprawa tożsamości, pytanie o siebie, o los, doświadczenie, historię jednostki uwikłanej w bieg zdarzeń, sploty egzystencji i polityki, codzienności pojedynczego człowieka i dramatycznych wydarzeń społecznych, powraca także bolesna świadomość nieustannej utraty, pustki, tęsknoty i żalu.

Tak kończy się ta świetna książka Aleksandra Fiuta – echem smutku, zapisanym w jednym z liryków Czesława Miłosza, mimo że znawca jego dzieła próbuje nas pocieszyć: „Jak się zatem przeciwstawić tej tajemniczej, miazdzącej sile? Być może – do takiego wniosku zdaje się dochodzić pod koniec życia – jedynie próbą opisania okoliczności podejmowanych wyborów, zawsze chwiejnych, niejasnych, trudnych do zrozumienia i jednoznacznego ujęcia. Ale także – pieczołowicie chronioną i kultywowaną, wbrew unicestwiającej mocy przemijania, czułą pamięcią o najbliższych osobach”. Powtórzmy to: zapis okoliczności i okrucieństw pamięci – te aspekty twórczości autora *Kronik* wydają się najważniejsze, to one budują tkanki jego tekstów, one są murami otaczającymi wieżę języka, z której spoglądamy na pejzaż rzeczywistości, na krajobraz, na świat. *Biedny poeta patrzy na nieszczęścia*. Pocięgą w naszej podróży i wędrownie po *nieobjętej ziemi* jest czułość.

Paweł Tański

Aleksander Fiut, *Wypchany niedźwiedź?*, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2021

Jaremianka w kilku odsłonach

Postać Marii Jaremy – wybitnej malarzki, rzeźbiarki, projektantki kostiumów teatralnych, współzałożycielki Grupy Krakowskiej oraz teatru Cricot i Cricot II – coraz bardziej wyłania się z zapomnienia i niebytu, w które na całe lata wtrąciły ją ignorancja i lekceważenie. Zasluga przywrócenia należnego jej znaczenia przypada głównie Agnieszce Daukszczy, autorce intrygującej monografii pt. *Jaremianka*. Badaczka uzupełniła swoją poprzednią książkę wyborem tekstów mało dotychczas znanych, rozproszonych w czasopiśmie oraz wydobytych z prywatnego archiwum artystki. Tekstów rozmaitych gatunkowo, publikowanych i niepublikowanych, pochodzących z różnych okresów życia, działalności społecznej oraz twórczości Jaremianki. Są wśród nich m.in. życiorys napisany w 1949 roku, *Manifest Grupy Krakowskiej* z 1934 roku, odpowiedź na ankietę, opis wrażeń z wystaw malarstwa oglądanych w Polsce i za granicą, osobiste notatki ze szkicownika z czasów studiów malarskich czy kreślonych na marginesie lektur, artykuły prasowe, oficjalne sprawozdanie z pobytu za granicą, zapiski z podróży, wypowiedzi w dyskusji i wywiad. Wypada podkreślić, że książka jest bardzo starannie wydana: wypowiedzi Marii Jaremy uzupełnia wybór studiów jej poświęconych, a całość ubarwiają znakomitej jakości zdjęcia jej obrazów, rzeźb i projektów kostiumów teatralnych.

Innymi słowy, te dwie pozycje dadzą się czytać osobno, bo każda z nich stanowi starannie przemyślaną całość, ale zalecałbym uznanie ich za dwa, dopełniające się i uzupełniające tomy poświęcone postaci, która nie przestaje intrygować i zadziwiać. Co więcej, w swojej monografii Dauksza wprowadzała w meandry życia i twórczości Jaremiarki jak gdyby od wewnątrz, poprzez empatyczną identyfikację ze swoją bohaterką, ujmując ją w ruchu. W drugiej książce, mając do dyspozycji wyłącznie teksty, zmieniła metodę i perspektywę: od empatii przeszła do ujęcia afektywnego, a zatem refleksji szczególnie skupionej na procesie recepcji dzieła artystycznego, który został programowo wpisany w estetyczną teorię oraz praktykę artystki. Jak pisze we wstępnym, obszernym i erudycyjnym szkicu, który zawiera m.in. wnikliwą analizę sztuki rzeźbiarskiej Jaremiarki: „Jarema jest reprezentantką afektywnego modernizmu: z jednej strony odrzuca bezpośredniość wyrazu i realizm wywołujący proste procesy psychologiczne, z drugiej – nie wierzy w model awangardy racjonalistycznej, formalistycznej, »zdystansowanej« i autonomicznej. Sztuka w ujęciu Jaremy powinna być wypadkową zaangażowania i inwencyjnego przekraczania bezpośrednich powiązań”. Wspomniany artykuł wstępny stanowi swego rodzaju zwornik dwóch tomów poświęconych Jaremiarce.

Jak dowodzą zebrane teksty, „wypadkowa zaangażowania i inwencyjnego przekraczania bezpośrednich powiązań” zostaje przez artystkę ułożona nie tylko na obszarze działalności twórczej, ale także w rozmaitych formach społecznego

i politycznego zaangażowania. Jarema jest zapewne „reprezentantką afektywnego modernizmu”, co dowodzi oryginalności jej twórczości, ale zarazem to typowa przedstawicielka awangardy, charakteryzującej się dosyć naiwną wiarą w samoczynny postęp oraz ugruntowanym mocno przekonaniem, że wpływ sztuki na wrażliwość odbiorców stanowi metodę stopniowego przeobrażania świadomości zbiorowej, a tym samym może być drogą prowadzącą do modernizacji nie tylko kultury, ale także całej struktury społecznej. Rozbieżność tej wiary z politycznymi realiami sprawiła, że z tekstów Marii Jaremy daje się poza wszystkim odczytać historię pewnego szlachetnego złudzenia, które skończyło się gorzkim rozczarowaniem.

Podobnie jak artyści awangardowi o orientacji lewicowej Jaremiarka wierzyła, że estetyczne innowacje, a zwłaszcza zerwanie ze wzorami sztuki zastygłej w swoim akademizmie, sprowadzonej do bezpośredniego odwzorowania czy imitowania rzeczywistości, może mieć skutek sięgający daleko poza pracownię artystyczną. W *Manifestie. Do Artystów*, wydanym przez Grupę Krakowską w kwietniu 1934 roku, pojawiają się znamienne, wypowiedziane wówczas z entuzjazmem i prawdziwą wiarą slogany: „Niech żyje sztuka niezależna! Niech żyje sztuka rewolucyjna! Niech żyje jednolity front niezależnych artystów z robotnikami i chłopami!”. Jaremiarka, wzorem bliźniego jej ideowo środowiska, nie tylko wzywała do zrewolucjonizowania sztuki, ale także stawiała prosty znak równania pomiędzy społecznym upośledzeniem niższych warstw społecznych i sytuacją

artysty pozostawionego bez finansowego wsparcia od państwa. Wymowne pod tym względem stają się przedstawione przez nią losy bliskiego jej osobiście Henryka Wicińskiego.

W naszkicowanym pośmiertnym portrecie jawi się on jako postać wyjątkowa, określana wręcz mianem geniusza: rzeźbiarz, scenograf, rysownik, poeta, współtwórca Grupy Krakowskiej i współpracownik teatru Cricot. Jaremianka bardzo podziwia jego odwagę wytrwania przy własnej wizji artystycznej oraz nieznizania się do „cynicznej głupoty odbiorców sztuki”, za co artysta zapłacił nędzą, chorobą i przedwczesną śmiercią. Cytowane wypowiedzi Wicińskiego mogą świadczyć o tym, że jego wpływ na artystyczny światopogląd Jaremianki zdawał się w okresie tużpowojennym przemożny. Bliskie było jej przekonanie, że „poszukiwanie nowych form w sztuce” pozostaje w ścisłym związku z „walką o sprawiedliwość społeczną i nowe formy życia”. Podobnie kiedy twierdził, że „Walka o wartości w konstruowaniu formy plastycznej wiąże się o wiele głębiej z człowiekiem niż powierzchowne pobudzenie tematowe z aktualną sytuacją np. polityczną”, zaś oddziaływanie owej formy na odbiorcę ma dla twórcy znaczenie zasadnicze.

Rychło jednak nowocześnie myśląca artystka mogła się przekonać, że władza ludowa niekoniecznie staje po stronie artystów awangardowych. W Polsce Ludowej pojawił się bowiem, podobnie jak w Związku Sowieckim, swoisty paradoks: sztuka w swojej istocie rewolucyjna, twórcza, otwarta na rozmaite eksperymenty uznana została za wroga dla jej

potencjalnego mecenasa, kwestionowała bowiem kulturę mocno zideologizowaną, oficjalnie popierającą socrealizm. Podczas konferencji plastyków w Nieborowie w 1949 roku Jaremianka odważnie zaatakowała propagowany przez państwo wzór sztuki. Jej wypowiedź ma walor historyczny, dowodząc nie tylko odwagi, ale i strategicznej zręczności, z jaką artystka próbowała manewrować wśród politycznych raf stalinizmu, co z obecnej perspektywy przedstawia się niczym groteskowy teatrzyk, a przecież dotyczyło spraw niezwykle poważnych. Argumentowała zatem, że jakkolwiek socrealizm w swojej genezie „mógł być zwykłym odruchem walki z przerafinowaniem”, w swojej realizacji „przestał mieć cokolwiek wspólnego ze sztuką – stał się partaczonym przez kiczarzy prostactwem”. Wprawdzie rząd „zdaje sobie sprawę z tego, jaką rolę spełnia sztuka w rozwoju”, ale „występowanie odgórne” cechuje „nerwowość”, zaś „inwestycje nie są na razie przewidziane”. Nawet jeśli „Polityk w organizowaniu walki klasowej korzysta z wszelkich możliwych zjawisk”, to sztuka ograniczona do doraźnej propagandy skazana jest – poza afiszem, karykaturą i grafiką – na artystyczną wtórność. Dotyczy to zwłaszcza malarstwa sztalugowego, które, by się rozwinąć, potrzebuje czasu, twórczej swobody, nieskrępowanej wolności. Jak ostrzegała artystka, „Nasze władze państwowe, jako jedyny mecenas, muszą w sztukę inwestować, inaczej ją zniszczą”. Użyła nawet takiego argumentu, że w dobie „gwałtownej walki klasowej” przekonanie, że „na placu boju zostaje publicystyka” zakłada, że „nie mamy przed sobą przyszłości”,

a przecież „równocześnie z ostrą walką polityczną trwa długodystansowa walka o socjalistycznego człowieka”.

Po okresie stalinowskim Jaremińska, pozostając wierna swoim artystycznym założeniom, stopniowo pogłębia samoświadomość estetyczną oraz oryginalną koncepcję malarską. Rozproszone notatki pozwalają śledzić ten proces w błyskawicznych przybliżeniach. Uderza, że artystka ogromną rolę przykładu do odbiorcy, domaga się jego kształcenia, przygotowania do percepcji nowoczesnej sztuki, która oczekuje zupełnie innej wrażliwości i kompetencji niż oglądanie tradycyjnego malarstwa „z tematem”. Jak pisze, „Są jakby dwie kreacje, jedna artysty tworzącego, a druga jakaś wtórna, twórczość widza, który bez wysiłku wyobraźni i intelektu nigdy niczego nie zobaczy, nigdy nie usłyszy, nigdy nie zrozumie”. Tym samym akt tworzenia, samo dzieło sztuki oraz doznania w trakcie jego odbioru stają się dla Jaremińskiej jak gdyby polem gry rozmaitych emocji – demonstrowanych jawnie lub pozostających w ukryciu, sugerowanych albo potencjalnych, obejmujących doznania zmysłowe, ale też intelektualne. Napięcia kolorów i linii na obrazie odpowiadają pośrednio ukrytym przeżyciom artysty, ujawnianym w samym procesie tworzenia, w trakcie ich powstawania i krystalizacji, wyrażającym się bardziej w dążeniu niż w ostatecznym kształcie. Adresowane do widza stają się swego rodzaju zaproszeniem do udziału w emocjonalnym spektaklu.

Drugie rozczarowanie spotkało Jaremińską, gdy stanęła tuż po wojnie w obronie kobiet. Układająca swoje relacje z mężczyznami w sposób suwerenny,

ostentacyjnie lekceważąca obyczajowe ograniczenia i zbiorowe tabu, ostro wystąpiła w 1947 roku przeciwko projektowi ustawy zaostrzającej kary za aborcję. Argumentowała: „Prawo było zawsze przeciwko kobiecie. Proponowana obecnie ustawa to hańba demokracji. Prawo czyni z kobiety człowieka półwartościowego, człowieka drugiej klasy, wytwarzając w niej kompleks niższości w stosunku do mężczyzny”. Słowa, które mogłyby spłynąć spod pióra obecnej feministki! Bo też zarzuty były bardzo podobne: dominacja tradycyjnego modelu rodziny popieranego przez Kościół i państwo, niski stopień seksualnego uświadomienia, ograniczony dostęp do usług medycznych oraz do zabiegu przerywania ciąży zwłaszcza warstw uboższych. Jarema wyraża sprzeciw wobec uprzywilejowanej pozycji mężczyzn, traktowania kobiet jak „maszynek do wypełniania idei macierzyństwa” oraz zmuszania nastolatek do porodu. Zwraca uwagę na to, że kobiety zostały pozbawione „możliwości studiowania bez konieczności prowadzenia normalnego życia domowego”. Jak podkreśla, przed wojną „ustrój kapitalistyczny wyzwolił kobiety klasy posiadającej i mieszczańskiej przez produkcję i rozpowszechnienie środków zapobiegawczych i udoskonalenie sposobu usuwania ciąży”, ale te możliwości były za drogie dla „proletariatu miast i wsi”.

Okazało się, że ku oburzeniu Jaremińskiej socjalistyczne państwo tej sytuacji nie zmieniło. W niepublikowanym liście do Ireny Krzywickiej zarzuciła sławnej w dwudziestolecie propagatorce światomego macierzyństwa zdradę dawnych poglądów. Spostrzega, że wbrew

demokratycznej retoryce w Polsce Ludowej nastąpiło ponowne rozwarstwienie społeczne i powstała nowa warstwa uprzywilejowana. Pisze z jawną ironią: „Jeżeli dzisiaj świadome partyjniaczki nie podnoszą krzyku, to dlatego że prawo, które burżuazja mogła omijać, też jest dla nich dzisiaj do ominięcia dzięki temu, że istnieją lekarze partyjni, świadomi i uczciwi, którzy opiekują się nimi w tych sprawach, często za darmo, nie chcąc ich doprowadzać do rozpacz i utraty zdrowia”. Zupełnie inaczej natomiast wygląda położenie większości kobiet, które są pozbawione tych możliwości. „Dba się o rozrodczość, ale potem nikt nie dba o to, co dzieje się z matką i dzieckiem”. Dzieci wprawdzie rodzi się dużo, ale duży ich procent umiera już w pierwszym roku życia. Z jednej strony brakuje powszechnej dostępności do antykoncepcji oraz do opieki lekarskiej, z drugiej – wystarczającej ilości żłobków i przedszkoli, które zachęcałyby kobiety do rodzenia, pozwalając im równocześnie kształcić się, spełniać ambicje zawodowe oraz ułatwiać dostęp do kultury.

W swoich tekstach Jaremińska jawi się nie tylko w roli teoretyka sztuki czy feministki, wypowiada się także interesująco o nowoczesnej sztuce Zachodu. Wyraża na przykład opinie o koncepcji korrealizmu architektonicznego Fredericka Kiesera, analizuje obrazy Picassa i Mondriana, wnikliwie sięgając po własne doświadczenia artystyczne oraz preferencje, komentuje wystawę malarstwa francuskiego w Krakowie w 1946 roku oraz 29 Biennale Sztuki. Notuje również ulotne wrażenia wyniesione ze swoich podróży. Najbardziej chyba zaskakuje jej

opis Bazyliki św. Piotra. Jaremińska, zdeklarowana wolnomyślicielka i awangardowa artystka, okazuje się osobą niezwykle wrażliwą na sakralny wymiar świątyni! Pisze:

„Ta budowla jest apoteozą w kamieniu i transfiguracją monumentalną religii Chrystusa [...] Wypędza ciemności i wprowadza przestrzeń, piękność i symetrię, niewyczerpany strumień światła. Nieporównywalność św. Piotra w Rzymie polega na tym, że jest to świątynia, która zdaje się być przeznaczona tylko po to, by przybrać ideę Boga w cały jej blask”. I dodaje, kreśląc zastanawiającą, przyszłościową wizję: „Chrześcijaństwo zginie. Św. Piotr pozostanie jeszcze jako świątynia powszechna, wieczna, wyrozumiała dla jakiegokolwiek religii, która powstanie w miejsce czci Chrystusa. Była tylko ta religia była godna ludzkości”.

Maria Jaremińska świadoma była zasadniczych trudności, jakie sprawia przelewanie wrażeń estetycznych na papier. Z jednej strony stanowczo stwierdza, że „Słowem malarza jest jego obraz. Żadne słowo mówione czy pisane nie jest w stanie go wypowiedzieć, ponieważ tylko przez swoją wyłącznieść istnieje”. Ale ustawicznie próbuje znaleźć takie słowa, niestrudzenie szuka adekwatnego wyrazu dla swojego postrzegania i doznawania sztuki malarskiej. Jej zdaniem, „Obrazy jak planety drzemące na ścianie eksplodują w zetknięciu z psychiczną zawartością człowieka na skutek przemian, które my, nie znając ich, możemy nazwać np. chemicznymi – eksplozją uczuć”. Ale zarazem dowodzi, że „Intelektualny taniec, który nad sztuką wykonuje krytyka, jest jej publicystyką (skłania widzów do

myślenia). Czasem udaje się do niej zbliżyć poprzez tworzenie nowej terminologii, nowego słownika dla jej nowej idei”.

Jak z tego rodzaju wyzwaniami radzą sobie krytycy oraz badacze, ilustruje wspomniana wcześniej, ostatnia część książki *Eseje o sztuce Jaremy*. Jest w nich mowa o związkach artystki z teatrem, o paryskich inspiracjach w jej malarstwie, mniej znanej twórczości Jaremi w latach 1939–1945, o jej „potrzebie marzenia” oraz jej „wrażliwości tkankowej”. Na tym tle wyróżnia się oryginalnością opowieść o krótkim pobycie Marii Jaremy z Kornelą Filipowicz w Cieszynie w lipcu 1937 roku.

Jest to obraz minionego dawno świata zabarwiony lokalnym kolorytem, wywiedziony przez Jerzego Kronholda z nielicznych dostępnych wspomnień i wzmianek, ogólnej wiedzy o tamtej epoce, ważnych lub mniej istotnych historycznych oraz artystycznych wydarzeniach rozgrywających się w cieniu wojny domowej w Hiszpanii, a w przededniu drugiej wojny światowej. Ale przede wszystkim to wizja czerpiąca z potęgi poetyckiej wyobraźni autora, która swobodnie wędruje w czasie i przestrzeni, z łatwością dopełnia domysłem luki imponującej erudycji, z wyraźną przyjemnością bawi się fantazjowaniem, kreując przebieg wydarzeń możliwy, co wcale nie znaczy, że całkiem nieprawdopodobny. Ze słów wyłania się rzeczywistość ontologicznie chwiejna, istniejąca jedynie w trybie warunkowym, a zarazem – wyrazista, plastyczna, ewokowana przez dotykany konkrety, drobne

szczegóły, widzialną topografię. Pyta poeta: „powiedz, Jaremi, co było dalej? Chcę Cię schwytać, łapię za frak ducha czasu, zarzucam siatkę tropów biegnących równolegle, depczących Ci po piętach”. I gubi się w domysłach oraz przypuszczeniach: „Świadek mówi, że poszli za miasto, że tam malowała w plenerze Beskidy [...] Wyciągnęła z torby przybory, pędzelki ze stożkowatymi czubkami zrobionymi z włosa kuny, wydry albo sobola, szkicownik firmy Iskra Karmański, w twardej okładce z tasemką związaną na kokardkę. Farby wodne znajdowały się w metalowym pudełku. Dotarli do punktu zbornego szkolnych wycieczek, uprawiania sportów zimowych, saneczkowań i szusów narciarskich. Za wzgórzem Jaworowy, które przez stulecia odstraszało nazwą Galgenkopf i było miejscem straceń, rozciągały się już tylko płowe łąny zbóż, zamknięte na horyzoncie modrym płótnem łagodnie sterczących szczytów, Czantoria, Równica i Skrzycznem. Proszę spojrzeć: trzyma w ręku pędzelek i szkicownik na kolanach [...] Nie wiadomo, jak długo to trwało, co w tym czasie robił towarzyszysz – może na głos odczytywał wiersze mistrza? Mam przecucie, że to było dobre doświadczenie, że ta przestrzeń działała wyzwalająco, otwierała się jak okno”.

Aleksander Fiut

Maria Jarema, *Wymyślić sztukę na nowo*, pod redakcją Agnieszki Daukszy, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2021

WYSTAN HUGH AUDEN (1907–1973), angielski poeta, dramaturg, eseista; autor m.in. tomików: *Tym czasem* (1941–1942; wyd. pol. 1992), *Morze i zwierciadło* (1942–1944; wyd. pol. 2003).

MIRON BIAŁOSZEWSKI (1922–1983), poeta, prozaik, dramatopisarz; autor m.in.: tomików *Obroty rzeczy* (1956), *Było i było* (1965), *Odczepić się* (1978), prozy *Pamiętnik z powstania warszawskiego* (1970), *Szumy, zlepy, ciągi* (1976), *Zawał* (1977).

KATARZYNA BIEŃKOWSKA, ur. 1972 w Warszawie, tłumaczka, krytyk literacki, autorka wierszy; ostatnio opublikowała przekłady *Dziewczyny z wieży* Katherine Arden (2021) i *Cieni między nami* Trici Levenseller (2022). Mieszka w Pułtusku.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował poemat *Pies na wiersze albo Pieczewo* (2021) oraz *Biografie wiersza* (2021). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował tom *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) oraz *Wolność pisana po Jałcie* (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

ZBIGNIEW DMITROCA, ur. 1962 w Michałowie, autor wierszy, tłumacz, bajkopisarz; ostatnio opublikował m.in. *Alfabet imion* (2000) oraz *Geoglify* (2013). Mieszka w Lublinie.

ALEKSANDER FIUT, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował tomik prozy *Wypchany niedźwiedź?* (2021). Mieszka w Krakowie.

ADAM GÓRSKI, ur. 1976, autor tomów wierszy; ostatnio opublikował *Pożegnanie. Wyjaśnienie* (2019). Mieszka w Krakowie

IRENEUSZ KANIA, ur. 1940 w Wieluniu, eseista, tłumacz kilkudziesięciu książek z szesnastu języków, przełożył m.in. *Tybetańską Księgę Umarłych*; ostatnio opublikował *Pieśni losu* (2021). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020) oraz wybór wierszy *Tyle na chwilę* (2022). Mieszka m.in. w Paryżu.

ALFRED KUBIN (1877–1959), austriacki grafik, malarz, rysownik, ilustrator; autor opowiadań autobiograficznych, esejów o sztuce, powieści *Po tamtej stronie* (1909; wyd. pol. 1968).

ANTONI LIBERA, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował nowe przekłady *Eleutherii* Becketta (2021), *Tragedii rzymskich* Shakespeare’a, tomy 1 i 2 (2021, 2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF LISOWSKI, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; ostatnio ogłosił tomiki *Domy dni. Antologia osobista* (2020) oraz *Wieści dobre i złe* (2021). Mieszka w Krakowie.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ, ur. 1964 w Kaliszu, profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza; ostatnio opublikował, wspólnie z Joanną Grądział-Wójcik, *Bogusława Latawiec – portret podwojony* (2016). Mieszka w Kaliszu.

ROBERT MUSIL (1880–1942), austriacki pisarz i krytyk teatralny; autor m.in.: powieści *Niepokoje wychowanka Törlessa* (1906; wyd. pol. 1965), zbioru opowiadań *Trzy kobiety* (1924; wyd. pol. 1963).

KRZYSZTOF MYŚKOWSKI, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka w Toruniu i Bydgoszczy.

ANNA NASIŁOWSKA, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki, profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała *Historię literatury polskiej* (2019) i tomik *Sztuczne światła* (2021). Mieszka w Warszawie.

ERYK OSTROWSKI, ur. 1977 w Krakowie, autor wierszy, eseista, prozaik; ostatnio opublikował tomik *Wolne fale* (2021). Mieszka w Krakowie.

ROBERT PAPIESKI, ur. 1965 w Warszawie, eseista, krytyk literacki i tłumacz; ostatnio opublikował zbiory esejów *Powrót do Ravello* (2020) i *Ćwiczenia z patrzenia* (2020). Mieszka w Warszawie.

FRANCESCO PETRARCA (1304–1374), włoski poeta; autor m.in. zbioru pieśni *Canzoniere*, poematu *Africa i Sielanki*.

JERZY PLUTOWICZ, ur. 1947 w Bielsku Podlaskim; autor wierszy i eseista; ostatnio opublikował *Kładkę przez rów* (2019) i *Dom pod gwiazdą wieczorną* (2022). Mieszka w Białymstoku.

ADAM POPRAWA, ur. 1959 we Wrocławiu, autor wierszy, historyk literatury, krytyk literacki; ostatnio opublikował zbiór *Szykista. Felietony po kulturze* (2020). Mieszka we Wrocławiu.

ARTUR PRZYBYŚLAWSKI, ur. 1970 w Łodzi, filozof, tłumacz z języka angielskiego i tybetańskiego; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował powieść *Pana Profesora dziennik sekretny* [...] (2022). Mieszka w Krakowie.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. 1980 w Lublinie, badacz i krytyk literatury; ostatnio opublikował *The Worldview, the Trope, and the Critic. Critical Discourses on Miron Białoszewski* (2018). Mieszka w Warszawie.

ANNA SOBOLEWSKA, ur. 1947 w Gdańsku, historyczka literatury, eseistka; ostatnio opublikowała zbiór tekstów *Mistyka i mistyfikacje* (2019). Mieszka w Warszawie.

TADEUSZ SOBOLEWSKI, ur. 1947 w Warszawie, krytyk filmowy, publicysta, dziennikarz; ostatnio opublikował *Dziennik. Jeszcze jedno zdanie* (2019). Mieszka w Warszawie.

LESZEK SZARUGA, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. poemat pt. *Mucha* (2021) oraz zbiór esejów *Przestrzenie literatury i okolice* (2021). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Po nitce* (2021) i *Miejsce* (2022). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZŁOSAREK, ur. 1968 w Krakowie, autor wierszy, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Późne echo* (2017). Mieszka w Berlinie.

PAWEŁ TAŃSKI, ur. 1974 w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Głosy i performanse tekstów* (2021) i tomik *Going inside* (2021). Mieszka w Toruniu.

MARTA TOMCZOK, ur. 1980 w Knurowie, literaturoznawczyni; profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio opublikowała *Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja* (2019) i *Amiel. Życie* (2021). Mieszka w Katowicach.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. 1948 w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnie.

JÓZEF ZIĘBA (1932–2022), autor wierszy, prozaik, pamiętnikarz i fotograf; założyciel i dyrektor Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

KONRAD ZYCH, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki, redaktor portalu Literatki.com. Mieszka w Strykach.

An abstract image featuring a diagonal split between a vibrant red, textured left half and a solid black right half. The red area has a grainy, almost fabric-like texture, while the black area is smooth and opaque. The text 'kwartalnik.art.pl' is centered across the boundary in a clean, white, sans-serif font.

kwartalnik.art.pl



Prenumerata

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

w kraju i za granicą

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Sławomir Karetko

Druk i oprawa: Drukarnia Cyfrowa druk-24h.com.pl

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje

*Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
za pomoc finansową w wydaniu numeru 2/2022*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz



Miasto Toruń

N O W E K S I A Ĺ Ż K I

Biały Kruk

Bogusław Dopart, *Na powrót. Wiersze*, Kraków 2022

Biblioteka Kraków

Beata Szymańska, *Wybór wierszy*, Kraków 2021

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku

Jan Binkowski, *Ave. Wybór wierszy*, Białystok 2022

Państwowy Instytut Wydawniczy

Anna Nasiłowska, *Sztuczne światła*, Warszawa 2021

Anna Świrszczyńska, *Jestem gotowa*, wybór i wstęp Barbara Gruska-Zych, seria „Poeci do kwadratu”, Warszawa 2022

Francisco Javier, Navarro Prieto, *Piękny świat*, przełożył Paweł Orzeł, Warszawa 2022

Jan Sochoń, *Nie pocieszaj się, tylko płacz*, Warszawa 2022

Tadeusz Hollender, *Wiersze zebrane*, Warszawa 2022

Theodor W. Adorno, *Filozofia nowej muzyki*, przełożyła Fryderyka Wayda, „Biblioteka Myśli Współczesnej”, Warszawa 2022

Wojciech Kass, *Kamyk metafizyczny. Wiersze i poematy z lat 1996–2021*, Warszawa 2022

SIGNI Żygfryd Ślăpik

Marek Barański, *Kameruję – podróżuję i inne wiersze wybrane*, Warszawa 2022

Wydawnictwo Aletheia

Emil Cioran, *Ćwiczenia z podziwu. Eseje i portrety*, przełożył i posłowiem opatrzył Jan Maria Kłoczowski, Warszawa 2022

Wydawnictwo Forma

Andrzej Ballo, *Albowiem*, Szczecin, Bezzecze 2021

Jarosław Jakubowski, *Bardzo długa zima*, Szczecin, Bezzecze 2021

Joanna Matlachowska-Pala, *Bezpownotne*, Szczecin, Bezzecze 2021

Wydawnictwo Literackie

Philip Roth, *Kompleks Portnoya*, przełożyła Anna Kołyszko, Kraków 2022

Wydawnictwo MG

George Eliot, *Miasteczko Middlemarch*, tom 1 i tom 2, przełożyła Anna Przedpełska-Trzeciakowska, Warszawa 2022

Mikołaj Gogol, *Martwe dusze*, przełożył Władysław Broniewski, Warszawa 2022

Rudyard Kipling, *Księga džungli. Historia Mowglięgo*, przełożył Józef Birkenmayer, Warszawa 2022

Wydawnictwo Naukowe Katedra

Andrzej Katzenmark, *Mędzy ustami a brzegiem języka. Esej probabilistyczny o zaraniu mowy*, Gdańsk 2022

Wydawnictwo Oficyna

Charles Baudelaire, *Sztuczne raje*, przełożył Ryszard Engelking, Łódź 2022

Nicolas Edme Retif de la Bretonne, *Pan Mikołaj, czyli serce ludzkie odsłonięte*, przełożył Ryszard Engelking, Łódź 2022

Wydawnictwo Polimer

Elżbieta Juszcak, *Pasterze dolin*, Koszalin 2022

Wydawnictwo Universitas

Antoni Słonimski, *„Wiem, o co ci chodziło...”. Przeszłość jest moją ojczyzną. Wiersze*, Kraków 2022